KLOPS A SPRAWA POLSKA
Skąd jesteśmy, kim chcemy być – i co ma do tego mięso

LUDOWA RULETKA
Ile ryzykuje opozycja, a ile Kosiniak-Kamysz

UPADEK KARDYNAŁA
Przypadki George'a Pella i ks. Henryka Jankowskiego

MY, ZIEMIANIE
Kosmiczny punkt widzenia astronautki Nicole Stott

Kraków 10 marca 2019 nr 10 (3635) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Moc kobiet

Michelle Obama i inne

6.03 — 14.04

festiwal nowe epifanie 2019

6.03 — 14.04

REKLAMA

lepiej, gdyby się nie narodził

nowe Epifanie

6.03 — 14.04

noweepifanie.pl

6.03 — 14.04

organizator
Centrum Myśli Jana Pawła II

mecenas
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

patron
Cykl koncertów pod patronatem Jego Eminencji Księdza Kardynała Kazimierza Nycza-Metropolity Warszawskiego

partnerzy

patroni medialni

partner technologiczny EPSON

partner kampanii promocyjnej

KS. ADAM

Boniecki: *Najgorszy z grzechów*

Trzeba mieć odwagę, by po „Boskich zwierzętach” Szymona Hołowni (Znak 2018) pisać o naszym (ludzkim) mięsożerstwie. Jednak do pisania o tym poniekąd zmusza nas papież Franciszek swoim orędziem na Wielki Post 2019 zatytułowanym cytatem ze św. Pawła: „Stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych” (Rz 8, 19).

Trudno nie zauważyć, że w orędziu papież wraca do spraw, o których już niejeden raz mówił. Nie sądzę, by się powtarzał z braku inwencji. Franciszek, gdy uważa coś za rzecz ważną, w rozmaity sposób do tego wraca. Punktem wyjścia orędzia jest oczekiwanie całego stworzenia, świata, natury, żeby człowiek wreszcie się objawił jako naprawdę „syn Boży”. A tymczasem my, ludzie, nie żyjąc jak dzieci Boże, „często zachowujemy się destrukcyjnie (...) wobec nas samych, (...) wobec bliźnich i innych stworzeń”, bo nam się wydaje, „że możemy ich używać według własnej woli”. W konsekwencji zachłannie przekraczamy granice, „które nasza ludzka kondycja i natura każą nam szanować”. Wtedy „zwycięża logika [mieć] wszystko i natychmiast” oraz „mieć coraz więcej”. Tym samym wpadamy w najgorszy z możliwych grzechów: „człowiek uważa siebie za boga stworzenia, czuje się jego absolutnym panem i używa go nie tak, jak chciał tego Stwórca, ale w swoim własnym interesie, ze szkodą dla stworzeń i innych ludzi”.

Kiedy zostaje odrzucone Boże prawo miłości, dominuje „prawo panowania silniejszego nad słabszym. Grzech (...) się objawia jako chciwość, pragnienie nadmiernego dobrobytu, brak zainteresowania dobrem innych, a często także własnym – prowadzi do wykorzystywania stworzenia, osób i środowiska zgodnie z tą niezaspokojoną żądzą, która każde pragnienie uważa za prawo, a która prędzej czy później doprowadzi do zniszczenia nawet tych, których ta żądza owładnęła”.

Wielkopostne praktyki – post, modlitwa, jałmużna – zdaniem Franciszka wyznaczają drogę przemiany. Właśnie post ma „zmieniać nasz stosunek do innych i do stworzeń: przechodzić od pokusy »pożerania« wszystkiego, celem zaspokojenia naszej chciwości, do umiejętności cierpienia z miłości, która może wypełnić pustkę naszego serca”.

Tak pisze papież, choć doskonale wie, że jeśli nawet możemy w Środę Popielcową i Wielki Piątek pościć, a w piątki (co dziś obowiązuje w niektórych tylko krajach) nie jeść mięsa, to i tak na ogół w pozostałe dni ulegamy pokusie pożerania wszystkiego, na co mamy ochotę.

W wielkopostnym orędziu Franciszek ani razu nie wspomina *expressis verbis* o mięsie, lecz ostrzeżenie przed „niezaspokojoną żądzą, która każde pragnienie uważa za prawo” można odnieść do tego, co w naszej cywilizacji wyrabiamy ze zwierzętami. Uważając, jak chciał Kartezjusz, że są to maszyny pozbawione rozumu, automaty poruszane przez przemyślne mechanizmy.

We wspomnianej na początku książce Szymon Hołownia z pasją i znajomością materii podważa wszelkie możliwe argumenty broniące zabijania zwierząt dla (problematycznego) pożytku człowieka. Polecam każdemu „Boskie zwierzęta” jako lekturę na Wielki Post.

Czwarte przykazanie kościelne (w nowej wersji) głosi, by „zachowywać nakazane posty i wstrzemięźliwość od pokarmów mięsnych”. Ta „wstrzemięźliwość” obecna w przykazaniu kościelnym od średniowiecza mówi wiele o obecności mięsiwa w kompletnym jadłospisie. Nie sądzę, by w kolejnej wersji przykazań kościelnych znalazł się generalny zakaz odbierania życia boskim stworzeniom (Bóg jest dawcą życia) w celu ich zjedzenia. Może jednak – wraz z postępem wiedzy i rozwojem ruchów takich jak ruch obrońców praw zwierząt czy Inicjatywa Kościół i Zwierzęta (AKUT), z pojawianiem się książek poświęconych sprawie mięsożerstwa, choćby tych wymienionych w bibliografii u Hołowni czy niewymienionej tam książki Antona Rotzettera „Głaskane, tuczone, zabijane” – owa „wstrzemięźliwość” nabierze nowej treści. To nie będzie już sprawa zastąpienia w piątek schabowego pieczonym halibutem, ale sprawa odbierania życia zwierzętom w imię (dość wątpliwej) konieczności. ©℗

„Tygodnik” znów na szczycie

„Tygodnik Powszechny” jedynym tygodnikiem opinii w Polsce, którego sprzedaż w 2018 r. wzrosła – wynika z danych ZKDP, zaprezentowanych przez Press.pl. Spośród ogólnopolskich tygodników opinii tylko „Tygodnik Powszechny” poprawił sprzedaż w 2018 roku w porównaniu z 2017 rokiem.

Średnia sprzedaż ogółem „Tygodnika Powszechnego” w 2018 roku wzrosła o 13,4 proc. – podaje portal Press.pl.
To już szósty rok z rzędu:

- 2013 – największy wzrost sprzedaży wśród tygodników opinii
- 2014 – jedyny tygodnik ze wzrostem sprzedaży
- 2015 – największy wzrost sprzedaży
- 2016 – jedyny ze wzrostem
- 2017 – jedyny ze wzrostem
- 2018 – jedyny ze wzrostem

Miło nam także poinformować, że w styczniowym rankingu cytowań, przygotowanym przez Newton Media, „Tygodnik Powszechny” zajął 3. miejsce na podium.

Naszym Czytelniczkom i Czytelnikom – dziękujemy!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

24 Zielona ruletka
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Władysław Kosiniak-Kamysz, podpisując porozumienie z liberałami i lewicą, może przyspieszyć odpływ swego elektoratu do PiS i ułatwić Jarosławowi Kaczyńskiemu utrzymanie władzy. Opozycjo, nie ciesz się zbyt wcześnie.

70 Opowieść pierwszej
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Michelle Obama nie przestaje być pierwszą damą Ameryki. Dzięki autobiografii ma szansę zostać pierwszą damą globu.

44 Kaszubskie dogadywanie się z Bogiem
JOANNA WIŚNIOWSKA
Jeszcze dwanaście lat temu było ich 27, teraz 17, dwie wymagają już stałej opieki. Benedyktynki z Żarnowca same modlą się o powołania. Wszystko jest w rękach Boga – mówią. Nie panikują.

36 Upadek z kościelnego szczytu
EDWARD AUGUSTYN
Smutny koniec kard. Pella to nie tylko symbol zmian zachodzących w Kościele, ale też przykład, jak dwie niezależne władze i systemy prawne – państwowy i kościelny – mogą szanować swe kompetencje i współpracować.

84 Ziemia jest planetą
Z NICOLE STOTT, ASTRONAUTKĄ I MALARKĄ, ROZMAWIA MICHAŁ KUŹMIŃSKI:
Ten widok, gdy go już raz ujrzysz, staje się częścią ciebie. Widać stamtąd, że nie ma czegoś takiego jak druga strona globu.

50 Życie po brexicie
PATRYCJA BUKALSKA
To wielka niewiadoma nie tylko dla Brytyjczyków, ale również dla Polaków, którzy żyją na Wyspach. Odwiedziliśmy ich.

DAREK GOLIK / FORUM // SUZANNE CORDEIRO / REX / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS // VANDEVILLE ERIC / EAST NEWS // RADOSŁAW PIOTROWSKI // NASA // RENATA DĄBROWSKA DLA „TP"

6 Radźcie sobie sami
MACIEJ MÜLLER

6-13 Wiadomości / Komentarze

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

89 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

24 Zielona ruletka
ANDRZEJ STANKIEWICZ

28 Niech żyje fiskus
RAFAŁ WOŚ
Polska dojrzewa do rozmowy o wyższych podatkach

31 Służba specjalnej troski
RAFAŁ ZYCHAL

■ ■ DODATEK SPECJALNY

34 Nowe Epifanie

■ ■ WIARA

36 Upadek z kościelnego szczytu
EDWARD AUGUSTYN

40 Zwykła pełnia życia
PIOTR SIKORA *na Wielki Post*

■ ■ REPORTAŻ

44 Kaszubskie dogadywanie się z Bogiem
JOANNA WIŚNIOWSKA

■ ■ ŚWIAT

50 Życie po brexicie
PATRYCJA BUKALSKA

54 Trudno uwierzyć, że to koniec
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU
Rozmowy, które Amerykanie prowadzą poufnie z talibami, mają zakończyć wojnę w Afganistanie. Na razie sytuacja w kraju się zaostrza

56 Katastrofa na rajskiej wyspie
ROMAN HUSARSKI ZE SRI LANKI

■ ■ HISTORIA

60 Różaniec wokół kości
KRZYSZTOF PIĘCIAK

63 Mity Okrągłego Stołu
TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

■ ■ NAUKA

66 Dzieje językowej rewolucji
MARCIN MIŁKOWSKI

■ ■ KULTURA

70 Opowieść pierwszej
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

74 Pomniki chłopa
PIOTR KOSIEWSKI: *Daniel Rycharski podważa przekonania o wiejskim konserwatyzmie, nietolerancji i ksenofobii*

76 Zniknąć, całkowicie
JAN BŁASZCZAK *o Marku Hollisie*

78 Detektyw pyta o zło
JAKUB MAJMUREK: *Widzom nowego „Detektywa" pozostawiono nadzieję, że dobro jest możliwe*

80 Zapach człowieka
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Szczęśliwy Lazzaro"

82 Kwiatkowska, czyli tajemnica
LEKTOR *o książce „Kwiatkowska. Żarty się skończyły"*

■ ■ ZMYSŁY

84 Ziemia jest planetą
ROZMOWA Z NICOLE STOTT, ASTRONAUTKĄ I MALARKĄ

■ TEMAT TYGODNIKA ■

GRAŻYNA MAKARA

14 Łączy nas mięso
MAREK RABIJ
Na polskim talerzu nigdy nie było tylko pokarmem i nadal stanowi ucieleśnienie wielu naszych zbiorowych lęków i aspiracji.

18 Pokusa i zgorszenie
ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ KRUPĄ-ŁAWRYNOWICZ, ANTROPOLOŻKĄ KULTUROWĄ:
Mięso staje się argumentem w debatach światopoglądowych, ale przecież nie wymażemy go z narodowej mitologii.

■ FELIETONY ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER **43** SZYMON HOŁOWNIA
65 WOJCIECH BONOWICZ **82** JAN KLATA
83 PAWEŁ BRAVO **90** STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: MICHELLE OBAMA
Fot. MILLER MOBLEY
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Lamża czyta Naturę

Czy badanie kory ruchowej myszek mówi coś o nas? – **ŁUKASZ LAMŻA** *wyczytuje odpowiedzi na te i inne pytania z najważniejszych publikacji naukowych w cyklu programów wideo Centrum Kopernika:*
powszech.net/czytamynature

Strona Świata: indyjski lotnik

Zestrzelony i wzięty do niewoli przez Pakistańczyków pilot stał się głównym bohaterem najnowszej z sąsiedzkich awantur między Indiami i Pakistanem. Wygląda na to, że jego uwolnienie ją zakończy – *pisze* **WOJCIECH JAGIELSKI** *w autorskim cyklu w serwisie „Tygodnika".*
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

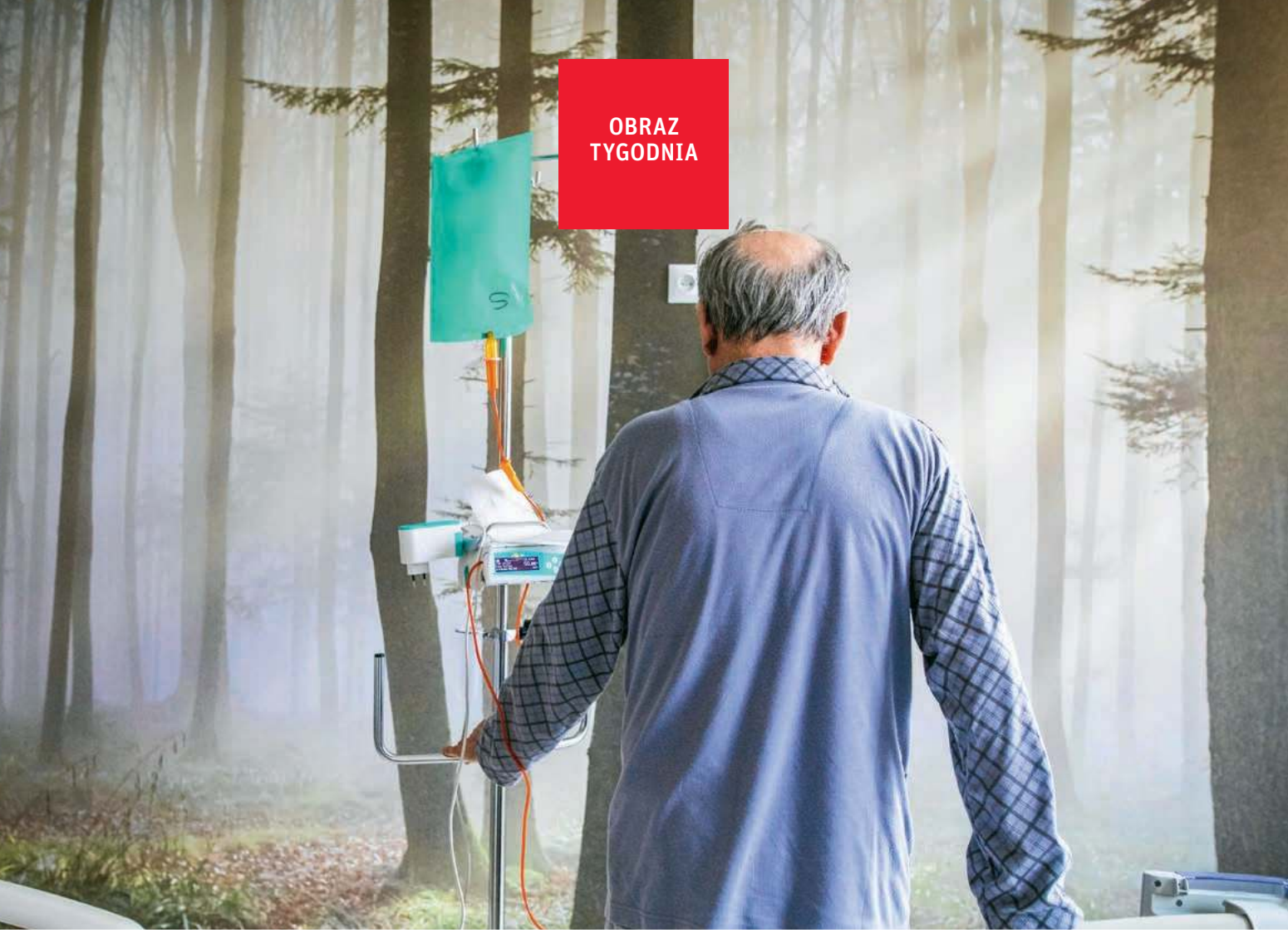

OBRAZ TYGODNIA

RADŹCIE SOBIE SAMI

Polacy cierpiący na choroby rzadkie od kolejnych rządów słyszą jedynie górnolotne deklaracje.

MACIEJ MÜLLER

Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny w Lublinie, 27 lutego 2019 r.

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

Rytuał powtarza się od ponad dekady: w okolicach 28 lutego (Dzień Chorób Rzadkich) ktoś z kierownictwa resortu zdrowia zwołuje konferencję prasową i ogłasza rychłe zakończenie prac nad Narodowym Planem na rzecz tych chorób. W grudniu 2018 r. utworzono w tej sprawie specjalny zespół. Komisji, narad z ekspertami, spotkań z pacjentami, opowieści o pomysłach na zmiany w prawie było już wiele. Owoców na razie brak.

Chorób rzadkich (mniej niż pięć przypadków na 10 tys. osób) medycyna zna już ok. 8 tys. 80 proc. z nich ma podłoże genetyczne, połowa upośledza rozwój, co trzeci chory nie dożywa 2. roku życia. Choroby rzadkie dotykają 6-8 proc. każdej społeczności: w Polsce chodzi nawet o 3 mln pacjentów.

W 2015 r. siedmiolatka Zuzia Macheta zebrała 6 mln zł na eksperymentalną terapię pęcherzowego oddzielania się naskórka; w zeszłym roku rodzeństwo, Weronika i Bartek Dulowie – 4,5 mln na lek powstrzymujący postęp rdzeniowego zaniku mięśni. Leczenie chorób rzadkich jest niebotycznie drogie i na ogół możliwe tylko dzięki zbiórkom. Wielu pacjentów nie ma na co zbierać; tylko dla kilku procent chorób rzadkich istnieją leki. Przemysł farmaceutyczny nie ma interesu w ich opracowywaniu: wymaga to miliardowych nakładów, a o zwrot inwestycji niełatwo. Państwa niechętnie refun-

dują terapie – np. w Polsce w podejmowaniu decyzji kluczowe jest kryterium opłacalności. Kilka lat temu (już za rządów PiS) ministerstwo obiecywało, że w przypadku tzw. leków sierocych efektywność kosztowa przestanie grać rolę. Na deklaracjach się skończyło. Polska refunduje mniej tych leków niż Rumunia czy Bułgaria. Szczęśliwcom udaje się zakwalifikować do jednego z 14 programów lekowych. Do programu trudno wejść – to często droga krzyżowa pacjentów i ich lekarzy – a łatwo z niego wypaść.

Trudności zaczynają się jednak dużo wcześniej. Choroby rzadkie mają tzw. niespecyficzne objawy (gorączka, zmęczenie), co sprawia, że ich diagnozowanie trwa nawet kilkanaście lat. Potem pacjenta prowadzi kilku-kilkunastu specjalistów (w lutym w Łodzi uruchomiono trzecie – po Krakowie i Gdańsku – centrum specjalizujące się w chorobach rzadkich). Brak rozpoznania bywa śmiertelnie niebezpieczny. Genetyczka prof. Anna Latos-Bieleńska ma pacjenta, który w wieku 14 lat dostał na wuefie piłką w nogę i pękła mu tętnica. „Jest po amputacji, dopiero po kilku latach od tego zdarzenia ma rozpoznanie: zespół Ehlersa-Danlosa" – powiedziała w debacie „Pulsu Medycyny".

W 2012 r. Unia Europejska zobowiązała państwa członkowskie do przyjęcia strategii nt. chorób rzadkich. W Polsce wciąż nie powstała. Narodowy Plan nie rozwiąże zresztą problemów: trzeba go będzie dopiero przełożyć na rozporządzenia i nowelizacje ustaw (m.in. refundacyjnej). Problematyka tych chorób wykracza przecież poza kwestie medyczne. Pacjenci wymagają nieustannej opieki, co zmusza jednego z rodziców do rezygnacji z pracy. System edukacji nie oferuje chorym dzieciom żadnego wsparcia. Walczyć – często sądownie – trzeba nawet o orzeczenia o niepełnosprawności.

Czy coś ruszy? „Projekt Narodowego Programu Chorób Rzadkich jest na etapie konsultacji wewnętrznych" – powiedziała 28 lutego wiceminister Józefa Szczurek-Żelazko. Jej szef, Łukasz Szumowski, dodał: „Liczę na szybkie procedowanie". ©℗

Kryzys w oświacie: szkolny błąd PiS

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

To już w zasadzie pewne: za kilka tygodni zastrajkują nauczyciele. Jeśli referendum wśród pracowników oświaty, które Związek Nauczycielstwa Polskiego planuje zakończyć do 25 marca, da twierdzącą odpowiedź na pytanie o strajk (a trudno spodziewać się innej), polskie szkoły staną 8 kwietnia. ZNP podało tylko datę rozpoczęcia akcji, co jest czytelnym, a równocześnie zręcznym sygnałem dla resortu edukacji: jeśli nie zgodzicie się na podwyżki (chodzi o tysiąc złotych więcej dla wszystkich nauczycieli), akcja może sparaliżować kwietniowe i majowe egzaminy, w tym maturalny.

Do strajku szykuje się 78 proc. szkół i przedszkoli, czyli niemal dwukrotnie więcej niż w ostatnim takim proteście – z wiosny 2017 r. Ale kluczowy dla politycznego powodzenia strajku będzie jego odbiór społeczny. Ten zaś był do tej pory niejednoznaczny: jeszcze we wrześniu ubiegłego roku nieco ponad połowa respondentów oceniała reformę edukacyjną PiS jako konieczną lub „raczej konieczną" (źródło: CBOS). Z kolei niedawny sondaż Ipsos dla OKO.press pokazał, że mniej więcej tyle samo Polaków popiera strajk nauczycieli, co jest mu przeciwnych.

Ale może się to rychło zmienić. Najpierw premier Mateusz Morawiecki mówił, że nauczyciele „mają trochę więcej wolnego czasu" od innych grup zawodowych, sugerując, iż pracownikom oświaty nie należą się podwyżki. Teraz głos zabrał szef gabinetu prezydenta Krzysztof Szczerski, stwierdzając, że „nauczyciele nie mają obowiązku życia w celibacie", w związku z czym mogą ubiegać się o wprowadzone przez obecny rząd świadczenia, w tym 500 plus...

W środowisku nauczycielskim wrze od dawna. Choć zapewne nie w całym: to wielotysięczne grono – o czym rzadko się przypomina – jest dziś podzielone jak bodaj nigdy dotąd. Nieprzemyślane tudzież wulgarne wypowiedzi przedstawicieli władzy mogą jednak sprawić, że poparcie dla strajku wśród nauczycieli wzrośnie. Tak samo jak polityczna temperatura wokół mającego się rozpocząć już za kilka tygodni protestu.

Obóz władzy strzelił sobie – ręką prezydenckiego ministra – w kolano. I to w najgorszym możliwym momencie. ©℗

Obywatel nieprzesłuchiwalny

PAWEŁ BRAVO

Mija sześć tygodni, od kiedy austriacki biznesmen Gerald Birgfellner złożył do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia oszustwa przez Jarosława Kaczyńskiego.

Dzięki ujawnieniu w mediach nagrań fragmentów rozmów obu panów wszyscy wiemy, że chodzi o brak zapłaty za usługi biznesmena przy przygotowaniu budowy dwóch drapaczy chmur, do której przymierzała się spółka Srebrna, powiązana przez osoby zasiadające we władzach z kręgiem ścisłego kierownictwa PiS. Z tego powodu sprawa dotknęła aspektów podstawowych dla kondycji państwa: przejrzystości finansów partii i trybu udzielania zgód na wielkie inwestycje, o czym pisaliśmy kilkakrotnie na łamach „Tygodnika".

Tymczasem w cieniu tego wszystkiego trwa w mikroskali groteska być może jeszcze bardziej znamienna: otóż prokuratura cały czas prowadzi postępowanie sprawdzające – czyli takie, w ramach którego nie ma prawnych podstaw, aby wezwać Jarosława Kaczyńskiego jako świadka. Jego przesłuchanie narzuca się jako pierwsza czynność na drodze do rzetelnego wyjaśnienia sprawy, jednak jest politycznym tabu zwłaszcza w roku wyborczym. Dlatego „sprawdzanie" może trwać w nieskończoność, przedłużane różnymi pretekstami (np. koniecznością złożenia przez zawiadamiającego tłumaczeń dokumentów – gdyby prokurator wszczął śledztwo, mógłby sam zlecić to tłumaczenie biegłym) albo i bez pretekstów.

Jeden zwykły poseł, a tyle specjalnych względów. Aż strach pomyśleć, jaki rodzaj tarczy chroniłby Kaczyńskiego, gdyby formalnie pełnił wysokie urzędy. ©℗

Kto się boi edukacji seksualnej

W DEKLARACJI LGBT+ (mającej za cel ochronę mniejszości seksualnych przed przemocą), którą podpisał prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, znalazł się punkt o „edukacji antydyskryminacyjnej i seksualnej zgodnej ze standardami WHO". Wywołało to alarmistyczną analizę instytutu Ordo Iuris, za którą bezkrytycznie poszły prawicowe media. Standardom WHO zarzucono dążenie do indoktrynacji i seksualizacji dzieci od pierwszych lat życia. „Seksedukatorzy" przekażą czterolatkom wiedzę o masturbacji dziecięcej, a potem już będzie tylko gorzej: homoseksualizm, seks w internecie, orgazm, inicjacja seksualna, prostytucja, antykoncepcja i aborcja.

Po pierwsze, na pewno warto się dokształcić, zanim puści się w obieg analizę – np. masturbacja dziecięca (oglądanie i dotykanie genitaliów) nie ma nic wspólnego z rozładowywaniem napięcia seksualnego. Po drugie, dyskusja jest akademicka – w Polsce elementy edukacji seksualnej pojawiają się dopiero w IV klasie podstawówki w ramach WDŻ. Po trzecie: zalecenia WHO to nie gotowe przepisy do implementowania *in extenso*.

Szkoda, że analitycy Ordo Iuris nie przeczytali programu, tylko najwyraźniej przeskanowali go za pomocą kilku słów kluczowych – bo nie zrozumieli w rezultacie jego celów. Zaskoczyłaby ich ilość treści dotyczących języka mówienia o seksualności czy nauki stawiania granic (prewencja pedofilii!). WHO nie zachęca do wczesnej inicjacji, która wpływa niekorzystnie na zdrowie seksualne. Kładzie nacisk na współpracę szkoły z rodzicami i zaznacza, że edukacja musi być dostosowana do „kultury, z jakiej [uczniowie] się wywodzą, uwzględniając społeczno-kulturową tożsamość płci".

Przekładanie edukacji seksualnej dziecka na czas, kiedy „będzie wystarczająco duże", świadczy o odklejeniu od rzeczywistości. Dzieci są z natury ciekawe i albo rzetelną wiedzę przekażą im rodzice i nauczyciele (niekoniecznie w ramach wydzielonych lekcji, chodzi o adekwatne reakcje na różne zachowania), albo sięgną po inne źródła. Uczniowie łatwo obchodzą zakazy używania smartfonów. A część z nich – eureka – nie rozwiązuje na ekranach sudoku, tylko ogląda zgoła inne treści, z naciskiem na „zgoła". Nie posłuży dzieciom udawanie, że nie istnieje pornografia, masturbacja i różne orientacje seksualne. Jeśli przemilczamy temat, również czegoś uczymy.

©℗ MACIEJ MÜLLER

KRAJ W SKRÓCIE

WYBORY. Aleksandra Dulkiewicz wygrała w głosowaniu na prezydenta Gdańska. Wynik wyborów, zorganizowanych po śmierci Pawła Adamowicza, był do przewidzenia: Dulkiewicz otrzymała 82 proc. głosów, przy frekwencji sięgającej 48 proc.

PAWEŁ RELIKOWSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

SKOKI. Polscy skoczkowie wygrali zawody, których wyniku – przynajmniej po pierwszej serii – nie przewidziałby za to nikt. Dwudziesty siódmy po pierwszym skoku Rafał Kubacki został mistrzem świata na tzw. normalnej skoczni, zajmujący zaś pozycję siedemnastą Kamil Stoch – wicemistrzem.

SONDAŻ. Gdyby wybory do Parlamentu Europejskiego odbyły się dzisiaj, wygrałaby je Koalicja Europejska, mogąca liczyć na 37,5 proc. głosów i 21 mandatów, a drugie miejsce zajęłoby Prawo i Sprawiedliwość (36 proc. i 20 mandatów). Tak przynajmniej wynika z sondażu przeprowadzonego na zlecenie samego PE. Próg wyborczy przekroczyłyby również: Wiosna Roberta Biedronia (10,6 proc. i 10 mandatów), a także Kukiz'15 (cztery mandaty) oraz koalicja Wolności i Ruchu Narodowego, mogąca liczyć na dwa mandaty.

DECYZJA. O ten sam próg potknęłoby się ugrupowanie Twój Ruch, niefigurujące już od dawna w żadnych sondażach. Jego były szef wygrałby za to zawody – gdyby takie organizowano – na najoryginalniejszą decyzję polityczną sezonu. Janusz Palikot, który jakiś czas temu wycofał się z polityki, teraz zrezygnował bowiem z udziału w niej po raz drugi. Tym razem uczynił to – jak napisał na blogu – ostatecznie, po tym jak ugrupowanie wybrało na weekendowym kongresie swoje nowe kierownictwo.

Kłopotliwe niedziele

MAREK RABIJ

Minął rok od wprowadzenia zakazu handlu w niedziele, z którego – jeśli wierzyć badaniom – w dotychczasowej postaci zadowolony jest tylko rząd.

Retail Institute, który współpracuje z centrami handlowymi, podkreśla np., że w 2018 r. galerie straciły 17,84 mln klientów robiących zakupy w niedziele (spadek 32,1 proc. rok do roku), ale część strat udało się skompensować wzrostami frekwencji w inne dni. Na zakazie powinni zyskać właściciele małych sklepów, ale oni też narzekają na niedziele bez handlu, które ich zdaniem zachęcają do sobotnich zakupów w dyskontach. Firma Euromonitor szacuje, że do końca 2019 r. zbankrutuje ok. 5 tys. sklepów rodzinnych, w miejsce których powstanie 1,8 tys. dyskontów. Opozycja wytyka rządowi, że połowa pracowników handlu nadal pracuje w niedziele za sprawą aż 32 wyłączeń w ustawie. Z badania Maison&Partners zrealizowanego na zlecenie lobbystów ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców wynika z kolei, że odsetek Polaków niezadowolonych z możliwości niedzielnego rajdu po centrach handlowych wzrósł do 51 proc. ©℗

TVP: kwestia proporcji

28 LUTEGO posłanka PiS i członkini Rady Mediów Narodowych Joanna Lichocka postawiła istotną, a przemilczaną kwestię. „Dlaczego pan w sposób tak nieproporcjonalny dobrał gości? – zapytała prowadzącego program w TVP Info. – Dlaczego jest dwóch przedstawicieli Koalicji Europejskiej w tym programie, czy jest to program, który ma lansować jej kandydatów?". Tym samym dotknęła wielkiej bolączki telewizji publicznej: wciąż występuje w niej zbyt wielu polityków opozycji. Według ostatnich obliczeń OKO.press PiS ma zaledwie dwa razy więcej czasu antenowego niż inne partie razem wzięte. Np. w maju 2018 r. działacze Zjednoczonej Prawicy dostali w TVP jedynie 64 godziny, politycy opozycji parlamentarnej aż 10 godzin, a Kukiz'15 całe 6 godzin 41 minut.

To nie pierwszy raz, gdy Joanna Lichocka mówi, jak jest. Przed rokiem wyznała: „Najchętniej bym wszystko pozamykała, powsadzała do więzień, zrobiła porządek raz, dwa, trzy i wprowadziła najlepiej jednowładztwo Jarosława Kaczyńskiego". Może dlatego typowana jest na nową prezes TVP. Jeśli zajmie to stanowisko, z pewnością przywróci wszelkie proporcje. © KALINA BŁAŻEJOWSKA

STANISŁAW KUSIAK / EAST NEWS

Rachunki prezesa

„WYDATKI NA NIEPEŁNOSPRAWNYCH w 2015 r. wynosiły 14,5 miliarda mniej więcej. Wzrosły do 18 miliardów, nie licząc tego, co niepełnosprawni otrzymali z 500 plus" – powiedział w sobotniej rozmowie z RMF FM Jarosław Kaczyński. Dodał, że jeśli ktoś ma niepełnosprawne dziecko, „dostaje od państwa 1800 plus 500 złotych, czyli 2300".

Kłopot w tym, że na wymienione przez prezesa 1800 zł składają się zarówno świadczenia dla osób z niepełnosprawnościami, jak i dodatki dla ich opiekunów, *nota bene* podniesione jeszcze za rządów PO-PSL i wypłacane opiekunom, którzy zrezygnują z pracy zarobkowej.

Słowa Kaczyńskiego rozwścieczyły środowisko osób niepełnosprawnych i ich opiekunów. Iwona Hartwich – jedna z inicjatorek sejmowych protestów z 2014 i 2018 r. – jeszcze przed wywiadem prezesa zapowiadała kolejną akcję.

Protest, który byłby odpowiedzią na niedawne socjalne obietnice PiS (m.in. 500 plus na pierwsze dziecko oraz dodatkowe pieniądze dla emerytów – jednak przy braku nowych propozycji dla osób niepełnosprawnych), miałby się odbyć 23 maja, tuż przed wyborami do Parlamentu Europejskiego.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

DOMENA PUBLICZNA

Nasz ty złoty

NARODOWY BANK POLSKI świętuje setną rocznicę (28 lutego 1919 r.) uchwalenia ustawy, która walutą odrodzonego państwa polskiego uczyniła złotego, nawiązując do monet o tej nazwie bitych jeszcze w XVII w. Pod uwagę brano także nazwy „pol" oraz „lech".

Nowe polskie złotówki weszły do obiegu w 1924 r., zastępując markę polską, bitą na zlecenie Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego. Nowa waluta miała wielkie znaczenie w procesie jednoczenia dawnych prowincji rozbiorowych, także dlatego, że była nowoczesnym, stabilnym pieniądzem opartym na parytecie złota (1 złoty stanowił równowartość 0,29 grama złota). Siła nabywcza ówczesnej złotówki odpowiadałaby dzisiejszym 8 złotym.

Wchodząc w 2004 r. do Unii Polska zobowiązała się zamienić złotego na euro, ale dziś nie wiadomo, czy i kiedy to nastąpi. Wahania kursu złotego do innych walut są dla polskiej gospodarki dodatkowym antykryzysowym zabezpieczeniem. ©℗ MR

20 lat Polski w NATO

WOJCIECH PIĘCIAK

Dziś wydaje się to oczywistością. Ale gdy Polska wychodziła z zależności od Moskwy, nic nie było oczywiste. Również i to, czy uda się priorytet kolejnych rządów po 1989 r.: jakieś (bo na początku nie było wiadomo, jakie konkretnie) związanie Polski z Zachodem. Jako ostateczne przezwyciężenie skutków katastrofy z lat 1939-45 i gwarancja, że coś podobnego już nas nigdy nie spotka.

W listopadzie 1991 r. „Tygodnik" opublikował komentarz pt. „Nienatrętna stałość". Konstatując z żalem, że „kontakty z Polską, Czechosłowacją i Węgrami NATO stawia na tej samej płaszczyźnie, co kontakty z Moskwą", a „zabiegi Polski o członkostwo w NATO (i we Wspólnocie Europejskiej – toczą się wszak rokowania nad układem o stowarzyszeniu) przypominają starania wiernego kochanka, którego stałe i gorące uczucia spotykają się z rezerwą ukochanej", pisaliśmy, że jednak „to właśnie strategia »małych kroków« i uporczywego przypominania o swej obecności, że ta nienatrętna stałość w naszych zabiegach jest drogą właściwą. Skoro nie można inaczej, przybliżajmy się do instytucji zachodnioeuropejskich cierpliwie i etapami". I na koniec: „Mocne i elastyczne NATO, a także obecność USA w Europie są dziś potrzebne także Polsce. Zachód nie może zamykać się we własnym dobrobycie i poczuciu bezpieczeństwa. Europa to w końcu tylko kryta strzechą, gęsto zabudowana wieś. Nieraz już przekonaliśmy się, że ogień rozprzestrzenia się w niej bardzo łatwo" (niech czytelnik wybaczy patos; takie były czasy, takie emocje).

20 lat temu, 12 marca 1999 r., Polska weszła do NATO, a 5 lat później do Unii. Ileż to razy, podczas spotkań na Ukrainie, słyszałem zdanie, któremu czasem towarzyszyła (zrozumiała) zazdrość, a zawsze żal, czasem rozpacz: „Wy mieliście szczęście, nam się nie udało".

Dziś sytuacja w Europie Środkowej jest inna. Trudniejsza. Ale coś z tamtego komentarza zachowuje aktualność: teza, że „Zachód nie może zamykać się we własnym dobrobycie i poczuciu bezpieczeństwa", jak też strategia „nienatrętnej stałości". Choć perspektywa wejścia Ukrainy do NATO i Unii jest odległa – nie można przyjąć kraju, który ma otwarte sprawy graniczne (nawet jeśli nie z własnej winy) i toczy wojnę (choćby sprawiedliwą, bo narzuconą; zresztą wróg właśnie po to ją kontynuuje – jako narzędzie blokowania aspiracji Kijowa) – to właśnie nienatrętna stałość jest dla Ukraińców chyba jedyną sensowną strategią. Skoro nie da się inaczej, niech przybliżają się do Zachodu cierpliwie i etapami. Nawet jeśli wymaga to i ofiar, i wielkiej cierpliwości (tej ostatniej zresztą nie tylko po stronie ukraińskiej). ©℗

Problem stary jak celibat

WATYKAN OPRACOWAŁ WYTYCZNE w sprawie duchownych, którzy mają potomstwo – potwierdził to kard. Beniamino Stella, prefekt Kongregacji ds. Duchowieństwa, w wywiadzie dla portalu Vatican News.

Problem takich księży jest stary jak celibat. Wskazówki praktyczne, jak z nimi postępować, istniały od wieków, choć uznawano je za temat tabu. O istnieniu wytycznych poinformował niedawno Vincent Doyle, założyciel stowarzyszenia zrzeszającego dzieci księży. Kard. Stella wyjaśnia, że nowe przepisy nie powstały dwa lata temu i nie są dokumentem tajnym, tylko wewnętrznym i roboczym. Jeszcze za pontyfikatu Benedykta XVI kongregacja wniosła o zmianę prawa. Wcześniej ksiądz, który ze względu na dziecko prosił o dyspensę od celibatu i odejście z kapłaństwa, musiał czekać na decyzję wiele lat, najczęściej do ukończenia 40. roku życia. Utrudniało mu to podjęcie obowiązków ojcowskich i wsparcie matki oraz dziecka w czasie, gdy najbardziej potrzebują jego pomocy.

Wytyczne nie tylko wprowadzają „szybką ścieżkę" przejścia do stanu świeckiego, ale umożliwiają też biskupowi wystąpienie o dyspensę dla księdza nawet wtedy, gdy on sam tego nie zamierza robić. Zdarza się, że księża nie chcą rezygnować z kapłaństwa, twierdząc, że „ustał związek emocjonalny z kobietą". Kard. Stella podkreśla, że jedynie w wyjątkowych sytuacjach można się na to zgodzić (np. kobieta jest w związku z innym mężczyzną, który uznaje dziecko za własne). To *novum*, bo wcześniej uważano, że kobiecie z dzieckiem wystarczy zabezpieczyć byt materialny (tworzono diecezjalne czy zakonne fundusze alimentacyjne), a księdza przenieść w inne miejsce i dać szansę powrotu na prawowierną drogę. Nowe jest też podejście do tematu: dzieci księży traktowane są jako dar życia i owoc miłości, a nie grzechu.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

TOK FM Pierwsze Radio Informacyj

PIOTR KOSIEWSKI, autor tekstu nt. wystawy Daniela Rycharskiego o polskiej wsi (s. 74), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 6 marca o godz. 15.40.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ATRAKCYJNA I KŁOPOTLIWA. Teologia jest dla ludzi młodych atrakcyjna, ale kłopot stanowią scholastyczne źródła jej języka. Mówił o tym ks. Grzegorz Strzelczyk podczas 51. Tygodnia Eklezjologicznego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. „Żeby zainicjować studenta w język techniczny teologii (...), trzeba zainicjować go do innej kultury, w której człowiek nie żyje, i potem dopiero wyjaśnić mu teologię wewnątrz tych pojęć, które do tej innej kultury przynależą" – tłumaczył teolog.

KARA NIEDOPUSZCZALNA. „Ludzkość może przeciwstawić się przestępstwom, nie tylko odrzucając zło, ale także ofiarując oskarżonemu możliwość i czas do naprawienia poczynionej szkody, przemyślenie swojego postępowania oraz możliwość zmiany życia" – tak papież Franciszek uzasadniał konieczność zniesienia kary śmierci na świecie w przesłaniu wideo do uczestników światowego kongresu poświęconego temu tematowi.

RADOŚĆ ZAKONNICY. Siostra Liza Ignatius, ginekolożka ze szpitala Najświętszej Maryi Panny w Sardhan w Indiach, cieszy się z Oscara dla krótkometrażowego dokumentu „Period. End of Sentence". Film opowiada

MATERIAŁY PROMOCYJNE

o problemach Hindusek pracujących w fabryce produktów higienicznych, których praca uważana jest za niegodną, ponieważ temat menstruacji jest w Indiach wciąż tabu. „Zwycięstwo filmu wesprze nasze działania na rzecz higieny kobiet" – uważa zakonnica. Na zdjęciu: kadr z nagrodzonego filmu.

GRAŻYNA MAKARA

RONALD ZAK / AP / EAST NEWS

Watykan: teologowie za papieżem

LIST POPARCIA DLA FRANCISZKA, podpisany przez 75 tysięcy działaczy katolickich z pięciu kontynentów, wręczyli 27 lutego papieżowi inicjatorzy petycji – teologowie ks. Tomáš Halík i ks. Paul Zulehner (na zdjęciach). „Publikując list otwarty chcemy wyrazić naszą wdzięczność za Twoje papieskie przywództwo – sprawowane odważnie i w sposób dobrze ugruntowany teologicznie" – czytamy w tekście. Inicjatorzy podkreślają rolę miłosierdzia jako centralnej wartości w nauczaniu Franciszka: „Przekonujesz, żeby w spotkaniach z innymi ostatnie słowo miała nie legalistyczna interpretacja prawa, lecz interpretacja miłosierna".

Inicjatywa powstała w kręgach teologów katolickich w reakcji na krytyczne wobec Franciszka wypowiedzi rozmaitych kościelnych prominentów. W jednym z artykułów grupa kardynałów wręcz zasugerowała, że papież jest heretykiem.

Wśród 75 tysięcy sygnatariuszy jest 2400 profesorów teologii. Jest też wśród nich kilkadziesiąt osób z Polski.

„Podobnie jak reformy II Soboru Watykańskiego wyrosły dzięki wysiłkom całego pokolenia teologów, tak i impulsy reformatorskie papieża Franciszka potrzebują szerokiego zaplecza intelektualnego" – wyjaśnia Tomáš Halík. „Udało się nam stworzyć sieć teologów od São Paulo po Tokio, od Harvardu po Oksford, Wiedeń i Pragę. Na początek zebraliśmy poglądy sygnatariuszy na to, jakie wyzwania stoją przed Kościołem na różnych kontynentach, i wydaliśmy je w dwóch tomach". Dalszym krokiem – zapowiada Halík – ma być włączenie ekspertów z różnych krajów do wielkiego projektu badawczego „Wiara a przekonania »niewierzących«". Jak się bowiem okazuje, wielu z tych, którzy przestają się identyfikować z tradycyjnymi Kościołami, nie staje się ateistami, ale raczej „poszukującymi".

List przekazano Franciszkowi w trakcie watykańskiego szczytu poświęconego zwalczaniu pedofilii w Kościele. Na jego rozpoczęcie jeden z najbliższych współpracowników papieża, kard. Luis Antonio Tagle z Filipin, cytował tekst ks. Halíka o ranach, które niosą współczesne społeczeństwo i Kościół.

©℗ TOMASZ MAĆKOWIAK

Bardziej głos ofiar niż raport

ARTUR SPORNIAK

To prawda, że raport fundacji Nie Lękajcie Się na temat „naruszeń prawa świeckiego lub kanonicznego w działaniach polskich biskupów w kontekście księży sprawców przemocy seksualnej wobec dzieci i osób zależnych" (tak brzmi pełna jego nazwa) stwarza wrażenie dokumentu pisanego nieprofesjonalnie i jednostronnie. Jego autorzy opierają się na doniesieniach prasowych, bez np. sprawdzenia akt procesowych i wyroków sądów państwowych. Nie zwrócili się także o pomoc do ekspertów prawa kanonicznego, którzy mogliby pomóc uniknąć nieporozumień (np. trudno czynić biskupowi zarzut z tego, że Stolica Apostolska po zbadaniu danej sprawy nie zdecydowała się usunąć oskarżonego księdza ze stanu kapłańskiego). W konsekwencji raport stawia niektórym biskupom poważny zarzut łamania prawa – bez dostatecznego uzasadnienia.

Powtarzam: to prawda. Ale jeżeli uznamy, że raport jest głosem ofiar, nabiera to drugorzędnego znaczenia. Ofiary mają prawo być cierpliwie wysłuchane w Kościele, bez stawiania im wstępnych warunków.

Tym bardziej że wciąż brakuje w Kościele transparentności: do dziś nie ma dawno obiecanego kościelnego raportu, a prawo kanoniczne wciąż broni ofiarom – wbrew światowym standardom – dostępu do akt procesów kanonicznych.

Raport jest okazją, by oskarżeni biskupi rzeczowo i spokojnie odpowiedzieli. I wiele kurii czy biskupów już to zrobiło (np. kuria warszawska czy biskup opolski). W oświadczeniach kilku kurii niepotrzebnie pojawiło się dodatkowo oskarżenie Fundacji o nadużycie i manipulację (kurie bydgoska i wrocławska). Kuria krakowska zaś, nie odnosząc się do zarzutów i oskarżając o manipulację, zapewniła jedynie o wzorcowym postępowaniu biskupa, co nie zabrzmiało przekonująco. ©℗

VATICAN NEWS

NOWY SZPITAL DZIECIĘCY W BANGUI, stolicy Republiki Środkowej Afryki, poświęcił w minioną sobotę papieski jałmużnik kard. Konrad Krajewski (na zdjęciu). Gruntowną przebudowę starego szpitala obiecał mieszkańcom papież Franciszek podczas wizyty w RŚA w 2015 r. Nad wykonaniem prac, wyposażeniem pomieszczeń i szkoleniem personelu czuwali specjaliści z rzymskiego szpitala Dzieciątka Jezus, którzy od lat pracują w Bangui. Ośrodek będzie jedynym centrum pediatrycznym w okolicy świadczącym pomoc z zakresu chorób dziecięcych, chirurgii i chorób typowych dla regionu. Prace zostały sfinansowane ze środków Stolicy Apostolskiej i darczyńców. Dużą część funduszy pozyskano podczas akcji charytatywnych organizowanych przez żandarmerię watykańską. ©℗ EA / VATICAN NEWS

Episkopat jako mediator

„NA TO, CO SIĘ W POLSCE DZIEJE, Kościół nie może patrzeć spokojnie. Najwyższy czas, abyśmy ocknęli się – jako chrześcijanie i jako Polacy!" – wzywa bp Andrzej Czaja. W rozmowie z KAI biskup opolski uważa, że Kościół powinien podjąć się roli mediatora „wśród okładających się stron". Proponuje nowy okrągły stół. Wspomina także o konieczności ogłoszenia „orędzia do narodu" wzywającego do pojednania i pokoju.

Spróbujmy sobie to wyobrazić. Powstaje dokument, który precyzyjnie diagnozuje sytuację i mądrze przestrzega przed eskalacją nienawiści. Media jednak szybko przypominają, którzy biskupi uznali wygraną PiS za zbawienny cud i którzy na ambonach powtarzali polityczne slogany o „ulicy i zagranicy".

Episkopat, by odzyskać wiarygodność, musiałby zatem w takim dokumencie zrobić rachunek sumienia i wyraźnie odciąć się od politycznych działań ojca Rydzyka. A na to frakcja zwolenników neutralności Kościoła – choć złożona z wpływowych biskupów (m.in. Gądeckiego, Polaka, Czai czy Rysia) – jest wciąż zbyt mało liczna.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Chrześcijanki modliły się za wykluczonych

„DODAWAJ SIŁ UCHODŹCOM I MIGRANTOM, którzy są wśród nas. Pomóż nam iść po stronie »biednych, kalekich, ułomnych i niewidomych«. Spraw, abyśmy zawsze słyszeli ich krzyk!" – modliły się kobiety na całym świecie podczas tegorocznego Światowego Dnia Modlitwy. Ekumeniczne nabożeństwo, organizowane w 180 krajach świata w pierwszy piątek marca, w Polsce sprawowane było w mariawickiej Świątyni Miłosierdzia i Miłości w Płocku. Tematem spotkania pod hasłem „Pójdźcie – oto wszystko jest gotowe" było wykluczenie społeczne. Co roku liturgię przygotowują chrześcijanki z innego kraju – w tym roku były to Słowenki. Pieniądze zebrane z tegorocznej kolekty przekazane zostaną na rzecz pomocy ofiarom handlu ludźmi.

Światowy Dzień Modlitwy (dawniej Światowy Dzień Modlitwy Kobiet) jest to ruch ekumeniczny o ponad 120-letniej tradycji. Od 1992 r. w pracach przygotowawczych i nabożeństwach Dnia uczestniczy Polski Związek Kobiet Katolickich.

©℗ ASK

KCNA / EPA / PAP

Hanoi: przerwany szczyt

OCZEKIWANIA BYŁY DUŻE. Jeszcze w miniony czwartek rano zdawało się, że spotkanie Donalda Trumpa z przywódcą Korei Północnej Kim Dzong Unem w Hanoi zakończy się sukcesem. Czekał już nakryty stół, przy którym obaj mieli zjeść uroczysty lunch, po podpisaniu porozumień obejmujących denuklearyzację i zniesienie sankcji wobec Korei Północnej. Ale przed południem poinformowano o fiasku rozmów.

Co poszło nie tak? Według Amerykanów Kim proponował zamknięcie jednego z ośrodków nuklearnych w Yongbyon, żądając za to zniesienia sankcji. Natomiast Trump chciał definitywnej likwidacji całego programu nuklearnego Korei Północnej, w tym zgromadzonej tam broni jądrowej. W zamian, prócz uchylenia sankcji i zawarcia traktatu pokojowego (bo formalnie od 1950 r. trwa stan wojny, w 1953 r. zakończonej tylko rozejmem), Trump kusił Kima perspektywą pomocy gospodarczej.

Negocjowanie z Kimem wymaga podwójnej ostrożności. Faktem jest jednak, że w ostatnim roku wykonał on kilka gestów wskazujących na chęć wyjścia z izolacji. Wstrzymał testy nuklearne i odpalanie rakiet w kierunku Japonii. Kilkakrotnie deklarował też chęć denuklearyzacji i reform gospodarczych. Jednak Kim dobrze wie, że broń jądrowa to jego jedyna karta przetargowa w relacjach z zagranicą. Porzucenie atomu i reformy przyniosłyby stabilizację w regionie i poprawę losu mieszkańców Korei Północnej, ale mogłyby też śmiertelnie zagrozić jego totalitarnej dynastii.

Rozmowy Pjongjangu z Waszyngtonem mają być kontynuowane. A doraźnie pożyteczna dla Kima może okazać się już sama wizyta w Wietnamie. To kraj, który po zimnej wojnie wybrał inną drogę niż Korea Północna: komuniści utrzymali się tam przy władzy, zezwalając jednak na reformy rynkowe. Dziś, gdy północnokoreańska gospodarka jest w zapaści, Wietnam rozwija się tak szybko jak Chiny i podpisuje rekordowy kontrakt z Boeingiem. Czy Drogi Szanowny Przywódca z Pjongjangu potrafi wyciągnąć z tego wnioski?

©℗ PIOTR BERNARDYN z Tokio

Cohen w Kongresie: nowe kłopoty Trumpa

JAN SMOLEŃSKI

Tym razem Michael Cohen, były osobisty prawnik Donalda Trumpa, odrzucił prawniczą nowomowę. „Jest oszustem. Jest rasistą. Jest kłamcą" – tak podczas publicznego przesłuchania przed komisją Izby Reprezentantów mówił o dawnym pracodawcy. Zarzucił Trumpowi oszustwa podatkowe i ubezpieczeniowe oraz łamanie regulacji nt. finansowania kampanii wyborczych.

Zarzuty te były znane, ale teraz Cohen udostępnił Kongresowi dowody, w tym czek, którym Trump miał kupić milczenie aktorki porno Stormy Daniels, z którą miał mieć romans.

Republikanie podważali wiarygodność Cohena (został już skazany na 3 lata więzienia za okłamywanie Kongresu), ale nie próbowali bronić Trumpa, bo w świetle tego, co mówił Cohen, byłoby to karkołomne zadanie.

Zeznania Cohena są początkiem wielu dochodzeń, które chcą przeprowadzić Demokraci, mający większość w Izbie Reprezentantów. Można też oczekiwać, że będą chcieli uzyskać dostęp do zeznań podatkowych Trumpa, które według Cohena kryją dowody na oszustwa. Najpewniej przed Kongres zostanie wezwany Allen Weisselberg, dyrektor finansowy Trump Organization z kilkudziesięcioletnim stażem. Obarczony przez Cohena współwiną za nieprawidłowości, podobno zna on wszystkie sekrety biznesu Trumpa. Planowane są przesłuchania członków rodziny prezydenta.

Wygląda na to, że kolejne kłopoty Trumpa właśnie się zaczęły. ©

MARCIN ŻYŁA

Szpital w Sławiańsku, zniszczony w 2014 r.

Donbas przed wyborami

ARIF BAGIROW, DZIAŁACZ SPOŁECZNY z Siewierodoniecka w Donbasie, mówi wprost: – Jeśli w wyborach prezydenckich wygra Poroszenko, jeśli nic się nie zmieni, spakuję się i wyjadę. Najlepiej od razu na Zachód.

Arif ma to przemyślane. Deklaracja pada na koniec długiego monologu – wspomnienia tamtych paru miesięcy w 2014 r., kiedy to stutysięczne miasto na wschodzie Ukrainy było pod kontrolą prorosyjskich separatystów. Przed rosyjską okupacją, gdy zaroiło się od agitatorów Kremla, Arif i jego znajomi zorganizowali tu lokalny Majdan. Gdy latem 2014 r. wyparto stąd Rosjan i separatystów, założyli organizację wspierającą dziennikarstwo. Organizują spotkania, monitorują lokalne media (mimo prowadzonej właśnie tzw. prywatyzacji wciąż są one powiązane z władzami miasta), prostują fake newsy. Ale po pięciu latach kończy się im cierpliwość. A okopane blisko siły rosyjskie – kilka kilometrów za miastem zaczyna się samozwańcza Ługańska Republika Ludowa – to nie jedyne ich zmartwienie.

Arif: – Czujemy się opuszczeni przez Kijów. To my organizowaliśmy oddziały ochotnicze, które przepędziły „separów". Wojsko przybyło później. Już po okupacji przesłuchiwano nas. Silna jest podejrzliwość władz centralnych i przekonanie, że nie wolno nam ufać, bo mówimy po rosyjsku. Teraz już wszystko, cała przyszłość Ukrainy, zależy od wyborów. Jeśli wygra Poroszenko...

Na razie w sondażach obecnego prezydenta Ukrainy wyprzedza komik Wołodymyr Zełenski, trzecia jest była premier Julia Tymoszenko. Pierwsza tura będzie 31 marca, a w drugiej może się zdarzyć wszystko.

Tymczasem Arif i znajomi kontynuują pracę. Przed chwilą skończyli briefing dla mediów. Flagi unijna i polska wystają z pojemnika na długopisy, na zawalonym papierami biurku.

MARCIN ŻYŁA z Donbasu

Najlepsza fotograficzna książka na świecie

„ECHO" MAKSYMILIANA RIGAMONTIEGO ukazała się rok temu – właśnie została laureatem konkursu Pictures of the Year International. Opowiada o polskich wsiach na Wołyniu – prawie wszystkie zostały zniszczone przez Ukraińców w 1943 r. Składa się z 12 rozkładanych jak mapy kart i krótkich notatek, które na podstawie rozmów z historykami, archeologami i mieszkańcami Wołynia przygotowała Magdalena Rigamonti, dziennikarka i żona fotografa (na zdjęciu – jedna z kart). Na każdej stronie podano nazwę wsi i jej współrzędne GPS, bo trudno o inny punkt odniesienia, gdy ślady wchłonęła już natura. „Tam materialna jest tylko pustka. I ja tę pustkę fotografuję" – mówi o projekcie Rigamonti. Para przez wiele lat wracała tam, „do przeszłości, bo na Wołyniu czas się zatrzymał". Rigamonti fotografował zatem nie tylko pustkę, ale i czas. Każda z 12 kart książki to cztery czarno-białe zdjęcia. Jedynym kolorem publikacji jest złoty: symbolizujący ramy kościelnych obrazów i litery na nagrobkach.

Amerykański konkurs organizowany jest od 1944 r. Nagradza najlepsze zdjęcia prasowe i dokumentalne z całego świata. W ostatnich latach rozszerzony został o kategorie multimedialne i publikacje internetowe. ©℗ MOC

MATERIAŁY PRASOWE

Implant podczerwieni

TO ZŁA WIADOMOŚĆ DLA KOTÓW. Zespół chińskich uczonych, którymi kierował Tian Xue, opisał na łamach „Cell" udany zabieg wszczepienia myszom do oka implantu z nanocząstek, umożliwiającego nocne widzenie. Urządzenie odbiera i przetwarza fale elektromagnetyczne o długości przekraczającej 700 nanometrów – z zakresu tzw. bliskiej podczerwieni, która normalnie pozostaje światłem niewidzialnym dla oczu ssaków – i przetwarza je na fale krótsze, odbierane przez ssaki. Mysie mózgi poprawnie interpretowały nowe bodźce. Po operacji gryzonie potrafiły rozróżniać podczerwone kształty (m.in. trójkąty od okręgów). Według badaczy implant nie ma poważnych skutków ubocznych, nie zaburza widzenia dziennego i nic nie stoi na przeszkodzie, by wyposażyć w niego także przedstawicieli innych gatunków. Autorzy podkreślają, że nowa technologia niesie liczne potencjalne „cywilne i militarne zastosowania". ©℗ ŁK

ANTIMONSTRS.LIVEJOURNAL.COM

OBRAZ ANTOINE'A PESNE'A „Dziewczyna z gołębiem" z 1754 r. figuruje na liście zaginionych polskich dzieł sztuki. Dzieło francuskiego malarza z epoki rokoka, zrabowane przez Niemców podczas II wojny z poznańskiego muzeum, znalazło się w 2010 r. w antykwariacie w Moskwie. Zanim polskie MSZ wystąpiło o zwrot, obraz wywiózł do USA kolekcjoner Alexander Khochinsky. Dotąd Polska bezskutecznie żądała jego ekstradycji. Kilka dni temu Khochinsky'ego zatrzymano w Paryżu. Obraz wciąż jest w jego kolekcji w USA. Na zdjęciu: Khochinsky z „Dziewczyną". ©℗ MOC

KULTURA W SKRÓCIE

TRUPA. Polski zespół muzyczny Trupa podpisał kontrakt ze słynną wytwórnią płytową Sub Pop. Tą samą, która odkryła dla świata m.in. Nirvanę czy Fleet Foxes. W następnym numerze „TP" czytelnicy znajdą tekst Jana Błaszczaka o gdańskim zespole, który w brytyjskiej rozgłośni BBC Radio 6 Music prezentował sam Iggy Pop. Gratulujemy Trupie rewelacyjnego zwieńczenia dziesięcioletniej działalności.

STRACH. Z kolei w tym numerze piszemy o wystawie Daniela Rycharskiego „Strachy", w sprawie której minister kultury Piotr Gliński zażądał „wyjaśnień" od stołecznego Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Czyżby ze względu na fakt, że portal wPolityce.pl określił ją jako „obrażającą chrześcijan"? Wierzymy, że gdyby minister obejrzał wystawę, której interpretacji oczekuje od organizatorów, wówczas zauważyłby, że Rycharski występuje przeciw jakiejkolwiek dyskryminacji. Natomiast „wiara, która chciałaby zamykać oczy na cierpienie, jest jedynie iluzją i opium" (ks. Tomáš Halík).

PRZEMIANA. Tymczasem warszawskie studio Ovid Works przygotowuje grę komputerową na podstawie „Przemiany" Franza Kafki. W „Metamorphosis" gracz wcieli się w Gregora Samsę i obudzi w ciele insekta, aby – jak obiecują autorzy – wyruszyć w podróż umożliwiającą odkrycie przyczyn swojego przeistoczenia i zajrzeć w głąb siebie. Na drodze bohatera pojawi się także wiele zagadek logicznych. Obietnice sprawdzimy jesienią.

POŻEGNANIE. 28 lutego w Nowym Jorku zmarł André Previn: kompozytor, dyrygent, pianista, zdobywca czterech Oscarów za muzykę filmową. Jego opera na podstawie „Tramwaju zwanego pożądaniem" Tennessee Williamsa wystawiana jest w Teatrze Wielkim w Łodzi.

TEMAT TYGODNIKA

ŁĄCZY NAS MIĘSO

Na polskim talerzu nigdy nie było tylko pokarmem i nadal stanowi ucieleśnienie wielu naszych zbiorowych lęków i aspiracji. W tym sensie faktycznie jesteśmy więc tym, co jemy: mięsem.

MAREK RABIJ

Niedzielne poranki zawsze pachniały kiełbasą. Matka biegła na pierwszą poranną mszę o szóstej trzydzieści i koło ósmej była z powrotem w domu, a właściwie w kuchni, gdzie w wielkim garnku zaczynała parzyć na śniadanie kilkanaście pęt kiełbasy wystanej uprzednio w kolejkach.

– Co tydzień rodzice odprawiali nad tym garem ten sam rytuał – śmieje się Dariusz Sobotko. – Głodny ojciec myszkował po kuchni, podkręcał ukradkiem gaz, a matka darła się na niego, że jeśli woda się zagotuje, kiełbasa popęka, puści soki do gara, straci smak i zamiast śniadania będzie kataklizm.

W końcu wędliny trafiały na stół. Obowiązkowo wraz z musztardą, chlebem i pokrojoną w cienkie talarki cebulą. – Odkąd sięgam pamięcią, w każdą niedzielę żarliśmy całą rodziną na śniadanie kiełbasę na gorąco z surową cebulą. Jedynie latem matka dokrajała trochę ogórka i pomidorów – ciągnie Sobotko. – Siostra mogła sobie przynajmniej wydłubać co większe kawałki tłuszczu. Mnie ojciec nie pozwalał. Zwierzęcy tłuszcz, mówił, pomaga w prawidłowym rozwoju mózgu. Sam potrafił wciągnąć na śniadanie ze cztery kiełbasy, czyli około kilograma mięsa. Ja z trudem wciskałem w siebie jedną. Sam się zastanawiam, jakim cudem po czymś takim poszedłem do technikum gastronomicznego.

Darek, rocznik 1976, gotuje dziś w jednym z hoteli w Warszawie. Menu składa się na coś, co w branżowym slangu nosi nazwę „międzynarodowej kuchni hotelowej" i stanowi bezpieczne zestawienie powszechnie znanych potraw z całego świata: od brytyjskiego bekonu z jajkami sadzonymi po włoską carbonarę czy indyjskie curry. W hotelu odbywają się także wesela. – Wtedy zwykle jedziemy już polską klasyką imprezową – zdradza Darek. – Rosół albo zupa gulaszowa, rzadziej boeuf Strogonow, a na drugie mielone lub kotlet de volaille z tłuczonymi ziemniakami.

Dania wegetariańskie? Klienci często proszą o kilka takich porcji. – Nie przypominam sobie jednak ani jednego zamówienia czysto wegetariańskiego. Myślę, że dla przeciętnego Polaka jedzenie jest wciąż tym samym, czym było dla moich rodziców. Zaczyna się dopiero wtedy, kiedy na talerzu wyląduje mięso.

Mięsne bieguny

Jak podaje Główny Urząd Statystyczny, w 2017 r. każdy z nas zjadł go średnio 74,6 kg. To jakiejś 1,43 kg tygodniowo i zarazem niemal trzy razy ponad zalecaną przez dietetyków normę około 0,5 kg na tydzień. Owszem, cały świat – poza regionami dotkniętymi klęską głodu – zjada więcej mięsa niż powinien, w ujęciu statystycznym na każdego Ziemianina przypada dziś bowiem około 0,82 kg tygodniowo. Na tej mapie obfitości Polska plasuje się jednak w czołówce krajów o największym apetycie na mięso, wśród których prym wiodą dziś USA z roczny

Fatalne nawyki żywieniowe – powtarzają od lat dietetycy i przywołują, zresztą słusznie, zgubne efekty diety opartej na czerwonym ↦

GRAŻYNA MAKARA

↦ mięsie. Nadciśnienie i choroby układu krążenia, nowotwory, a nawet alergie. Polskie menu, mimo otwarcia na świat i dziesiątków programów kulinarnych pokazujących, jak jeść inaczej, konserwatywnie trzyma się jednak biegunów swej tożsamości, z których jeden stanowi tradycja tzw. kuchni szlacheckiej, a drugim jest tradycyjna kuchnia polskiej wsi. I w jednym, i w drugim przypadku mięso stanowi coś więcej niż tylko produkt. Jest także symbolem statusu społecznego, a czasem nawet elementem grupowej tożsamości.

Post po sarmacku

Opowieść o znaczeniu mięsa w Polsce jest w gruncie rzeczy historią jego ustawicznego braku tudzież równie częstych prób ubrania tego braku w kolejne warstwy znaczeniowe. Wykraczające poza spektrum czystej użyteczności relacje łączące nas z mięsem ujawnia już lektura pierwszej książki kucharskiej wydanej na ziemiach polskich, czyli „Compendium ferculorum albo zebranie potraw" z 1682 r. „Compendium" stanowi bowiem w zasadzie zbiór potraw jarskich, którymi można było ukrasić stół podczas któregoś z niemal 200 postnych dni w staropolskim kalendarzu. Jak pisał ojciec polskiej etnografii, Łukasz Gołębiowski w wydanej w 1830 r. pracy „Lud polski, jego zwyczaje i zabobony": „przed każdym wielkim świętem (...) czterdzieści dni poszczono (...). Nadto suchedni, krzyżowe dni, wilie obchodzono i przyjęte dobrowolnie do Serca Jezusowego, Najświętszej Panny Bolesnej, św. Antoniego, św. Jana Nepomucena i innych świętych pięć, siedem albo dziewięć dni postu, po jednym w każdym tygodniu poprzedzającym. (...) u skrupulatniejszych za postami zaledwie dzień jeden zostawał do mięsnych pokarmów".

Posty występowały oczywiście w całej chrześcijańskiej Europie, nigdzie jednak nie przybrały tak radykalnej formy jak na ziemiach polskich. Ulryk von Werdum, uczestnik półszpiegowskiej misji, która pod francuskimi auspicjami miała zbudować w Rzeczypospolitej koalicję magnacką przeciwko rządom króla Jana Korybuta Wiśniowieckiego, z niezdrową fascynacją obserwował Polaków, którzy w piątki nie jedli nie tylko mięsa, ale także masła, sera, mleka, jaj, potrawy zaś z ryb i warzyw smażyli wyłącznie na oleju roślinnym. Von Werdum mógł jeszcze zrozumieć, że „Polsce w wilie świąt Panny Marii mięsa nie jadają, czego przecież u innych narodów nie obserwują", ale pomysł, by prócz piątku wstrzymywać się z jedzeniem mięsa i nabiału przez jeszcze jeden dodatkowy dzień tygodnia, trącił mu już niezdrowym religijnym radykalizmem.

Nie była to opinia odosobniona. „Mieszkańcy są bardzo pobożni – pisał o Polakach nieco wcześniej, w 1621 r., nuncjusz apostolski w Warszawie Cosimo de Torres – i tak ściśle post zachowują, że gdyby nieświadomy tego zwyczaju podróżny jadł w ich obecności w piątek jaja lub nabiał, naraziłby się na niebezpieczeństwo utraty życia". Jego eminencja nuncjusz raczej nie przesadzał, skoro nawet dworzanin Michała Czartoryskiego, Czech Franciszek Tanner po latach spędzonych w Polsce nie lekceważył postu. „Przeciwnym to było cudzoziemskiego żołądkowi memu, przeto gdym się nie mógł ukryć przed żarliwością Polaków, zwyczajem ojczystym żyłem mlekiem" – pisał w swoim pamiętniku z 1678 r.

Sześćset kalorii na głowę

Dr hab. Błażej Brzostek, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego, który badał zwyczaje konsumpcyjne Polaków, źródeł polskiej fascynacji mięsem radzi jednak szukać w przemianach społecznych, które w drugiej połowie XIX w. wypchnęły tysiące mieszkańców wsi do miast ogarniętych rewolucją przemysłową. – Kuchnia szlachecka rzeczywiście bazowała na mięsie, zarówno hodowlanym, jak dziczyźnie, nie przesadzałbym jednak z jej wpływem na współczesne polskie gusta kulinarne.

O wiele większe znaczenie zdaniem badacza miało tu uwłaszczenie chłopów, które pozwoliło im migrować za chlebem do miast i uczyniło właścicielami gospodarstw. W realiach folwarku mięso było po prostu surowcem do wykorzystania, jadano je więc z rzadka, ale systematycznie, z reguły w niedziele i święta. Po uwłaszczeniu relacje gospodarcze na wsi uległy jednak przestawieniu na gospodarkę towarowo-pieniężną i mięso stało się nagle cennym produktem, który można było wymienić na gotówkę. Właśnie z tej epoki pochodzi powiedzenie, że „chłop je kurę, kiedy zachoruje on lub kura".

W chłopskim menu na ziemiach polskich w drugiej połowie XIX w. dał się zauważyć sukcesywny spadek udziału mięsa. Część wiejskich „ludzi luźnych" w poszukiwaniu lepszego losu ruszyło do miast, gdzie zdobywszy stałą pracę, kultywowali wyniesione z domów przekona-

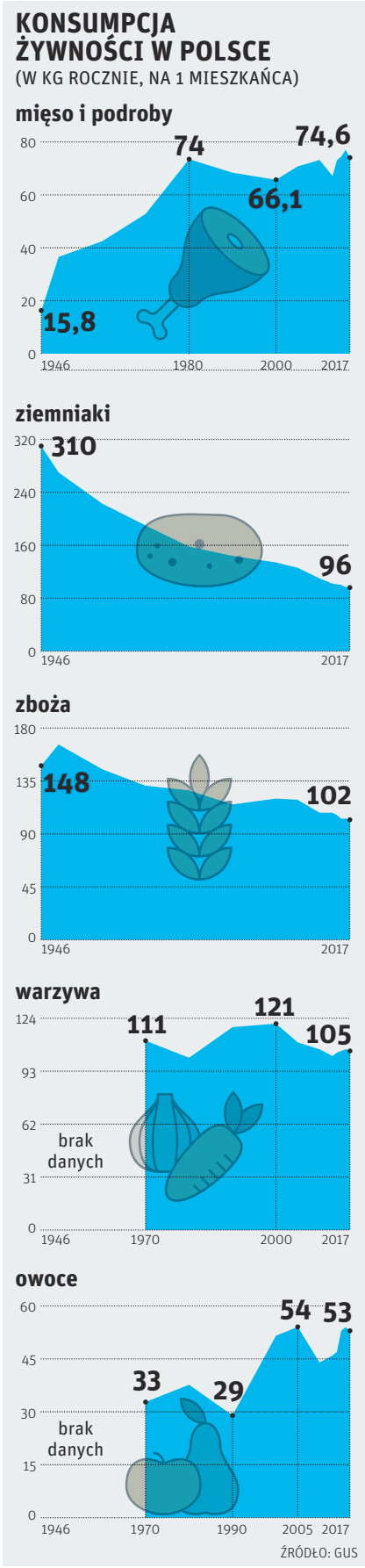

LECH MAZURCZYK

nie, że mięso, jak produkt luksusowy i jednocześnie wysoko sycący, stanowi najbardziej pożądane źródło pożywienia. Apoteozę mięsa na ziemiach polskich przypieczętował głód II wojny światowej. W Niemczech na obywatela przypadało wtedy w racjach żywnościowych około 2 tys. kilokalorii dziennie. Mieszkaniec okupowanej Francji w przydziałach kartkowych otrzymywał tymczasem około 1,2 tys. kcal dziennie. Polak na ziemiach Generalnego Gubernatorstwa – już tylko 600. Żyd z gettcie – 300.

– Wyniesiony z czasów wojny lęk przed głodem zaciążył nie tylko na zwyczajach dietetycznych Polaków, którzy już w latach 50. zjadali na głowę dwa razy więcej mięsa niż w latach 30. – wylicza dr Brzostek. – Kłopoty z zaopatrzeniem w mięso przestały być wyłącznie problemami gospodarstw domowych. Stały się palącą kwestią społeczną i polityczną. W latach 50. socjologowie mówili już o objawach „mięsnej paniki" w społeczeństwie wywoływanej kolejnymi brakami dostaw.

Szkopuł w tym, że w gospodarce centralnie sterowanej przez państwo ktoś – bo przecież nie władza – musiał być za te braki odpowiedzialny.

„Powiesić spekulantów"

18 kwietnia 1964 r. Na warszawskim Okęciu późnym popołudniem wylądował rejsowy samolot z Bukaresztu. Wśród pasażerów był niski, otyły czterdziestolatek, którego wypatrywali milicjanci ukryci w zaparkowanej opodal wołdze. To Stanisław Wawrzecki, dyrektor Miejskiego Handlu Mięsem Warszawa-Praga. Funkcjonariusze wylegitymowali go już na płycie lotniska i wciągnęli do samochodu, który przewiózł go od razu do aresztu. W kolejnych dniach milicja zatrzymała jeszcze kilkadziesiąt osób, w tym 27 kierowników sklepów mięsnych, 11 właścicieli prywatnych masarni i tyluż pracowników MHM – wszystkich pod zarzutem „kradzieży znacznej ilości mięsa i przetworów mięsnych".

Resztę zrobiły zależne od władz media, donosząc społeczeństwu o trwającym rzekomo od dekady układzie, w którym kierownicy sklepów wraz z władzami MHM wyprowadzili poza oficjalną sieć dystrybucji dziesiątki ton mięsa. Lista zarzutów była długa, pojawiły się na niej także praktyki, które kilkadziesiąt lat później będą stanowić kanon nowoczesnego masarstwa, jak ostrzykiwanie mięsa wodą dla zwiększenia jego wagi. W trybie zwykłego kodeksu karnego prokuratorom trudno byłoby jednak wycisnąć z takiego materiału pokazowy efekt, dlatego proces odbywał się w trybie doraźnym przewidzianym dekretem PKWN z 1945 r., w którym oskarżyciel może żądać nawet kary śmierci. Szefem składu został sędzia Roman Kryże, który w przeszłości orzekał m.in. w procesie zakończonym wyrokiem śmierci dla rotmistrza Witolda Pileckiego. Warszawska ulica mówiła o nim „sądzi Kryże – będą krzyże".

Posłuszne gazety dalej nakręcały atmosferę nagonki. „Powiesić spekulantów" – apelował „Głos Pracy", oficjalny organ Centralnej Rady Związków Zawodowych. W lutym 1965 r. wyrok śmierci rzeczywiście zapadł w sprawie przeciwko Stanisławowi Wawrzeckiemu. Kilku wysoko postawionych oskarżonych dostało dożywocie. Pionki w rzekomej aferze skazano na kary wieloletniego więzienia.

19 marca 1965 r. w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej 37 w Warszawie wykonano wyrok na Stanisławie Wawrzeckim. Dopiero w 2004 r. Sąd Najwyższy uchylił wszystkie wyroki w aferze mięsnej jako orzeczone z „rażącym naruszeniem prawa".

W latach 60. „mięsna histeria" osiągnęła w Polsce apogeum. Z jednej strony „nasza mała stabilizacja" i próby wpasowania socjalistycznej rzeczywistości niedoboru w ramy normalności. Z drugiej – coraz większe problemy z zaspokojeniem szybko rosnącego apetytu na mięso. Jeszcze w 1946 r. statystyczny Polak zjadał go niespełna 16 kg rocznie. W 1960 r. już ponad 42 kg, a do końca dekady konsumpcja wzrosła do 53 kg rocznie. Dane GUS nie obejmowały zresztą czarnego rynku mięsa, który rozkwitł, wypełniając miejsce pozostawione przez państwową dystrybucję. Dostęp do mięsa, wystanego lub załatwionego, w tych warunkach stał się realnym symbolem statusu. Jak notował w latach 60. Marian Brandys, „jedzenie szynki to »swoisty akt wolności«", choć raczej wypadałoby powiedzieć: dowód niezależności od coraz bardziej dysfunkcyjnego państwa. Wśród miejskich legend, którymi żyła polska ulica i za którymi dyskretnie podążała Służba Bezpieczeństwa, pojawiły się nawet pogłoski o ludzkim mięsie, które w tajemniczych okolicznościach trafiło do sklepów. – Znamienne, że podobne plotki pojawią się także w Rumunii, kiedy sklepy mięsne zaczną świecić pustkami – zauważa Błażej Brzostek. – I tam, i tu mieszkańcy byli rozdarci między oficjalną propagandą sukcesu bombardującą informacjami o kolejnych rekordach produkcji rolnej a problemami aprowizacyjnymi.

Od kolejnej eskalacji „przejściowych trudności" w zaopatrzeniu w mięso zaczynały się także wybuchy społecznego niezadowolenia. Poznań w 1956 r. Gdański grudzień 1970 r. – wszędzie katalizatorem protestów były podwyżki cen mięsa, za pomocą których władza próbowała sterować popytem na ten strategiczny towar, nie będąc już w stanie zarządzać jego podażą. W latach 70. ekipa Gierka kupiła w USA technologie hodowli przemysłowego drobiu licząc na to, że w ten sposób zaspokoi wilczy apetyt Polaków.

Na próżno. Mięsa wciąż było za mało. A przynajmniej tak się wydawało Polakom. Pod koniec lat 70. średnie dzienne spożycie sięgnęło już 3,5 tys. kcal na osobę, czyli znacznie powyżej norm dietetycznych, ale w społecznym odbiorze sytuacja wyglądała inaczej: polskie rodziny nie miały co jeść. Brakowało też innych produktów spożywczych, choćby nabiału, ale jego brak nie był odbierany tak dotkliwie. Puste półki sklepowe lat 80. to przede wszystkim puste lady masarskie. Nawet kartki, którymi władze próbowały reglamentować konsumpcję większości produktów, nazywano potocznie „kartkami na mięso".

Bez alternatywy

W wolnej Polsce apetyt na mięso znów zaczął rosnąć, choć już nie w tak zawrotnym tempie, jak w latach 60. czy 70. Tamten PRL-owski w pewnej części miał jednak charakter zastępczy: nadkonsumpcja produktów spożywczych z mięsem w roli głównej rekompensowała brak dostępu do dóbr trwałych, jak wyposażenie wnętrz, nieruchomości czy samochody.

Błażej Brzostek: – Po 1989 r. dostępność mięsa przestała być problemem, ale jednocześnie przed Polakami otworzyły się nowe obszary do realizacji aspiracji konsumpcyjnych, jak choćby inwestycje w mieszkania czy podróże zagraniczne. Nie przesadzałbym więc z tłumaczeniem tego fenomenu modą na zdrowy tryb życia, bo to trend, który w skali kraju nie ma większego znaczenia.

Mięso rzeczywiście nadal nas łączy. W badaniu postaw konsumpcyjnych Polaków, przeprowadzonym w 2017 r. ↦

↦ przez Małgorzatę Kosicką-Gębską, Jerzego Gębskiego, Marię Jeznach i Katarzynę Kwiecińską ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, klienci z różnym wykształceniem, miejscem zamieszkania, zawodem i statusem majątkowym wykazują niemal tę samą słabość do mięsa. Zwłaszcza wieprzowiny (średnio 41 kg na osobę rocznie), która dla olbrzymiej większości Polaków nadal stanowi podstawę piramidy żywieniowej. Co ciekawe, wciąż wolimy kupować surowe mięso niż jego przetwory. Przybywa wprawdzie tych, którzy konsumpcję produktów mięsnych próbują ograniczać z powodów ideologicznych, ale to nadal grupa w zasadzie niezauważalna w żywiole nadwiślańskich mięsożerców. Dla wielu gorzej sytuowanych Polaków tania wieprzowina lub drób z dyskontu, dostarczane na masową skalę przez przemysł mięsny, nie ma dziś zresztą alternatywy. Kilogram karkówki na promocji za 10-12 zł wystarcza na obiad dla całej rodziny. Warzywa, które dostarczyłyby podobnej porcji kalorii, kosztować będą o wiele więcej.

Nic nie wskazuje więc na to, by w polskim menu mięso miało szybko ustąpić miejsca innym produktom. Podróże kształcą, także gusty kulinarne, lecz otwarcie na nowe smaki stanowi raczej coś, co socjologowie nazywają kapitałem konsumpcyjnym. Między tym, co możemy zjeść, a tym, co jeść lubimy, wciąż zionie przepaść. W polskiej kuchni – jak zauważa socjolog prof. Henryk Domański, którego zespół przed kilkoma miesiącami opublikował wyniki swoich badań na temat stylów żywieniowych – przekaz pokoleniowy wciąż ma co najmniej taką samą moc oddziaływania jak status społeczny. Zawartość lodówki senior managera polskiego oddziału międzynarodowej korporacji i rolnika bywa zaskakująco podobna, jeśli tylko obaj wywodzą się z podobnych środowisk. Możemy więc inaczej spędzać wakacje, wieść zacięte spory ideologiczne, wysyłać dzieci do innych szkół i mieszkać po dwóch stronach płotów ogrodzających strzeżone osiedla.

Prędzej czy później i tak spotkamy się przy kotlecie.

©℗ MAREK RABIJ

Pokusa i zgorszenie

ALEKSANDRA KRUPA-ŁAWRYNOWICZ, ANTROPOLOŻKA KULTUROWA:

Mięso dzisiaj staje się argumentem w debatach światopoglądowych. Jednak będziemy wracać do niosących poczucie bezpieczeństwa swojskich pęt kiełbas. Przecież nie wymażemy mięsa z narodowej mitologii.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Antropolog Marvin Harris uznał Polaków w czasach PRL za modelowy przykład zjawiska zwanego „głodem mięsa" – opisanego u wielu kultur pierwotnych z różnych stron świata: gdy społeczności brakuje mięsa, uskarża się ona na głód, choćby miała pod dostatkiem innych źródeł kalorii. Polacy w PRL spożywali ok. 3 tys. kalorii dziennie, a mimo to wciąż pożądali mięsa...

DR ALEKSANDRA KRUPA-ŁAWRYNOWICZ: W PRL szczególnie widać było, że posiłek bez mięsa to dla większości Polaków nie posiłek. Fakt, że mięso oznaczało wtedy poczucie komfortu, czy wręcz bezpieczeństwa, socjologowie wywodzą z lęku przed głodem odziedziczonego po II wojnie. W obliczu gospodarczej stagnacji i spadku płac pojawiał się rodzaj „paniki mięsnej" i kolejne kryzysy mięsne. Obrazy pustych haków w sklepach mięsnych do dziś każdy ma w głowie, weszły wręcz do kultury popularnej, choć w latach 80. roczne spożycie mięsa wynosiło aż 74 kg na osobę!

Dominowało mięso wieprzowe, dopiero kryzys lat 80. spowodował, że do jadłospisu zaczęto wprowadzać drób, do tamtej pory traktowany jako mięso dla chorowitych dzieci i kobiet w ciąży.

W poradnikach i prasie kobiecej – a jest to fascynująca lektura antropologiczna – widać wtedy, jak lata 80. stają się czasami erzacu, substytutu. Także w kuchni. Pojawiają się pomysły na takie dania, jak bardzo wówczas popularne „opiekanki" (dziś powiedzielibyśmy: „zapiekanki") zawierające ochłapy, ścinki i przerosty – ale jednak mięso. Zaczyna się wtedy pojawiać niepopularna przecież w Polsce baranina, mięso królicze czy nawet nutrie, wcześniej niejadane, żeby nie powiedzieć: niejadalne. A także podroby. Jak na dłoni widać imperatyw składnika mięsnego w kuchni.

Dowcipy z tamtych czasów pokazują złość Polaków na niedobór mięsa, które przecież było, ale nie na polskie stoły, spragnione schaboszczaka i kiełbasy, trafiało. Np. „o czym marzy polska świnia w drodze do rzeźni? Żeby chociaż jej serce pozostało w kraju". Albo ten o polskiej metodzie uboju trzody chlewnej: „pod tucznika podkładało się granat i połowa leciała na Zachód, druga na Wschód, a Polaków krew zalewała". Przez historię życia codziennego z tamtych czasów mięso nieustannie się przewija i przekłada się na to, jak konstruować codzienność, o czym marzyć, co stanowi synonim dostatku czy luksusu.

Ale dlaczego akurat mięso zajęło tak szczególne miejsce? Dlaczego nie np. chleb, który przecież też jest pokarmem odświętnym i symbolicznym?

Dietetyk czy biolog upatrywałby pewnie źródeł tego apetytu w fizjologii człowieka, ale jako antropolog wiązałabym to raczej z odwiecznymi marzeniami żyjących w niedostatku ludzi o tłustym, obfitym jedzeniu. A dzieje łakomstwa pokazują, że owo marzenie jest obciążone winą. Nieczyste. Słowo „łakomczuch" w średniowieczu oznaczało i żarłoka, i rozpustnika. Co ciekawe, obżarstwo przeszło od tamtej pory fascynującą ewolucję: od piętnowanego przez Kościół grzechu do wykroczenia przeciw obyczajom i regułom: dzisiaj są to reguły diety. Ale tak czy inaczej, mięso nigdy nie było moralnie obojętne. Na jego temat wciąż moralizowano.

Czyli tym się ono wyróżnia wśród pokarmów, że wiąże się z obwarowaną moralnymi zakazami cielesnością? Że mięso jest ciałem, a ciało – mięsem?

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

Można się pokusić o taką interpretację. Łączy się to również z pojęciem, o którym wiele pisał wspomniany Marvin Harris: tabu pokarmowego. W różnych kulturach, czasach i miejscach największa liczba tabu pokarmowych wiąże się właśnie z mięsem. Tabu roślinnego jest bardzo niewiele, funkcjonuje np. w Nowej Gwinei i chodzi w nim o prostą symbolikę płci i płodności. Tymczasem mięso np. w Torze i Koranie jest *tremendum et fascinosum* – czymś zakazanym i pożądanym równocześnie, a i współczesne tabu pokarmowe wiążą się z mięsem: nie jadamy kotków ani piesków, bo to poniekąd członkowie rodziny. A koń? Choć konina nie stanowi tabu pokarmowego w północnej Francji, to w Polsce bywa nim bardzo silnie: bo koń wiąże się i z toposem rycerza, i z wiejskim gospodarstwem, gdzie zależało od niego przetrwanie. Wreszcie – z Piłsudskim na kasztance i tradycjami kawaleryjskimi. Mięso jest wyjątkowo silnie uwikłane w wątki kulturowe, etosowe i w archetypy. Nigdy nie jest obojętne.

Mocno się też chyba wiąże z naszym mitem arkadyjskim. Polskie wyobrażenie o dawnym, lepszym świecie obfitości po pierwsze bardzo się wiąże z kulturą chłopską, a po drugie – i to dopiero paradoks – z wyobrażeniem, że chłopi mięso jadali do syta. Jak to się ma do wiedzy etnologicznej o XIX-wiecznej, tradycyjnej wsi?

Czy to w karczmach i gospodach, czy na etykietach wielu towarów w supermarkecie nieustannie powtarzają się hasła „regionalność", „swojskość", „domowość", „jak u mamy". Nasze wyobrażenie o tradycyjnej polskiej kuchni, bardzo mięsnej i tłustej, jest przedziwnym kolażem wywiedzionym z mitu polskiej wsi, w którym intensywnie obecne jest pojęcie tradycji, tradycyjności. „Tradycyjne" wędliny i dania są symbolem tożsamości i zakorzenienia w przeszłości. W różnych wariantach: regionalnym, rodzinnym, narodowym. Bo to, co tradycyjne, ludowe, wiejskie, stare, ma swoistą moc sakralizującą. To nic więcej, jak tylko mit wykorzystywany przez marketing, który za pomocą tych wartości sprzedaje coś, co absolutnie nie było charakterystyczne dla ludu, a nawet nie zawsze dla elit. Wyobrażenie o polskiej wsi, która płynęła mlekiem, miodem i tłuszczem, gdzie Zagłoba zajadał się do syta giczą i pił wino z garnca, niewiele ma wspólnego z tym, co faktycznie dominowało w jadłospisie kultury ludowej.

A co w nim dominowało?

Była to bardzo monotonna, minimalistyczna dieta, w której zwierzęce składniki zdarzały się niezmiernie rzadko. U Oskara Kolberga czy w chłopskich pamiętnikach, które w latach 30. gromadził Ludwik Krzywicki w Instytucie Gospodarstwa Społecznego, znajdziemy opisy codziennych posiłków: wciąż i wciąż polewki z ziemniakami, kasze, bryje – czyli zupy z rozgotowanej mąki czy kaszy. Pojawiają się barszcze, ale słowo to oznaczało wówczas po prostu kwaskowatą zupę, więc i zupa szczawiowa była barszczem. Składnikiem podstawowym jest kapusta, kwaszona czy gotowana, do tego groch. Jeżeli mleko, to rozcieńczane. Ten repertuar jest niezwykle monotonny. Nawet w drugiej połowie XX w. polska wieś jadała mięso najwyżej w niedzielę. To rarytas przeznaczony na święta, i to nie dla każdego.

Ale nie można powiedzieć, że mięso nie było obecne. Dietę urozmaicało np. kłusownictwo, dzikie ptactwo, zające. Jan Stanisław Bystroń wspomina też o popularnych na Mazowszu gawronach.

Gawronach?

Nazywano je „mazowieckimi kurami". Korzystano też z dobrodziejstw rzek, jadano ryby. Ale wizerunek tłustej wsi, objadającej się mięsiwem, nie znajduje w źródłach etnograficznych potwierdzenia. Jestem przekonana, że powstał wskutek dążności charakterystycznej nie tylko dla Polaków: mityzowania własnej przeszłości.

Skoro mięso jest pokarmem świątecznym, to może apetyt na nie bierze się stąd, że marzymy o wiecznym święcie w arkadyjskim dostatku?

Pokusą zawsze jest to, co nie jest codzienne. Na tym przecież też polega karnawał: świat odwrócony, w którym atrakcyjne jest wszystko, co stanowi odwrotność codziennej rutyny. A karnawał to nawet na poziomie języka: *carnevale*, „pożegnanie mięsa".

Atrakcyjne jest też to, co zakazane, a przecież mięso zakazane było w poście, który w kulturze tradycyjnej był bardzo rygorystycznie respektowany i doświadczany.

Może przesadzę, ale skoro mięso było pokarmem dworskich elit, a my ↦

wszyscy, po katastrofach dziejowych, jesteśmy społeczeństwem o chłopskich korzeniach, to czy pożądanie mięsa nie zdradza naszej potrzeby dowartościowania? Nie pachnie ono Pani trochę symboliczną rabacją?

Być może. Jedzenie jest też komunikacją – a może nawet bardziej manifestacją – przynależności albo chęci przynależności. Poprzez rolę, jaką w naszych praktykach kulinarnych odgrywa mięso, widać i tęsknoty, i kompleksy, i całą naszą historię. A także konsekwencje zmian wzorców zachowań. Przecież dzisiaj mięso jest głównym argumentem w debatach natury światopoglądowej, ideologicznej czy nawet etycznej. Filozofie żywieniowe, takie jak weganizm czy wegetarianizm, ale też w ogóle narracja budowana wokół mięsa rozgrywane są już nie na nutach związanych z fizjologią czy żywieniem, lecz emocjonalnych, etycznych i światopoglądowych.

Socjolog Stephen Mennell pisał o czynnikach, które wpłynęły na kształtowanie się upodobań kulinarnych w Europie. Przyjrzyjmy się im przez pryzmat schabowego. A więc, po pierwsze, Kościół i szerzej: religia. Olbrzymią wagę przywiązywano do postu, choć zasady bardzo tu ewoluowały. Dziś nie pamiętamy już, że kiedyś postne były aż trzy dni w tygodniu: środa, piątek i sobota. I był to post ścisły, najlepiej o chlebie i wodzie raz dziennie. Z czasem zmienia się nie tylko liczba dni postnych, ale też poszerza się zakres potraw, które nie są nim objęte. Od nabiału i warzyw, aż po ryby, które nagle okazały się nie być mięsem. W czasach Stanisława Augusta Poniatowskiego przyjęto wręcz, że można w poście jeść szynki z bobrów, ponieważ są to zwierzęta wodne, więc jakby ryby.

Po drugie państwo. I w PRL widać jak na dłoni, że mięso jest sprawą polityczną. Po trzecie zaś – medycyna. I z tym właśnie mamy do czynienia obecnie. Słowem kluczem dzisiejszych czasów jest dieta. Widać to i w słowach lekarzy bijących na alarm w kwestii chorób cywilizacyjnych, i w retoryce reklam, gdzie aspekt zdrowotny podkreśla się coraz częściej. Co ważne, dietę zaczynamy rozumieć dziś tak, jak chcieli starożytni: jako filozofię życia, bliskie sobie wartości, sposób realizowania siebie i opisywania świata.

I w każdym z tych czynników powraca temat mięsa.

„Jesteś tym, czym jesz", powtarzają dziś dietetycy, a to przewrotne, bo mowa przecież o bardzo pierwotnym, magicznym przekonaniu: zjadam zwierzę, żeby przejąć jego siłę, energię życiową, cechy. Mięso to życie – wegetarianie bywają przez mięsożerców uważani za wiotkie istoty bez energii. To magiczne przekonanie jeszcze w nas działa?

Jak wiele aspektów myślenia magicznego, z pewnością i to jest wciąż obecne, choć przecież nieuświadamiane. Nie przywołujemy tego przekonania, robiąc codzienne zakupy.

Zwłaszcza że zjadamy głównie świnie...

Ale ponieważ spożycie mięsa zawsze jest osadzone w kulturze, to na pewno może się wiązać także z takim najpierwszym myśleniem, pierwszą opowieścią. Mięso to krew, a krew to życie. W rytuałach, zarówno całkiem egzotycznych, jak i tych nam bliskich, symboliczny ciąg „krew – mięso – ofiara" bardzo do nas przemawia. Mityczne ścieżki interpretacyjne są obecne także w naszej racjonalnej i zlaicyzowanej współczesności, bo przecież wciąż jest ona poddana rytuałom.

W tym przekonaniu odzywa się też archetyp wojownika.

„Zjedz mięsko, będziesz duży i silny", „prawdziwy mężczyzna nie przeżyje bez mięsa" itd. Męskość i kobiecość też się wyraża przez mięso?

Absolutnie tak. Tematyka *gender* jest silnie obecna w praktykach kulinarnych. Choć lepiej widać to przy barze, gdzie serwuje się damskie drinki i browar dla facetów. Ale na talerzu też to działa: kobiecie raczej nie przystoi wgryzać się w golonkę, co innego prawdziwemu mężczyźnie.

Zauważmy, że również na poziomie języka mięso funkcjonuje jako synonim czegoś cielesnego, nieczystego, wulgarnego. „Rzucać mięsem", mówimy na przykład. Znowu widać tu, że mięso to także materialność, grzeszność, źródło pokusy i zgorszenia.

Naprzeciw chłopsko-arkadyjskich karczm stoją foodtrucki, burgerownie i steakhouse'y – miejski sposób jedzenia mięsa. Z jednej strony swojskość i tradycja, z drugiej nowość i światowość?

To, co obce, kojarzy się z ekskluzywnością. Stek z angusa to nie kotlet mielony, i to nie tylko ze względu na cenę, lecz też na swą egzotykę. Mięso też układa się w opozycje binarne: mamy mięsa swojskie i świąteczne. Te tradycyjne i te niecodzienne, obce, ciekawe do spróbowania. Ponownie mięso odsyła nas do problemu tożsamości.

Ale w tej miejskiej konsumpcji mięsa zaczyna być widoczny jeszcze jeden trend. Otóż prognozy upodobań kulinarnych do 2020 r. ogłoszone przez hiszpański Instytut Badania Żywności wskazują jako dominujący trend obdarzania jedzenia historią, opowieścią. Niekoniecznie prawdziwą, byle ciekawą. Coraz chętniej budujemy osobiste relacje z produktami i producentami. A to sprawia też, że stajemy się coraz bardziej świadomymi konsumentami. Interesuje nas, jak zawartość naszego talerza przekłada się na naszą sferę osobistą, społeczną, ekonomiczną, przyrodniczą. Smakuje nam już nie tylko to, co słodkie, słone czy gorzkie, ale też to, co sprawiedliwe i etyczne. Coraz wyraźniej widać, jak w rozmowie o praktykach kulinarnych pojawia się tematyka światopoglądowa czy filozoficzna.

> Jesteśmy w naszych preferencjach kulinarnych **ogromnie konserwatywni**. Mięsna rewolucja etyczna jest zmianą odroczoną. Schabowy jeszcze długo nie straci w Polsce swojej mocy.

RDC POLSKIE RADIO

MICHAŁ KUŹMIŃSKI i **MAREK RABIJ** będą gośćmi Grzegorza Chlasty w środę 6 marca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

A więc znowu mięso łączy się z moralnością?

Współczesna zmiana sposobu myślenia o mięsie wiąże się z dobitnym zwrotem w filozofii i humanistyce sprzed niewielu lat, dotyczącym relacji człowiek-zwierzę. Właśnie upodmiotowiliśmy zwierzęta. Wpisaliśmy je w narracje humanitaryzmu i człowieczeństwa w konfrontacji z bratem mniejszym.

Skoro tak, to stoimy właśnie u progu fundamentalnej rozprawy z samymi sobą. Bo z jednej strony mięso jest tak silnie wpisane w naszą tożsamość i system wartości, a z drugiej nie da się obronić etyczności własnego posiłku bez pytania o dobrostan zwierząt. Nadchodzi wielkie przewartościowanie?

Wydaje się, że te hiszpańskie badania na nasz żytnio-ziemniaczano-mięsny krajobraz nie przełożą się ani dziś, ani jutro, i raczej nie do owego 2020 r., którego prognoza dotyczy. Bo wbrew pozorom jesteśmy w naszych preferencjach kulinarnych ogromnie konserwatywni. Jasne, przechodzą kolejne fale mód: była pizza, było sushi, burgery, a teraz wege, ale to wszystko eksperymenty. Na niedzielnym obiedzie u mamy czy babci wciąż będzie schabowy i swojska wędlinka. Mięsna rewolucja etyczna jest, moim zdaniem, zmianą odroczoną.

Owszem, coraz częściej w swoim otoczeniu dostrzegamy obecność wegetarian i wegan. Ale najczęściej dotyczy to środowisk miejskich bądź tzw. nowoosadników – czyli tych, którzy postanowili uciec od miejskości do natury i szanują ją z tego właśnie powodu. Mogą to też być praktyki wynikające z mody, a więc przemijalne i incydentalne. Z wielkim zainteresowaniem obserwuję, czy schabowy traci w Polsce swoją moc. Myślę, że jeszcze bardzo, bardzo długo tak się nie stanie.

ARCHIWUM PRYWATNE

DR ALEKSANDRA KRUPA-ŁAWRYNOWICZ pracuje w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Łódzkiego. Zajmuje się antropologią jedzenia i zmysłów oraz antropologią miasta, bada współczesne praktyki kulinarne i ich kulturowo-społeczne konotacje, miejskie narracje, tożsamość i pejzaże sensoryczne.

Może z tym konfliktem poradzimy sobie, układając opowieści o krówkach i świnkach tak szczęśliwych, że oddających nam swoje mięso z wdzięczności?

Szczęśliwy burger... Bardzo możliwe. W wielu praktykach, nie tylko kulinarnych, mamy tendencję do ekstremizmów. Nagle stajemy się bardzo eko i bio. Zatracamy się albo w jednej filozofii, albo w drugiej. A miasto jest krajobrazem, w którym szczególnie mocno widać efekty.

Nawiasem mówiąc, to dla mnie czysta antropologiczna radość, gdy słyszę o „wegeburgerach". Być może pokazuje to fazę przejściową, łagodniejsze odchodzenie od głodu mięsa poprzez pewne jego imitacje, substytuty, w stronę czegoś, co dopiero przed nami.

Czy przed nami świat bez mięsa? Świat mięsa bardziej etycznego? A może te trendy nie mają szans z naszym mięsnym konserwatyzmem?

Mają szanse. Bo wpisują się w szersze trendy kultury antykonsumpcyjnej i coraz mocniej obecne w przemyśle, gospodarce i kulturze praktyki proekologiczne. Ale będąc na fali zmian, wciąż będziemy wracać do babcinych receptur, do niosących poczucie bezpieczeństwa swojskich pęt kiełbas. Przecież nie wymażemy z narodowej mitologii tego, jak sobie wyobrażamy polską kuchnię, choćby źródła mówiły o niej co innego. Nie uciekniemy od tego i będziemy do tego wracać, choć być może tylko od święta, traktując mięso jako coś niecodziennego. Tak, jak sięga się po coś archaicznego, niby będącego przeżytkiem, ale uświęcającego naszą tożsamość.

Będziemy jeść mięso tak, jak dziś chodzimy do teatru?

Dokładnie tak. Może to brzmi obrazoburczo, ale niewykluczone, że mięso – to nasze, polskie, tradycyjne – będzie czymś rzadkim i odświętnym.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Dwaj słudzy

Zacznijmy od pewnego midrasza, który znalazłem w spisanej w X wieku księdze występującej pod tytułem „Tanna Devei Eliyahu" (Nauczanie Szkoły Eliasza). Księga odnosi się do sześciu zdarzeń z historii świata i Izraela. Zaczyna się od objawienia Tory na górze Synaj, prowadzi przez opis piekła i raju ku opowieściom o zbudowaniu Świątyni. W rozdziale drugim czytamy: „Pewnego dnia spotkałem człowieka, który powiedział mi, że mikra (Tanach, Biblia) była dana na górze Synaj, natomiast nie została tam objawiona Tora ustna (miszna). Odpowiedziałem mu, że obie Tory zostały dane na górze Synaj i opowiedziałem mu taką przypowieść: »Do czego jest to podobne? Król z krwi i kości miał dwóch ulubionych służących. Bardzo ich kochał. Każdemu dał miarkę pszenicy i wiązkę lnu. Mądry utkał z lnu piękny obrus. Wziął pszenicę, zmielił ją i z niej upiekł pyszne chleby. Potem położył je na stole i przykrył obrusem czekając na nadejście króla. A głupiec nic nie zrobił. Przybył władca i powiada do nich, pokażcie mi to, co ode mnie otrzymaliście. Pierwszy pokazał, co upiekł i utkał, drugi przyniósł miarkę pszenicy, a na niej ułożone wiązki lnu. Co za wstyd! I kogo król nagrodził? Tego mądrego«. Tak samo jest z Torą. Wiekuisty, błogosławiony On, na górze Synaj dał Torę Izraelowi, a dana była jako pszenica, z której wyrabia się piękną mąkę, i len, z którego szykuje się okrycie".

W Szemot Rabba 26 (komentarze do Księgi Wyjścia) czytamy: „Co dał Bóg Mojżeszowi, gdy przebywał czterdzieści dni na górze Synaj? Dał mu dar, jakim jest Tora. Co mógł Mojżesz się nauczyć przez czterdzieści dni z Tory, która jest większa niż wszystkie ziemie, a głębsza niż najgłębsze oceany? Odpowiedź jest następująca: Pan, oby był błogosławiony, nauczył Mojżesza tylko podstawowych zasad". Tego samego uczył wielki hiszpańsko-żydowski filozof Josef Albo, żyjący na przełomie XIV i XV w., przeciwnik wszelkiego dogmatyzmu. „Nie ma logicznych podstaw stwierdzenie, że Tora jest zamknięta i dostosowana do wszelkich życiowych okoliczności, ponieważ te się nieustannie zmieniają, są zbyt liczne, by można je zamknąć w jednej księdze. Dlatego Bóg dał Mojżeszowi jedynie ogólne i podstawowe zasady i mędrcy z każdego pokolenia będą z Tory wydobywać bardziej szczegółowe reguły". Ciężar zrozumienia i stosowania Tory zostaje przesunięty na mądrego sługę. Albo dokładniej, na regułę postępowania wedle wyboru i wskazań większości. Dlatego Tora ma 49 oblicz do opisania czystości i tyleż do pojmowania nieczystości.

Mówiąc już bardziej współczesnym językiem, pluralizm postaw przy studiowaniu Tory jest nieunikniony, ale, co zabrzmi jeszcze mocniej, jest niezbędny. Im więcej widzimy w niej odcieni, tym lepiej. A prawdziwym mędrcem zasługującym na to, by zasiadać w Sanhedrynie, radzie i sądzie najwyższym, będzie tylko ten, kto przedstawi 150 uzasadnień, jak możemy określić czystość i nieczystość martwego zwierzęcia. Jakże potrzebna jest po temu dyskusja i znajomość prawa. Trzeba zawsze postępować jak mądry sługa. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Nasz ojciec Aramejczyk

Wędrujący przez pustynię Izraelici stanęli nad brzegami Jordanu. Po jego przekroczeniu mieli zająć ziemie, które Bóg im przeznaczył, a kiedy już się zadomowią, przynieść „na miejsce, które sobie wybierze PAN (...) na mieszkanie", część plonów, pierwocin, które zbiorą podczas żniw. W ten sposób Izraelici mieli sobie przypominać, że wszystko, co posiadają, otrzymali od Boga. To On wybrał Abrahama i On zaprowadził Jakuba do Egiptu. Dlatego przy składaniu ofiary z pierwocin każdy Izraelita ma wypowiedzieć sakramentalną formułę: „Mój ojciec był wędrującym z miejsca na miejsce Aramejczykiem. Gdy przyszedł do Egiptu, zamieszkał tam wraz z kilkoma osobami jako cudzoziemiec. Później od niego wziął początek naród wielki, potężny i liczny". Kiedy więc my dzisiaj mówimy, że Abraham jest naszym ojcem w wierze, to też powinniśmy pamiętać, że ma on swoją historię życia, że jest zakorzeniony w innej religii, a w związku z tym, że rozegrał się w Abrahamie bolesny dramat wyjścia z przeszłości i stanięcia na progu nowego, które nie wiadomo, do czego człowieka doprowadzi.

Część z nas, którzy podzielamy wiarę Abrahama, potwierdzoną i rozwiniętą przez Jezusa, patrząc na to, co dzieje się z europejskim chrześcijaństwem, wpada w gorzką zadumę. Przeżywają głębokie rozczarowanie Kościołem, wyrażane przez agresję. W rezultacie porzucają Boga i szukają czegoś, czy kogoś, w zamian. Jednocześnie coraz częściej daje się słyszeć głos współczesnych Mojżeszów, którzy usiłują nakłonić chrześcijan do zmiany sposobu patrzenia na Kościół. Jako przykład niech posłuży rozmowa Wojciecha Mikołuszki z prof. Patrickiem McNamarą w „Wysokich Obcasach". Na pytanie, jak rozumieć odchodzenie zachodnich społeczeństw od religii, McNamara odpowiada: „Myślę, że to tymczasowa aberracja. Ludzie zawsze byli religijni. Zmiany widać od zaledwie stu lat i tylko w niektórych rejonach Europy. Zdecydowana większość spośród 7 mld ludzi na naszej planecie nadal jest religijna. Komunizm w Związku Radzieckim próbował niszczyć religię przez 75 lat. Chiny robią to od II wojny światowej. I wszyscy ponieśli sromotną porażkę. Religia w końcu zawsze wraca". „Ale pana grupa zawodowa, naukowcy – dorzuca Mikołuszko – są mniej religijni niż przeciętni ludzie na naszej planecie". A profesor na to: „Badania, które to pokazywały, opierały się na ankietach wypełnianych przez bardzo małe grupy naukowców w bardzo małej liczbie zachodnich uniwersytetów. Gdyby pan przepytał wszystkich naukowców na Ziemi, to zapewne odkryłby pan, że większość z nich jest religijna".

Religia w końcu zawsze wraca. Rzecz w tym, żeby to była religia na miarę dzisiejszego świata, gdyż to dzisiejszy świat z całym swoim pięknem i brzydotą jest naszą ziemią obiecaną. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Twórca, nie zakładnik Kościoła

Im ciszej milczysz, tym głośniej wołasz.

MECHTYLDA Z MAGDEBURGA

Mędrcy w uważności znajdują radość.

DHAMMAPADA

Wybrał PIOTR SIKORA

„Apostoł Jan rzekł do Jezusa: »Nauczycielu, widzieliśmy kogoś, kto nie chodzi z nami, jak w Twoje imię wyrzucał złe duchy, i zaczęliśmy mu zabraniać, bo nie chodzi z nami«. Lecz Jezus odrzekł: »Przestańcie zabraniać mu, bo nikt, kto czyni cud w imię moje, nie będzie mógł zaraz źle mówić o mnie. Kto bowiem nie jest przeciwko nam, ten jest z nami«" – krótka, trzywersowa Ewangelia przywołana przez Liturgię w minionym tygodniu (Mk 9, 38-40). Jakże potrzebna! W szczególności polskiemu Kościołowi w niektórych najbardziej rozognionych przez ostatnie miesiące debatach.

Jezusową odpowiedź warto zestawić z niewątpliwie symfonicznym z nią zdaniem św. Pawła z Pierwszego Listu do Koryntian (1 Kor 12, 3): „Nikt, pozostając pod natchnieniem Ducha Bożego, nie może mówić: Niech Jezus będzie przeklęty! Nikt też nie może powiedzieć bez pomocy Ducha Świętego: Panem jest Jezus".

Tak oto dane nam jest uchwycić sekret nieznanego egzorcysty. Działa „w imię Jezusa" – a więc ogłaszając Go jako Pana. Nie może tego czynić inaczej, jak tylko mocą Ducha Świętego. A skoro działa w Nim – nie jest też w stanie „źle mówić" o Jezusie. Tak w każdym razie rozeznaje jego działanie sam Jezus. Konsekwentnie mówi też apostołom: on „jest z nami", nawet jeśli „nie chodzi z nami".

Zaczynamy rozumieć obawę Jana: czy Duch Święty może, czy ma prawo działać poza naszymi eklezjalnymi (wyznaniowymi) strukturami i ramami? Przecież to właśnie „u nas" znajdują się wszystkie elementy i wymiary Kościoła – to właśnie w naszej wspólnocie są one wszystkie obecne.

Wyzwanie, przed którym stoją apostołowie, nie daje się zredukować do takich czy innych kwalifikacji czy predyspozycji osoby: a że jedni są bardziej „otwarci", a drudzy mniej; jednym dialog z innymi przychodzi łatwiej, drugim trudniej; jedni są ciekawi innych, a drudzy skupiają się na zabezpieczeniu własnej tożsamości.

Tu chodzi o coś kompletnie innego! To nie ów egzorcysta jest dla uczniów wyzwaniem. Nie on je stwarza. Autorem wyzwania, przed którym naraz stanęli, jest Duch Święty. To On działa „tam, gdzie chce". To On – jak wielokrotnie przypominał o tym w ostatnich miesiącach papież Franciszek – jest Suwerenem w Kościele. To On wyznacza granice Kościoła. A czyni to z wolnością i gwałtownością Wiatru.

Jest Twórcą i Panem Kościoła, nie zaś jego Zakładnikiem.

Pytanie postawione apostołom ostatecznie brzmi: czy poddadzą się władzy i działaniu Ducha Świętego? Czy odnajdą się we wspólnocie, którą On tworzy? Czy raczej wybiorą fałszywe i zbudowane wyłącznie na sobie poczucie bezpieczeństwa? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (10 – 17 III)

1. niedziela Wielkiego Postu: Pwt 26, 4-10; Ps 91; Rz 10, 8-13; Łk 4, 1-13;
Poniedziałek: Kpł 19, 1-2. 11-18; Ps 19; Mt 25, 31-46;
Wtorek: Iz 55, 10-11; Ps 34; Mt 6, 7-15;
Środa: Jon 3, 1-10; Ps 51; Łk 11, 29-32;
Czwartek: Est 4, 17k. l-m. r-u; Ps 138; Mt 7, 7-12;
Piątek: Ez 18, 21-28; Ps 130; Mt 5, 20-26;
Sobota: Pwt 26, 16-19; Ps 119; Mt 5, 43-48;
2. niedziela Wielkiego Postu:
Rdz 15, 5-12. 17-18; Ps 27; Flp 3, 17 – 4, 1;
Łk 9, 28b-36.

ZIELONA RULETKA

Władysław Kosiniak-Kamysz, podpisując porozumienie z liberałami i lewicą, może przyspieszyć odpływ swego elektoratu do PiS i ułatwić Jarosławowi Kaczyńskiemu utrzymanie władzy. Opozycjo, nie ciesz się zbyt wcześnie.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Gdyby Władysław Kosiniak-Kamysz pozostawił swoje Polskie Stronnictwo Ludowe poza Koalicją Europejską, to cały koncept jednoczenia opozycji przed eurowyborami straciłby sens.

Po długich deliberacjach, przy przychylności większości członków władz PSL i głośnej niechęci mniejszości, prezes ludowców zdecydował się na rzecz bez precedensu – pójdzie do wyborów europejskich w koalicji z Platformą, SLD, Nowoczesną, Zielonymi itp. To najpoważniejsza decyzja polityczna ludowców od momentu, gdy w 1990 r. ich partia sprytnie przepoczwarzyła się ze wspierającego komunistów Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w niepodległościowe PSL, odwołujące się do etosu Stanisława Mikołajczyka. To także najważniejsza decyzja młodego prezesa ludowców. Postawił na szali swój autorytet, który wciąż w dużej mierze wynika z pozycji jego rodziny w ludowych zastępach.

Czemu się więc zdecydował na tę ryzykowną koalicję? Bo uznał, że ma marne szanse w eurowyborach, w których głosują raczej miasta. A gdyby PSL startując solo po raz pierwszy w historii nie przekroczył progu wyborczego, wpadłby w tarapaty. No i źle by to wróżyło znacznie ważniejszym wyborom parlamentarnym.

– Koalicja Europejska bez PSL nigdy nie miałaby szans na zwycięstwo. Nasza decyzja daje szansę na zmianę władzy w kraju – mówi mi buńczucznie lider PSL.

Zauważam: – Prawda jest taka, że programowo PSL pasuje do koalicji PO-SLD-Zielonych i pomniejszych partyjek jak pięść do nosa. Lewica chce zliberalizować aborcję, wy się na to nie zgodzicie. Nowoczesna chciała likwidować KRUS, a to wasza reduta. Tę wyliczankę mogę ciągnąć długo.

Kosiniak: – Różnimy się z naszymi koalicjantami w sprawach światopoglądowych czy gospodarczych. Tyle że te kwestie nie są rozstrzygane na poziomie Unii Europejskiej. Po drugie koalicji nie tworzy się, gdy się ma takie same poglądy. Gdybyśmy we wszystkim się zgadzali, bylibyśmy w jednej partii. A po trzecie, dzięki PSL w koalicji nie będzie niebezpiecznego skrętu w lewo. Jesteśmy strażnikami centrowego kursu.

Po pierwsze, drugie i trzecie: tak naprawdę nie chodzi o program, tylko o przetrwanie.

Bezpieczny poligon

Jeszcze nigdy w swej najnowszej historii PSL nie był w tak trudnej sytuacji politycznej. Z jednej strony PiS dąży do przejęcia wiejskiego i małomiasteczkowego elektoratu. Dla Kaczyńskiego to sprawa kluczowa, jeśli chce utrzymać władzę na jesieni. W dużych miastach nie ma czego szukać. W jesiennych wyborach samorządowych miastowi pokazali mu gest Kozakiewicza (*nota bene* swego czasu słynny lekkoatleta był kandydatem PSL na posła z Warszawy).

W dodatku wyrazisty konflikt przeorał polską scenę polityczną na pół, a PSL trudno się w tym odnaleźć – programowo, historycznie, emocjonalnie. W tej sytuacji decyzja o koalicji wydaje się logiczna. Ale to tylko pozory. Bo PSL to partia o szczególnej tożsamości, która z zasady startuje w wyborach pod własnym szyldem. W dodatku ludowcy nie mają wyboru – atakowani przez PiS, mogą pójść w koalicji tylko z liberałami i lewicą. Oczywiście, Platforma to liberalizm mocno ociosany, zaś SLD to lewica mocno pragmatyczna. W dodatku obie partie są przez ludowców dobrze obwąchane przez cztery kadencje wspólnych rządów (dwie z SLD i dwie z PO) oraz niezliczoną liczbę koalicji w terenie. Ale wciąż to spore ryzyko.

Młody lider ludowców zdecydował się na nie, uznając, że wybory europejskie to dobry poligon. Można przetestować ten wariant polityczny za stosunkowo niewielką cenę. Jeśli koalicja nie chwyci, to PSL wróci przed wyborami parlamentarnymi do swego szyldu, zielonej koniczynki, co najwyżej wystawiając wspólne listy z PO i SLD do Senatu.

Ale we władzach partii panuje na razie ostrożny optymizm. Przy obietnicy kilku dobrych miejsc dla kandydatów ludowców, Kosiniak jest w stanie obronić dzisiejszy stan posiadania, czyli cztery fotele europosłów. To byłaby gwarancja spokoju do jesiennych wyborów, które mogą mu zapewnić bezprecedensowy polityczny awans, albo strącić w nicość. Lider PSL świetnie to wie, dlatego kalkuluje jak mało kto.

Chłop specyficzny

Kosiniak to chłop specyficzny. Potomek zasłużonego dla ludowców rodu Kosiniaków-Kamyszów, których nazwisko ↦

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

↦ w zielonych szeregach zastępuje partyjną legitymację.

Imię ma po dziadku, chłopie, żołnierzu 13. Pułku Ułanów Wileńskich i Batalionów Chłopskich. Jego ojcem jest lekarz Andrzej Kosiniak-Kamysz, minister zdrowia w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Już w końcówce PRL, gdy ZSL był jeszcze wierny towarzyszom z PZPR, Kosiniak-Kamysz senior był wiceministrem zdrowia w rządzie Mieczysława Rakowskiego i głównym inspektorem sanitarnym kraju.

Bracia Andrzeja – czyli stryjowie Władysława – także są dobrze osadzeni w polityce. Zwłaszcza Zenon Kosiniak-Kamysz, który podczas rządów PSL z SLD był m.in. wiceszefem MSWiA, a za PO-PSL – wiceministrem obrony, a potem ambasadorem w Kanadzie i Singapurze. To właśnie jego dotknęła największa rodzinna tragedia.

– To był 9 sierpnia 2010 roku, stryj był wtedy ambasadorem w Kanadzie, a do Polski na wakacje przyjechały jego dzieci, moi kuzyni: Michał miał 20 lat, a Marysia 16, jechali samochodem do Krynicy z kuzynką Sylvią, wypadek, zginęli na miejscu. Miałem dyżur w szpitalu, gdy się o tym dowiedziałem. Potem odbierałem stryja z lotniska... Po tym pogrzebie już żaden nie robi na mnie wrażenia. To był największy koszmar, jaki przeżyłem— wspominał po latach Władysław Kosiniak-Kamysz.

Prawdziwy pan doktor

Kosiniak-Kamysz junior miał dyżur w szpitalu, bo – jak ojciec – jest lekarzem. Skończył Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest doktorem nauk medycznych (praca doktorska „Związek zmienności genu kodującego cyklohydrolazę GTP l z funkcją śródbłonka naczyniowego u chorych z cukrzycą typu 2" obroniona 9 lat temu).

Działalność polityczną zaczynał w młodzieżówce PSL, z takim nazwiskiem to był naturalny wybór. Ale pierwsze wybory już tak oczywiste nie były. Wystartował w 2010 r. do rady miasta w Krakowie z listy prezydenta Jacka Majchrowskiego, kojarzonego z SLD. Wszedł dzięki temu, że sam Majchrowski wygrał kolejną kadencję i zrezygnował z mandatu radnego, robiąc dla niego miejsce. – Majchrowski odwiedzał rodziców w domu, jeszcze gdy był wojewodą pod koniec lat 90. Pomagałem mu już w pierwszych wyborach prezydenckich w 2002 r. – wspomina Kosiniak-Kamysz.

Do dziś łączą go z prezydentem dobre kontakty. Przed ostatnimi wyborami samorządowymi Majchrowski obiecywał Kosiniakowi, że się wycofa i namaści go na następcę pod Wawelem. Oczywiście, i jak zwykle w ostatniej chwili, zmienił zdanie. Miałem wtedy na bieżąco kontakt z Kosiniakiem. Choć starał się robić dobrą minę do złej gry, widać było, że doskwiera mu to, iż stary krakowski lis go ograł.

Kosiniak jest grzeczny i ułożony, nawet polityka nie była w stanie nauczyć go bezwzględności i wulgarności.

Pierwszy tysiąc dla rodziców

Radnym był krótko. Już następny rok to posada ministra pracy w drugim rządzie Donalda Tuska, po wyborach sejmowych w 2011 r.

– Lider PSL Waldemar Pawlak proponował mi tę posadę już w 2007 r., gdy powstawała koalicja z PO. Ale ja chciałem się dalej uczyć, wtedy nie miałem jeszcze nawet egzaminu lekarskiego. Odmówiłem też stanowiska wicewojewody małopolskiego. W 2011 r. propozycja ministerialna padła znowu, co było znamienne, bo Pawlak miał w zwyczaju obrażać się na ludzi, którzy raz mu odmówili. Tusk mnie widział raczej w zdrowiu, ale władze PSL zdecydowały, że wolimy resort pracy – opowiada.

Zastąpił na stanowisku swą starszą partyjną koleżankę Jolantę Fedak, która – mówiąc najoględniej – miała kłopoty osobiste i łatwość generowania bezsensownych konfliktów w resorcie.

Wtedy tak naprawdę wypłynął na szerokie wody. Przy wsparciu ówczesnego prezydenta, Bronisława Komorowskiego, sporo zdziałał w obszarze polityki społecznej: roczne urlopy rodzicielskie, zasada „złotówka za złotówkę" (w razie przekroczenia progu dochodowego świadczenie rodzinne nie jest odbierane, tylko redukowane o kwotę przekroczenia) czy „kosiniakowe" (1000 zł miesięcznie przez pierwszy rok życia dziecka dla rodziców, którzy nie mogą skorzystać z urlopów rodzicielskich, np. rolników, bezrobotnych czy studentów).

Zabrakło mu jednak politycznej siły przebicia, by pójść jeszcze dalej, w kierunku takim, który potem wytyczył PiS swym efektownym 500 plus. Nie miał też wielkich umiejętności autopromocyjnych – przez to do dziś regularnie musi przekonywać, że pierwsze zauważalne zmiany wspierające rodziców to jego zasługa.

Oblężeni przez PiS

Już jako minister – z racji wieku, rodzinnych tradycji i posady ministra – zaczął się pojawiać w spekulacjach dotyczących przyszłego prezesostwa PSL. Pogłoski nasiliły się zwłaszcza po 2012 r., gdy prezesurę partii sensacyjnie stracił ówczesny wicepremier Waldemar Pawlak. Pokonał go lekceważony partyjny *outsider* Janusz Piechociński, który miał jednak kłopot z kontrolowaniem partii i od początku uważany był za prezesa przejściowego.

Prezesurę PSL Kosiniak objął ostatecznie dopiero po wyborach w 2015 r., gdy pod wodzą Piechocińskiego PSL ledwo wszedł do Sejmu.

Kosiniak szybko odmłodził kierownictwo partii, a w mediach społecznościowych zaczął wręcz promować określenie „nowy PSL" – by pokazać przemianę partii i trafić do młodszych wyborców.

Obecne decyzje polityczne lidera i partii mogłyby być inne, gdyby nie początek tej właśnie kadencji Sejmu. Kiedy ludowcy lizali rany po porażce i wymieniali swoje władze – co jest w ich przypadku zawsze skomplikowaną układanką między różnymi nurtami i klanami w partii – niesiony wyborczą euforią PiS zaczął ostro PSL atakować. A to nie przyznał ludowcom stanowiska wicemarszałka Sejmu, a to sekował ich we władzach komisji, by w finale przystąpić do ordynarnej próby rozbicia klubu PSL kupowaniem posłów. Po wyborach klub PSL liczył 16 posłów, jednego ponad niezbędne minimum. Tyle że obóz władzy najpierw podebrał mu Andżelikę Możdżanowską (została wiceministrem w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju, a teraz kandyduje z listy PiS do Europarlamentu), a potem Mieczysława Baszkę (trafił do partii Jarosława Gowina). Brak klubu w Sejmie oznacza, że partia nie miałaby żadnych instrumentów uprawiania polityki na poziomie ogólnopolskim. Sytuację uratował taktyczny sojusz z trzema dawnymi posłami PO, którzy odeszli z partii po konflikcie z Grzegorzem Schetyną. To Michał Kamiński, Stefan Niesiołowski i Jacek Protasiewicz uratowali klub dla PSL (ten ostatni zresztą został potem wypożyczony Nowoczesnej, gdy z kolei Schetyna próbował ją rozbić).

– PiS próbował zrobić wszystko, żeby nas zniszczyć – mówi mi Kosiniak-Kamysz. – Dziś słyszę, jak lamentują po naszej decyzji o przystąpieniu do Koalicji Europejskiej, że zdradzamy swoje ideały i wyborców. Tyle że to oni te ideały i wy-

borców chcieli nam ukraść. Nawet zaczęli jeździć do Wierzchosławic, żeby udawać, iż czczą Witosa. To obłuda i fałsz. Mamy z PiS wspólnotę programową w sprawach społecznych. Ale z ugrupowaniem, które tak działa i które łamie konstytucję, koalicji nigdy nie stworzymy.

Na barykadach z KOD

Ta konfrontacyjna polityka PiS zaprowadziła Kosiniaka-Kamysza na barykady KOD. Razem ze skłóconymi liderami poobijanej Platformy i przywódcami wznoszącej się Nowoczesnej stawiał się na wezwania Mateusza Kijowskiego.

Nie wszystkim w PSL ten pierwszy wyraźny ukłon wobec liberałów i lewicy się podobał. W drugiej połowie 2016 r. Kosiniak po cichu zniknął z kodowskich happeningów. Ale w momentach kluczowych wciąż stał tam, gdzie anty-PiS. Był jedną z głównych postaci protestów przeciwko reformie sądownictwa z 2017 r. „Wmawiają całej Polsce, że chcą więcej sprawiedliwości. Zdzieramy tę maskę obłudy" – tak trenował swój wiecowy talent.

Pierwszym prawdziwym testem były dla niego wybory samorządowe w 2018 r. Dla PSL to najważniejsze ze wszystkich głosowanie, bo partia ma wielu wójtów, burmistrzów i radnych w całej Polsce. Oczywiście, PSL znalazł się na pierwszej linii strzału. Ostro atakowali go liderzy PiS na czele z Kaczyńskim i Morawieckim (perfidni postkomuniści, uwłaszczyli się, nic dobrego dla wsi nie zrobili).

Pierwsze powyborcze sondaże dawały PSL 17 proc. – ale ostatecznie skończyło się na 12 proc. Wynik na tyle dobry, by Kosiniak odetchnął z ulgą, a jednocześnie na tyle niepokojący, żeby poważnie pomyślał nad koalicją z Platformą w wyborach europejskich i parlamentarnych. Dziś prezes PSL mówi mi: – Kiedy obejmowałem partię po przegranych wyborach w 2015 r., byliśmy pobici, morale spadało, nie było pieniędzy, a PiS wyrzucał naszych działaczy z pracy. To były najtrudniejsze trzy lata w historii PSL. Teraz już jesteśmy na prostej. Skoro dziś znów PiS nas atakuje, to znaczy, że uznali nasz akces do Koalicji Europejskiej za śmiertelne zagrożenie.

Wyprowadzka sztandarów

Koalicja Europejska jest przełomem nie tylko dla PSL. Powiedzmy to sobie szczerze: czy ludowcy traktują sojusz z Platformą taktycznie, czy strategicznie, to bez wątpienia ze swego szyldu z koniczynką rezygnować nie zamierzają. Ale dla partii takich jak SLD czy Nowoczesna – o planktonie w stylu Teraz! Ryszarda Petru nie wspominając – to tak naprawdę droga w jednym kierunku: wyprowadzenia sztandaru.

Nowoczesna jest już i tak bankrutem, praktycznie partią wydmuszką.

– Upadła tak nisko, że jej szefowa Katarzyna Lubnauer jest zadowolona z samego faktu, że jest na zdjęciach – mówi z sarkazmem jeden z liderów Koalicji.

Z kolei Czarzasty został wzięty fortelem. Schetyna jeszcze przed decydującymi rozmowami urządził konferencję Koalicji Europejskiej z udziałem m.in. trzech byłych premierów z SLD, Cimoszewicza, Belki i Millera. Choć z niektórymi – zwłaszcza z Millerem – Czarzasty ma dziś szorstkie relacje, to dla elektoratu SLD (a to wciąż około miliona ludzi) byłoby niezrozumiałe, gdyby SLD poszedł inną drogą niż jego premierzy.

Dlatego też Koalicja Europejska będzie tworem znacznie poważniejszym od Koalicji Obywatelskiej, jednorazowego eksperymentu PO i Nowoczesnej w wyborach samorządowych. Wynik KE w wyborach europejskich może mieć psychologiczne przełożenie na rezultat wyborów parlamentarnych. A wynik wyborów parlamentarnych wpłynie na kształt sceny politycznej na długie lata.

Czy po jesiennych wyborach będzie wciąż miejsce dla PSL? O ile elektorat Platformy – w dużej mierze także SLD – zaakceptuje każdą konfigurację dającą szansę na upodlenie PiS, o tyle wyborcy PSL są enigmą. Analiza dotychczasowych wyników wyborów pokazuje, że wyborcy samorządowi PSL często przed wyborami ogólnokrajowymi przepoczwarzają się w stronników PiS.

Czyj premier, czyj prezydent

Jeśli jednak Kosiniak-Kamysz poprowadzi umiejętnie swą rozgrywkę, to nosiciele politycznych plotek wróżą mu błyskotliwą karierę. Zwycięstwo opozycji mogłoby oznaczać, że stanie się jednym z kandydatów na premiera. Ludowcy podsycają plotki, że za takim rozwiązaniem optuje Tusk, proponując nawet, by Kosiniak został przed wyborami ogłoszony jako wspólny kandydat. To miałoby być przynętą dla wyborców PSL, skonfundowanych zbyt liberalno-lewicowym obliczem wspólnej koalicji.

Czy to prawda, trudno jednoznacznie osądzić. Tusk rozważa różne przedwyborcze opcje, choćby oparcie się na prezydentach dużych miast. Schetyna jednak takie zagrożenie dla swych premierowskich planów traktuje poważnie. Sondował nawet, czy Kosiniak zgodziłby się kandydować jako koalicyjny kandydat na prezydenta.

W ten sposób, zupełnie niepostrzeżenie, diametralnie zmienia się postrzeganie PSL w elektoracie liberalnym. Jeszcze kilka lat temu ludowcy mocno obrywali za swój genetyczny nepotyzm, twardą walkę o przywileje dla wsi i dbanie wyłącznie o własny interes. Dziś ów nieco toporny, bardzo ostentacyjny sposób sprawowania władzy przez PSL liberalne elity wspominają z rozrzewnieniem. Cztery lata rządów PiS dramatycznie zmieniły perspektywę. Dlatego też Kosiniak ma szansę stać się pierwszym liderem ludowców, którego fetować będą salony. O ile wchodząc w konszachty z salonowcami, nie straci swoich wyborców.

Kosiniak-Kamysz lubi to porównanie: Witos jako premier zaczynał od prawicowo-narodowych rządów Chjeno-Piasta, a skończył gdzie? W Centrolewie.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem".

POŻEGNANIE

Drogi Edwardzie,

przyjmij wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Twojej Żony

Wojtek i Agnieszka Kostrzewa

Niech żyje fiskus

RAFAŁ WOŚ

Polska dojrzewa do rozmowy o wyższych podatkach. W końcu nawet nasi politycy będą musieli to zauważyć.

Przy okazji przedstawienia nowych propozycji programowych PiS (m.in. objęcie programem 500 plus także pierwszego dziecka czy wypłacenie tzw. trzynastej emerytury) pojawiają się argumenty, że to ściągnie na Polskę szereg ekonomicznych plag. Z takim stanowiskiem na coraz bardziej równych prawach rywalizuje teza, że nasze wydatki publiczne (polityka rodzinna, zdrowie, edukacja) były przez lata za niskie i najwyższy czas je podnieść. Albo że nie da się dłużej snuć opowieści o cudzie gospodarczym III RP, a jednocześnie odprawiać z kwitkiem kolejnych grup społecznych, pytających coraz śmielej, czy one również mogą być tego sukcesu częścią.

Na naszych oczach zachodzi zmiana, którą można by nazwać odzyskaniem ekonomii dla demokratycznej polityki. Gospodarka ma szansę stać się polem konkurencji różnych pomysłów, a nie przedsoborową mszą, odprawianą po łacinie przez kapłanów-technokratów na oczach niewiele nierozumiejącego tłumu. To kierunek, w którym zmierzamy już od kilku lat, tym bardziej dziwi więc, że wciąż istnieje jeszcze jeden zakątek, do którego wiatry zmian nie dotarły. Czyli podatki.

Sztafeta do dna

Zgodnie z neoliberalnym przekonaniem dobre podatki to niskie podatki, a rolą polityka jest ich sukcesywne obniżanie. W historii III RP niewiele jest tematów, w których politycy przeróżnych opcji współpracowaliby równie ochoczo, co właśnie przy „wyścigu do dna podatkowej skali".

Sztafetę zaczął Leszek Balcerowicz, gdy w 1997 r. wrócił na stanowisko wicepremiera w koalicji AWS-UW. Po pierwszym rządzie SLD-PSL odziedziczył dość progresywny system podatków osobistych (stawki PIT wynosiły wtedy 21-33-45 proc. i były na solidnym zachodnioeuropejskim poziomie). Zdaniem Balcerowicza podatkowa progresja hamowała jednak rozwój gospodarczy, więc postanowił ją wyrugować, proponując podatek liniowy (22 proc.). Wprowadzającą go ustawę zawetował jednak niespodziewanie prezydent Kwaśniewski.

Dziś emerytowany lider SLD lubi sugerować, że był to przebłysk jego lewicowego sumienia. W rzeczywistości było inaczej. Kwaśniewski wetował, zasłaniając się względami formalnymi. „Niższe podatki są ważnym składnikiem wizji modernizacji Polski, której i Pan zdawał się sprzyjać!" – wyrzucali mu w rozmowie z grudnia 1999 r. publicyści „Gazety Wyborczej" Piotr Pacewicz i Agnieszka Kublik. „Powtarzam, moja decyzja nie oznacza konieczności zmiany celu, którym jest uproszczenie systemu podatkowego i sprawiedliwe obniżenie podatków. Ale tylko terminu wprowadzenia nowych uregulowań" – tłumaczył się prezydent.

To, co nie udało się Balcerowiczowi, zrealizował kilka lat później inny lider polskiej lewicy, Leszek Miller. W 2003 r. wprowadził liniową stawkę PIT (19 proc.) dla prowadzących działalność gospodarczą. Otwierając w ten sposób nie tylko furtkę, ale wręcz bramę, przez którą lepiej zarabiający zaczęli uciekać z progresywnej skali PIT: wystarczy, że zrezygnują z etatu i założą działalność gospodarczą.

Dzięki Millerowi skala podatkowa stała się domeną „frajerów" lub pracowników spółek publicznych, którym nie bardzo wypada uciec na fikcyjne samozatrudnienie. Z kolei minister finansów Grzegorz Kołodko jednym ruchem uciął CIT (podatek dochodowy dla korporacji) z 27 do 19 proc. Dzieło w praktyce zakończył Jarosław Kaczyński, który za pierwszego PiS-u spłaszczył skalę podatkową do znanych dziś stawek 18-32 i dorzucił jeszcze faktyczną likwidację podatku spadkowego – narzędzia, które było namiastką podatku majątkowego w III RP.

Tą samą drogą bardzo chciał pójść następca Kaczyńskiego, Donald Tusk (hasło 3x15 w wyborach 2007 r.). Na drodze stanął strach przed kryzysem, gdy ekonomiczni doradcy wyperswadowali mu, że ograniczanie wpływów budżetowych w czasie recesji byłoby jak pójście na wrogie czołgi w klapkach i z gołymi rękami. Ówczesny lider PO przy podatkach dochodowych więc nie majstrował, a czasem nawet podwyższał VAT i akcyzę. Zawsze jednak po cichutku i w strachu, że polityczni rywale mu to sprzeniewierzenie się liberalnym zasadom wyciągną (i wyciągali).

PiS nie spełnił nadziei

Pierwszą siłą polityczną, która próbowała zaproponować Polakom rozmowę o wyższych podatkach, była nieformalna koalicja buntowników opuszczających pokład tonącego SLD, Unii Pracy i Samoobrony. W 2004 r., wbrew mniejszościowemu rządowi Marka Belki, przeforsowali postulat uzupełnienia skali PIT o 50-procentową stawkę dla najbogatszych (Lepper chciał, by zaczynał się on już od 100 tys. zł rocznego dochodu). Propozycję podważył jednak Trybunał Konstytucyjny i nigdy nie weszła w życie. Podobnie jak zgłoszona dekadę później inicjatywa SLD, odrzucona bez trudu przez sejmową większość PO-PSL.

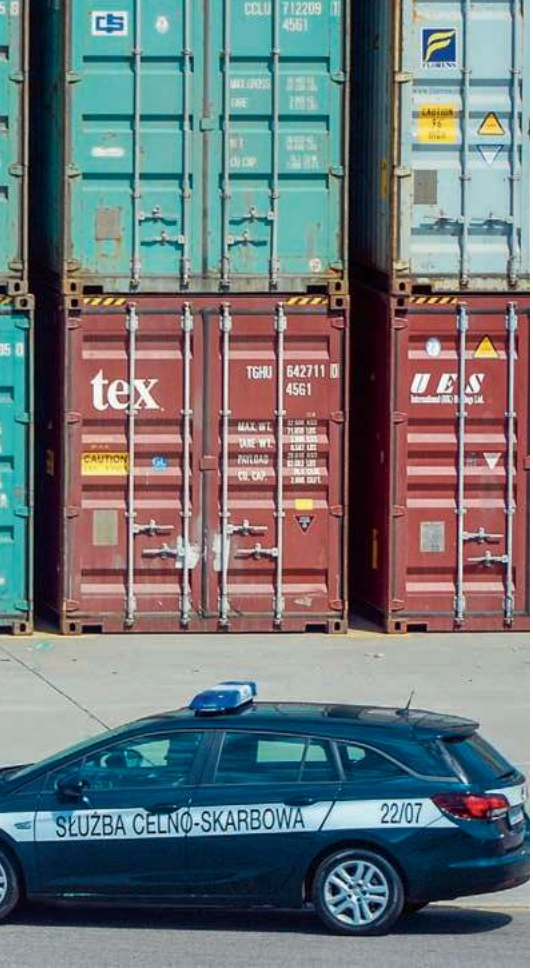

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Pod terminalem kontenerowym w Gdańsku, maj 2018 r.

Pewne nadzieje na otwarcie rozmowy o podatkach dawał PiS. Do wyborów 2015 r. szedł z gotowymi projektami nowych danin – podatku bankowego i od sklepów wielkopowierzchniowych. Ostatecznie w życie wszedł tylko ten pierwszy (sklepowy ugrzązł z powodu sprzeciwu Komisji Europejskiej). W 2018 r. partia Kaczyńskiego dorzuciła jeszcze wymyśloną pod wpływem chwili (protesty opiekunów osób niepełnosprawnych) daninę solidarnościową.

Jej kształt pokazuje jednak, że na szczytach obecnej władzy jest wiele rezerwy przed nowymi, bardziej progresywnymi podatkami. „Daninę" (rząd upiera się, by broń Boże nie mówić o nowym podatku) zapłacą nie tylko najbogatsi, zarabiający powyżej miliona złotych rocznie: premier Morawiecki dosypie do niej z Funduszu Pracy, na który zrzucają się wszyscy płatnicy PIT. I to już progresywne nie jest.

Mimo tych zarzutów „danina" mogłaby się stać zalążkiem nowego podatku majątkowego (którego w Polsce właściwie nie ma). Tak się jednak najpewniej nie stanie. Im bliżej wyborów, tym chętniej Morawiecki i Kaczyński wracają na starą jednokierunkową ścieżkę: „dobre podatki to niskie podatki".

Fiskalne piekło czy może jednak raj?

Wygląda więc na to, że w porównaniu z latami 90. nie zmieniło się wiele. Dlaczego? Pytani o to politycy mówią, że „podatki w Polsce są przecież wysokie i trzeba Polakom ulżyć". To jednak jeden z najtrwalszych mitów naszej debaty publicznej.

Przeświadczenie, że żyjemy w podatkowym piekle, obalić łatwo. Wystarczy sięgnąć do statystyk (Eurostat publikuje je co roku). Podstawowy sposób mierzenia apetytów fiskusa to udział podatków w całym potencjale gospodarczym kraju (czyli w PKB). W roku 2017 (najnowsze dane, jakimi dysponujemy) sięgał on w Polsce 35 proc. Na tle innych krajów europejskich jest to obciążenie raczej niskie. Średnia dla całej Unii wynosi 40 proc., a dla strefy euro nawet 41,4 proc. Rekordzistami są Duńczycy (46 proc.) i Szwedzi (45 proc.). Niemcy – na których tak lubimy się ostatnio wzorować – mają podatki na poziomie 40,5 proc. PKB. Gdyby rację mieli zwolennicy podatków niskich, to wszystkie te kraje powinny się dawno załamać pod ciężarem własnego fiskalizmu. W rzeczywistości jest odwrotnie. Wszystkie one świetnie radzą sobie w warunkach zglobalizowanej konkurencyjnej gospodarki XXI w.

Rzut oka na dane historyczne pozwala obalić inne przeświadczenie, zgodnie z którym kraje te najpierw się dorobiły, a dopiero potem zaczęły nakładać podatki. Otóż po II wojnie światowej podatki w krajach zachodnich były dużo wyższe niż dziś (górna stawka PIT sięgała tam średnio 60 proc., a w niektórych przypadkach dochodziła nawet do 80 proc.), teraz zaś wynosi przeciętnie 40 proc. (i tak sporo wyżej od naszych 32 proc.).

Wielu ekonomistów uważa więc, że ta podatkowa solidarność społeczeństw zachodnich to przyczyna, a nie skutek ich obecnego poziomu dobrobytu. Rodzaj inwestycji w swoje własne społeczeństwa, od której pokolenie powojennych zachodnich kapitalistów się nie uchyliło. I świetnie na tym wyszło.

W Europie są oczywiście takie kraje, gdzie fiskus jest jeszcze bardziej liberalny niż w Polsce. Ale są to zazwyczaj (z wyjątkiem Irlandii) kraje od nas biedniejsze (Bułgaria, Rumunia), które w podatkowym wyścigu do dna widzą jedyną szansę konkurowania z resztą kontynentu. Albo miejsca, które przez lata specjalizowały się w roli unijnych rajów podatkowych (Cypr i Malta).

Pamiętajmy, że w podatkach nie chodzi tylko o ich udział w PKB, lecz także o to, jak ich ciężary podzielone są pomiędzy obywateli o różnym statusie. Wyobraźmy sobie zobowiązania fiskalne jako trzy duże worki. Pierwszy to podatki dochodowe (czyli wspomniane już PIT i CIT). Drugi worek to podatki pośrednie, z których najważniejszy jest VAT. Trzecia duża grupa danin fiskalnych to ubezpieczenia społeczne: płacone na wypadek choroby i na poczet przyszłej emerytury. Porównując rozmiary tych trzech worków można wiele powiedzieć o filozofii ekonomicznej i społecznej każdego kraju.

Jeśli postawimy obok siebie worki polskie, zobaczymy, że mówienie o liberalnym modelu polskich przemian nie jest żadnym nadużyciem. Nasz worek z VAT-em jest niezwykle duży, większy niż ten z PIT-em i CIT-em. Podobnie mają kraje takie jak Rumunia, Bułgaria, Węgry albo państwa bałtyckie. W Niemczech, Austrii, Danii albo Belgii jest odwrotnie: tutaj PIT i CIT jest większy od VAT.

Konsekwencje nie są błahe. Oznaczają tyle, że w Polsce polegamy bardziej na podatkach, które są płaskie. Bo VAT – zaszyty w cenie towarów i usług, które codziennie kupujemy – wynosi przecież w handlu detalicznym dokładnie tyle samo dla każdego, bez względu na jego sytuację materialną.

PIT i CIT to z kolei narzędzia, przy pomocy których państwo może nie tylko napełniać budżet, ale również dbać o wyrównywanie społecznych różnic. Taki jest właśnie sens podatkowej progresji. To znaczy mechanizmu, w myśl którego w miarę wzrostu dochodów rosną również procentowe zobowiązania fiskalne. Problem w tym, że podatkowe decyzje kolejnych rządów sprawiły, że w naszych podatkach myślenia progresywnego jest wyjątkowo niewiele.

Można nawet powiedzieć, że to właśnie ten brak progresji jest prawdziwym wyjaśnieniem mitu o rzekomo wysokich polskich podatkach. Podatnika nie interesują przecież statystyki makroekonomiczne. Patrzy na własne zobowiązania – w przypadku pracowników na tzw. klin podatkowy. Czyli na różnicę między zarobkami brutto (przed potrąceniem podatku i składek na ubezpieczenie społeczne) a tym, co dostają netto (czyli „na rękę"). Klin najbardziej daje się we znaki tym, którzy ↦

↦ zarabiają najmniej. To oczywiste, że inaczej na różnicę między płacą brutto a netto spojrzy pracownik dostający 49 tys. zł brutto miesięcznie (a że są tacy ludzie w Polsce, przekonuje nas niedawne ujawnienie zarobków w NBP): te 34 tysiące, które zostają w kieszeni, prawdopodobnie uwolnią go od goryczy spowodowanej świadomością, że *de facto* zostawił fiskusowi 30 proc. zarobków. Dużo gorzej zniesie to jednak pracownik, który wyciąga sumę o jedno zero mniejszą. Z jego pensji wynoszącej 4,9 tys. zł na konto wpłynie mu tylko 3,4 tys. zł. Dla niego zabrane 30 proc. waży dużo więcej.

O podatkach po nowemu

Polacy, wbrew stereotypowi, nie są narodem szczególnie antypodatkowym. Według badania CBOS (rok 2016) 92 proc. z nas uważa, że „należy płacić podatki, gdyż z nich finansowane są ważne cele i potrzeby społeczne". Sondaż relatywizuje nawet sam mit o „podatkowym piekle". Wprawdzie większość zgadza się, że daniny są zbyt wysokie, ale nie dlatego, że podatek to zło. Uważamy raczej, że „są wysokie w stosunku do tego, co państwo zapewnia obywatelom". Wreszcie gwóźdź programu: niezmiennie od lat Polacy częściej opowiadają się za progresywnym niż liniowym opodatkowaniem dochodów (66 wobec 24 proc.).

Mimo tak intrygujących wyników żadna – jak dotąd – siła polityczna nie podjęła próby zaproszenia Polaków do rozmowy o konieczności podwyższenia podatków i uczynienia ich bardziej sprawiedliwymi. Jednocześnie coraz wyraźniej widać, że taka rozmowa jest nieuchronna. Redystrybucja, która weszła przebojem do polskiej polityki po 2015 r., wymaga stabilnych źródeł finansowania. A dla kraju takiego jak Polska podatki to jedyna dostępna dźwignia.

> Aż 92 proc. Polaków uważa, że **należy płacić podatki**, gdyż z nich finansowane są ważne cele i potrzeby społeczne.

Przy okazji warto pamiętać, że podatki nie tylko napełniają budżet. Dzięki polityce podatkowej możemy np. próbować przynajmniej zatrzymać wzrost majątkowych nierówności i zmniejszyć nieco popyt na czysto spekulacyjne instrumenty finansowe. Progresywne podatki mogą mieć także symboliczny wymiar: dać sfrustrowanym masom obywateli sygnał, że ich władze widzą problem utraty społecznej spójności (trochę próbuje robić to PiS).

Co więcej: nie trzeba tu wymyślać prochu. Trwająca na Zachodzie po 2008 r. debata o przyszłości kapitalizmu wygenerowała cały zestaw możliwych pomysłów i inspiracji. Więcej progresji w polskim podatku PIT to krok pierwszy i najbardziej oczywisty. Trzeba go także powiązać z domknięciem wspomnianych już dziur, w stylu 19-procentowego podatku liniowego dla przedsiębiorców. O tym, że progresja jest możliwa, dowodzi trwający w Polsce eksperyment z CIT-em. Od pewnego czasu nie jest on liniowy, lecz zależy od rozmiaru przedsiębiorstwa (mniejsi płacą mniej).

Ale to dopiero początek. Innym dobrym sposobem zmniejszenia dysproporcji między zwycięzcami a przegranymi współczesnego kapitalizmu są podatki majątkowe. W głośnym „Kapitale w XXI wieku" Thomas Piketty proponuje kilka modeli. Można sobie np. wyobrazić podatek 0 proc. dla majątku netto poniżej miliona euro, a potem 1 proc. dla majątku na poziomie 1–5 milionów. I 2 proc. powyżej 5 milionów.

W Polsce z podatkiem majątkowym jest wyjątkowo słabo. W efekcie zyski czerpane z nieruchomości albo aktywów finansowych fiskus opodatkowuje dużo łagodniej niż dochody z pracy, co sprzyja szybkiej akumulacji kapitału przez tych, którzy już ten kapitał mają. Daliśmy na to przyzwolenie, eliminując również podatek spadkowy pomiędzy najbliższymi krewnymi.

Argumentacja na rzecz wolnych spadków jest oczywiście doskonale znana. Wywodzi się z przekonania, że jak ktoś sobie wypracował, to dlaczego miałby się tym dzielić z kimś innym niż własna rodzina. Takiej argumentacji można jednak próbować przeciwstawić myślenie o dobru wspólnym jako kategorii szerszej. Albo posiłkować się badaniami. W jednym z najnowszych (Kindermann, Mayr, Sachs, 2018) dostajemy ekonomiczny model, z którego wynika, że niewysokie podatki spadkowe (wbrew stereotypowi) wcale nie zniechęcałyby ludzi do pracy. Przeciwnie. Świadomość, że oczekiwany spadek będzie opodatkowany, działałaby motywująco, a sukcesorzy nie odpuszczaliby sobie pracy (tak robią dziś, oczekując nieopodatkowanego spadku).

Pomysłów na nowe podejście jest wiele. Dlatego rozmowa powinna się rozpocząć. Pytanie, kto pierwszy dostrzeże tkwiący tu polityczny potencjał? ©℗ RAFAŁ WOŚ

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Tychach, I Wydziałem Cywilnym, toczy się pod sygn. I Ns 274/18 sprawa z wniosku Henryka Labusa z udziałem Adeli Labus, Janiny Labus, Adama Labusa, Barbary Sieńczewskiej, Urszuli Labus, Grzegorza Barusia, Gabrieli Gondzik, Eugeniusza Barusia, Marcina Benskiego i Ryszarda Benskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Romanie Hudzikowskim, s. Franciszka i Marii, zm. 22 maja 1998 r. w Bochum (Niemcy), którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu był Bieruń Stary. Zawód spadkodawcy oraz skład majątku spadkowego nie są znane.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 303/18, toczy się postępowanie z wniosku Danuty Wójcickiej i Krzysztofa Wójcickiego o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Mazanów, stanowiącej działkę oznaczoną numerem 368, o powierzchni 0,16 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców po Józefie, s. Jana i Józefy, i Helenie małżonkach Betlejewskich, do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy sie, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Prezydent Andrzej Duda wręcza nominacje na wyższy stopień oficerom SOP. Belweder, Warszawa, czerwiec 2018 r.

Służba specjalnej troski

RAFAŁ ZYCHAL

Służba Ochrony Państwa właśnie straciła szefa, a po kolejnych wpadkach trudno znaleźć jej obrońców. Jak kolejne zamieszanie wpłynie na bezpieczeństwo VIP-ów?

Tomasz Miłkowski wytrzymał na czele SOP blisko dwa lata. Przeprowadził jej transformację – od Biura Ochrony Rządu do Służby Ochrony Państwa. Oficjalnie odchodzi w atmosferze zrozumienia i po rozmowach z szefem MSWiA. Ale wiele wskazuje na to, że czara goryczy po prostu się przelała.

SOP od miesięcy nie miał dobrej passy. Wszystko za sprawą problemów kadrowych, które zaowocowały kolejnymi wpadkami. Jedne były drobne i nie zawsze trafiały do mediów, inne już poważniejsze, jak choćby kolejne stłuczki rządowych kolumn, zostały zauważone i szeroko komentowane. Kosztem wizerunku służby, której daleko było do profesjonalizmu amerykańskiej Secret Service.

Sam generał dołożył swoje. Echem odbiła się jego rozmowa w TVN24, gdzie tłumaczył się z kolejnej stłuczki z udziałem kolumny Beaty Szydło. Choć przyznał, że „pewnie zdarzają się one za często", to od razu zaznaczył, że w tym samym dniu w kraju doszło do prawie 1400 kolizji. „Tak się zdarza, bo tak ruch drogowy czasami wygląda" – dodał.

SOP wielokrotnie zapewniał, że sytuacja jest pod kontrolą, a służba realizuje zadania. Przecieki wskazywały na coś zupełnie innego – młodzi stażem funkcjonariusze po prostu sobie nie radzą, a doświadczonych zostało niewielu. Do tego doszły problemy we współpracy z innymi służbami z zagranicy. Sam komendant miał zaś zyskać pseudonim „wtorek-czwartek", bo tylko w tych dniach zwykł pojawiać się w biurze przy ul. Podchorążych.

Stłuczka za stłuczką

Najgroźniejsze wypadki miały miejsce w 2016 i 2017 r. Najpierw o krok od tragedii był prezydent Duda, w którego limuzynie pękła opona. Uratowały go umiejętności kierowcy. Rok później w wypadku uczestniczyła premier Szydło. Czy po tych zdarzeniach na pewno wyciągnięto właściwe wnioski? Owszem, zmienił się szef, potem nazwa formacji, ale mijały kolejne miesiące, a kolumny z VIP-ami uczestniczyły w kolejnych „zdarzeniach drogowych". Media co chwilę rozpisywały się o stłuczkach oraz problemach samochodów SOP i ich kierowców. Liczba takich sytuacji wzrosła do niepokojącego poziomu.

Kłopoty w tej służbie nawarstwiały się od lat i sięgają jeszcze czasów jej poprzedniczki, czyli BOR. Teraz obserwujemy ich kulminację. Po kolejnych zmianach w formacji brakuje doświadczonych funkcjonariuszy. Młodzi wciąż się uczą, niekoniecznie pod okiem najlepszych. A to oznacza, że są dużo bardziej narażeni na kolejne błędy. W tle są także pieniądze: funkcjonariusz rozpoczynający pracę może liczyć na niewiele ponad 2000 zł. Rząd PiS dał im podwyżkę, ale nie tak sowitą jak innym służbom. To było kolejnym argumentem dla tych starszych, by jednak wybrać się na emeryturę.

Gdy BOR zmieniał się w SOP, ze służby odeszło nawet 200 doświadczonych funkcjonariuszy. – To dla mnie najbardziej bolesna kwestia. Zawsze miałem 100-200 opracowanych kandydatur w szufladzie i komfort wyboru. Dziś raczej widzę negatywną selekcję, to nie są kandydaci „pierwszego sortu" – zauważa Mirosław Gawor.

– Pojawili się ludzie z innych służb, policji czy służby więziennej. Mam szacunek do wszystkich, ale specyfika pracy w SOP jest inna. Jeśli przychodzą osoby, które nie znają się na tej robocie, to niestety popełniają błędy – kwituje Andrzej Pawlikowski, dwukrotny szef BOR.

Do trzech razy sztuka?

Co trzeba zrobić, by odwrócić ten niekorzystny trend? Dosypać pieniędzy? Tego nigdy za wiele, zwłaszcza w tak newralgicznym obszarze państwa, który po macoszemu traktowany jest od dawna. Trudniejsza jest jednak odpowiedź na inne pytanie: kto się podejmie misji naprawy?

– Ja już swoją misję miałem – mówi krótko gen. Andrzej Pawlikowski, szef. To on przygotował plan zmian i transformacji tej służby w SOP. – Mój projekt trafił na biurka najważniejszych osób w państwie. Gdy powstała nowa służba, zrealizowano z niego około 40 proc. Reszta? Politycy powiedzieli „nie". Gdyby został wdrożony w całości, nie mielibyśmy dziś ↦

problemów, które obserwujemy od pewnego czasu – zapewnia.

Co, jego zdaniem, należy zrobić w pierwszej kolejności? – Zagwarantować odpowiednie zarobki, ale też przeprosić się z niektórymi starszymi funkcjonariuszami. I przekonać ich, żeby wrócili do służby – odpowiada.

Mimo wielu różnic, dziś patrząc na to, co się dzieje w SOP, byli szefowie formacji mówią właściwie jednym głosem. – Jeśli słyszę w mediach, że pod dom premiera podjeżdża funkcjonariusz, przypadkowo uruchamia koguty, nie umie ich wyłączyć, budzi ludzi, a na koniec zatrzaskuje samochód, to łapię się za głowę. To nie do pomyślenia – mówi gen. Marian Janicki, szef BOR w latach 2007-13. – Tam nie może być przypadkowych ludzi, z kierowcą na czele. Takim samochodem naprawdę trzeba umieć jeździć – dodaje.

Sytuacja, o której wspomina, miała spotkać Mateusza Morawieckiego. Rzecznik SOP zdementował jednak te doniesienia. „W ostatnich miesiącach wiele razy media publikowały treści dotyczące SOP, które nie miały wiele wspólnego z prawdą" – napisano dalej w komunikacie. Podobne pojawiały się praktycznie po każdej informacji o kłopotach tej służby.

Co po służbie?

Janicki mówi wprost: – Od ręki mogę wymienić nazwiska 30 osób, które byłyby gotowe wrócić i pomóc w szkoleniu funkcjonariuszy. Takich ludzi z pewnością jest więcej. Ale dodaje od razu, że najpierw musiałby się też zmienić klimat polityczny wokół tej służby. Zdaniem byłego szefa BOR obecna ekipa raczej na taki krok się nie zdecyduje.

– Chodzi również o personalia. Jeśli miałbym wrócić i współpracować z wiceministrem Jarosławem Zielińskim, to dziękuję, nie znajdziemy wspólnego języka. Są jednak ludzie, którzy potraktowani uczciwie i rzetelnie mogą tam wrócić i pomóc odbudować wiarygodność tej służby. Ale na zdrowych zasadach – zastrzega z kolei generał Gawor. Akurat kierownictwo MSWiA wkrótce czeka mała rewolucja: szef resortu wybiera się do Brukseli, a nazwisko Zielińskiego krąży na giełdzie nazwisk osób, które mogą zasilić inne ministerstwa. Tylko czy to coś zmieni?

Co dziś robią byli funkcjonariusze BOR? Andrzej Pawlikowski miał epizod w CBA. Później, wraz z kolegami z innych służb, założył własną firmę. Mieli doświadczenie i kontakty, więc zajęli się doradztwem w kwestiach bezpieczeństwa. Marian Janicki również trafił do biznesu, a dziś jest radnym PO. A funkcjonariusze niższego szczebla? Spore grono wybrało pracę w firmach zajmujących się ochroną. Trafili więc m.in. do GROM Group znanej z tego, że odpowiada za bezpieczeństwo prezesa PiS. Inni strzegą najbogatszych Polaków, zajmują się szkoleniami, analizą zagrożeń czy ochroną bezpieczeństwa spotkań. Są też wynajmowani jako kierowcy czy ochroniarze znanych osobistości, które odwiedzają Polskę. Część tego środowiska skupiła się wokół Fundacji Byłych Funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu, która pełni rolę swoistej „bazy kontaktów" dla tych, którzy potrzebują fachowców w tej dziedzinie. Najczęściej jednak muszą radzić sobie sami i polegać na kontaktach z czasów służby.

BYŁY SZEF BOR GEN. MARIAN JANICKI:

Dziś największym zagrożeniem dla osób ochranianych jest ich ochrona.

– Niestety, w Polsce brakuje systemu, jaki jest choćby w USA czy Izraelu. Tam działają instytucje, które pozyskują informację, że funkcjonariusz ma zamiar przejść na emeryturę. Wtedy przedstawiają mu propozycję pracy w innych formacjach, w charakterze doradcy. Chodzi po prostu o to, by wykorzystać ich wiedzę – mówi gen. Pawlikowski. A to nie jedyny obszar w naszym państwie, który boryka się z podobną bolączką

Problemy były zawsze

Kłopoty w BOR nie pojawiły się wraz z początkiem rządów PiS. W 2015 r. w limuzynie wiozącej marszałka Sejmu Radosława Sikorskiego pękły dwie opony. Mało kto już pamięta, ale w 1992 r. w stronę kolumny z premier Suchocką strzały zdołał oddać policjant. Na szczęście z broni gazowej.

Kolejni szefowie przyznają, że zawsze zmagali się także z pustkami w kasie. – O każdą kwotę musiałem walczyć, wyrywać pieniądze na sprzęt – mówi gen. Janicki. – Musieliśmy szukać rezerw, reperowaliśmy samochody na własną rękę. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli chodzi o poziom wyszkolenia, to nie odstajemy od najlepszych. Ale już na ich wyposażenie patrzyliśmy z zazdrością – dodaje gen. Gawor. Obaj zazdroszczą też SOP obecnego budżetu.

I wreszcie, polityka. Ona w tej służbie była zawsze – sugestie, naciski, nepotyzm, ale i chęć przypodobania się swoim szefom. „Borowikom" i politykom nigdy nie współpracowało się łatwo – ci drudzy nie zawsze chcieli się podporządkować i, jak choćby Donald Tusk, szukali prywatności próbując uciekać ochronie. Swoje perypetie mieli też prezydenci – Kwaśniewski czy Komorowski. To rodziło kłopoty i napięcia.

– Szefem tej formacji powinien być człowiek, który siądzie naprzeciw premiera czy ministra i będzie z nim otwarcie dyskutował. Trzeba być na tyle dojrzałym i mieć mocny charakter, by się tym naciskom umieć przeciwstawić. A jeśli nie, nie wróżę sukcesu ani szacunku u podwładnych – dodaje Gawor.

Co z bezpieczeństwem VIP-ów?

Sytuacja w SOP przypomina dziś nieco anegdotę o trzech kopertach, które odchodzący szef wręcza następcy. Zrzucenie winy na poprzedników już było, za sobą mamy też reformę – czyli rady z pierwszych dwóch kopert. Pozostaje trzecia, a w niej kartka: przygotuj trzy koperty... Problem w tym, że bezpieczeństwo najważniejszych osób w państwie to nie temat do anegdot. Zwłaszcza że i ta służba w przeszłości musiała się zmierzyć z trudnymi sytuacjami: zamachem na ambasadora w Iraku czy katastrofą w Smoleńsku. W obu przypadkach ginęli jej funkcjonariusze.

Czy osoby pod opieką SOP mogą się czuć bezpieczne? – Wierzę, że tak. Szefowie ochrony prezydenta czy premiera to doświadczone osoby, sam wyznaczałem część z nich. Przeszli kolejne szczeble, także bojowe, byli w grupie, która odpierała atak na ambasadora Pietrzaka. Oni robią wszystko, by to bezpieczeństwo zapewnić. Bardziej martwię się o kierowców – przyznaje gen. Pawlikowski. Mniej optymistyczne zdanie ma generał Janicki: – Dziś największym zagrożeniem dla osób ochranianych jest ich ochrona.

Po ostatnich doniesieniach kontrolę w SOP rozpoczyna NIK. Raport poznamy dopiero w przyszłym roku. Zmiany muszą nastąpić wcześniej.

© RAFAŁ ZYCHAL

ANNA

Dziewit-Meller:
Głosy. Na Dzień Kobiet

Z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet wszędzie trzeba pisać o kobietach, więc piszę, choć to doroczne obowiązkowe pochylenie się nad tzw. kwestią kobiecą zawsze kojarzy mi się z akcją afirmatywną na amerykańskich uczelniach. Przypomnę tym, którzy nie pamiętają, że akcja owa została wprowadzona na uniwersytetach w USA mniej więcej 50 lat temu. W szlachetnym i z poczucia winy idącym zamierzeniu jej twórców prowadzić miała do wyrównania szans edukacyjnych osób pochodzących z wcześniej dyskryminowanych grup mniejszościowych – głównie Afroamerykanów i Latynosów. W tym celu obniżono kryteria rekrutacji dla mniejszości, trochę dla wyrównania owych szans, trochę by odbyć pokutę za poprzednie dekady. Gdy zaczęto odchodzić od tej polityki, okazało się, że dekady działań mających ułatwiać mniejszościom funkcjonowanie w systemie edukacji wcale nie wyrównały szans i wszystko wróciło niemal do punktu wyjścia.

Doroczne jednodniowe pochylenie się mediów nad sprawami kobiet przypomina mi zatem, że zamiast domagać się specjalnych praw, wolę po prostu domagać się dla siebie praw równych, i że to mi całkowicie wystarczy, byleby ich przestrzegano. Nie potrzebuję obniżonych kryteriów ani szczególnego traktowania, co zdają mi się często imputować różni adwersarze. Chcę jedynie, by kobieca perspektywa i kobiece doświadczenie traktowane były tak samo jak męskie – jako uniwersalne ludzkie doświadczenie, tak by obywatelka nie musiała być wyłącznie odzwierciedleniem cnót obywatela, który miałby pozostać jedynym punktem odniesienia do konstruowania mechanizmów społecznych.

Ale jeśli mam pisać o czymś typowo kobiecym w Dniu Kobiet, o jakiejś specjalnej kobiecej kondycji, to śmiało mogę napisać o przemocy w rodzinie, która w swej lwiej części zarezerwowana jest dla pań (i dzieci). By rozwiać wątpliwości, cytuję za ustawą o przeciwdziałaniu owej przemocy: „przemoc w rodzinie to jednorazowe albo powtarzające się umyślne działanie lub zaniechanie naruszające prawa lub dobra osobiste członków rodziny, w szczególności narażające te osoby na niebezpieczeństwo utraty życia, zdrowia, naruszające ich godność, nietykalność cielesną, wolność, w tym seksualną, powodujące szkody na ich zdrowiu fizycznym lub psychicznym, a także wywołujące cierpienia i krzywdy moralne u osób dotkniętych przemocą”. Dorzucę jeszcze garść statystyk: oto więcej kobiet w wieku od 15 do 44 lat umiera na skutek przemocy niż na raka, malarię czy w wypadkach drogowych. 70 proc. zamordowanych kobiet ginie z rąk swoich partnerów. Według badań CBOS z 2002 r. co ósma Polka przyznała, że co najmniej raz została uderzona przez partnera podczas rodzinnej awantury. I tak dalej, i tak dalej. Jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije.

Doskonałą lekturą z okazji Dnia Kobiet może być wobec tego nowa książka reporterska Ewy Winnickiej i Dionisiosa Sturisa „Głosy. Co się zdarzyło na wyspie Jersey”. Wielu z państwa na pewno pamięta tę tragiczną historię sprzed kilku lat: Damian Rzeszowski, imigrant z Polski, mieszkaniec wyspy Jersey, mąż i ojciec dwójki małych dzieci, podczas rodzinnego grilla rzuca się z nożem na najbliższych i morduje w sumie 6 osób – żonę, maleńkiego synka i córkę, teścia, koleżankę żony i jej córeczkę. Każdej z ofiar, które goni po domu i ogrodzie, zadaje wielokrotne głębokie ciosy nożem. Zbrodnia wstrząsa nie tylko społecznością spokojnej wyspy Jersey, ale także Polską, w której wszyscy głowią się, jak to możliwe, że ktoś taki jak Damian – dobry kolega, nienaganny pracownik, opiekuńczy mąż i ojciec – mógł popełnić tak dramatyczne i brutalne przestępstwo. Linia obrony przyjęta przez adwokata wskazuje na „anomalię umysłową”, czyli głosy, które słyszeć miał ponoć Rzeszowski przed dokonaniem zbrodni. Miały popchnąć go do zabójstwa, zwłaszcza że – jak się okazało podczas śledztwa – sprawca miał za sobą doświadczenie depresji i nieudaną próbę samobójczą.

Z głosów wysłuchanych przez dwójkę znakomitych reporterów wynika jednak przede wszystkim to, że emigracja – jako doświadczenie przemodelowujące całkowicie dotychczasowe życie ludzi – niejednokrotnie działa jak kabina pogłosowa, zwielokrotniając problemy występujące już wcześniej w Polsce i powiększając je do monstrualnych rozmiarów za granicą, w obcym miejscu, wśród obcej i nieraz niezrozumiałej kultury, w samotności, która często bywa udziałem ludzi nieprzygotowanych psychicznie na zmiany niesione przez życie na emigracji. Wśród polskiej społeczności na wyspie pojawiły się zresztą opinie, że w gruncie rzeczy to Damian Rzeszowski jest ofiarą – złego świata i systemu, który w porę nie wyciągnął doń ręki. Dobry chłopak był i mało pił.

Ewa Winnicka w udzielonym mi wywiadzie powiedziała, że już w dniu premiery książki zaczęły przychodzić do niej maile od Polek mieszkających na emigracji, opisujących swoje doświadczenie przemocy domowej, być może jeszcze trudniejszej do wyeliminowania w sytuacji emigracyjnej. O tym warto zacząć myśleć w dniu święta naszych wszystkich miłych pań. ©

POŻEGNANIE

14 marca o godz. 17.00
w kolegiacie św. Floriana w Krakowie
ks. Adam Boniecki odprawi Mszę św.
z okazji 100. rocznicy urodzin

Jana Józefa Szczepańskiego

o czym zawiadamia
Rodzina

Ten, który zdradził?

5 marca rusza X interdyscyplinarny festiwal wielkopostny Nowe Epifanie organizowany przez Centrum Myśli Jana Pawła II, warszawską instytucję kultury. Potrwa do 14 kwietnia. W tym roku spektakle i koncerty obracać się będą wokół postaci Judasza.

Festiwal Nowe Epifanie to poszukiwanie rozbłysków piękna w różnych, czasem nieoczywistych zakamarkach współczesnego świata. To także zaproszenie do dialogu twórców z tradycyjną sztuką religijną w duchu „Listu do artystów" Jana Pawła II. Festiwal od początku ma interdyscyplinarny charakter – prezentowane są tu spektakle teatralne, widowiska muzyczne w przestrzeniach sakralnych, wystawy, pokazy filmów poruszających w nowoczesny sposób tematykę religijną i teologiczną.

W tym roku kluczową rolę odgrywać będzie Judasz, postać szczególna dla całej ekonomii zbawienia. Często opisywany jako „ten, który zdradził", utożsamiany z tym, co najgorsze – personifikacja chciwości, podłości i nielojalności. Sprawa jednak nie jest taka prosta, wszak trudno w naszej kulturze o postać bardziej kontrowersyjną, a przy tym zapładniającą wyobraźnię tysięcy twórców na przestrzeni wieków. Dlaczego odstąpił od tego, w co wierzył? Jakie były jego motywacje? Dlaczego zachowały się różne wersje tamtych zdarzeń? Jak rozumieć polecenie Jezusa wypowiedziane do Judasza na chwilę przed zdradą: „Co chcesz czynić, czyń prędzej" (J 13, 27)? Czy słowa: „Zgrzeszyłem, wydawszy krew niewinną" (Mt 27, 4) można rozumieć jako próbę ocalenia Jezusa?

Te pytania nurtowały m.in. Karola Huberta Rostworowskiego, Kazimierza Przerwę-Tetmajera czy Konrada Swinarskiego, dlatego warto zadać je również współczesnym twórcom. Festiwal Nowe Epifanie we współpracy z Akademią Teatralną zainicjował seminarium reżyserskie, czego owocem są debiuty Katarzyny Minkowskiej i Sławomira Narlocha. Do współpracy zaproszono również Bartosza Żurowskiego oraz Dawida Zalesky'ego, którzy zaprezentują współczesne rewizje historii Judasza. Na Festiwalu pojawią się także artyści, którzy znani są festiwalowej publiczności z poprzednich edycji: Paweł Passini i Artur Pałyga, a spektakl „#chybanieja", tworzony przez ten duet, otworzy festiwalowe pasmo teatralne.

Jednak Festiwal to nie tylko teatr. Jak co roku kluczową rolę odgrywać będą również wydarzenia muzyczne, filmowe oraz kulinarne. Terapia szokowa dla zmysłów smaku i węchu, uczta dla uszu i wzroku, a wszystko to w aurze polskiego przedwiośnia, między Środą Popielcową a Niedzielą Palmową.

Dlatego już teraz zapraszamy na Nowe Epifanie! ©℗ MS

Wybrane wydarzenia X edycji Festiwalu Nowe Epifanie:

#CHYBANIEJA

Punktem wyjścia dla sztuki są różne warianty biblijnej opowieści o Judaszu. W powszechnej pamięci funkcjonuje wyłącznie relacja ewangelisty Mateusza, wedle której apostoł zwrócił krwawe srebrniki kapłanom, po czym powiesił się na drzewie. Natomiast Piotr w Dziejach Apostolskich podaje zupełnie inną wersję wydarzeń – Judasz żadnych pieniędzy nie zwrócił, kupił natomiast ziemię, a potem zginął w wypadku. Z kolei jeden z ojców Kościoła, Papiasz, twierdzi, że Judasz żył długo i potwornie się roztył. Skąd te różnice? Dlaczego trzymamy się wyłącznie jednej wersji, wypierając inne świadectwa? Jak faktycznie potoczyły się losy Judasza?

Reżyseria: Paweł Passini
Studio S2 Polskiego Radia
9 i 10 marca

RÓŻE ZE ZŁOTA

„Nuper rosarum flores" to najsłynniejszy motet XV-wiecznego kompozytora Guillaume'a Dufaya. Artysta regularnie zmieniał protektorów, a sława wielkiego kompozytora ułatwiała mu życie w politycznych burzach XV wieku. Służył wielkim rodom, legatowi papieskiemu, a ostatecznie samemu papieżowi. Jego muzykę postrzega się przez pryzmat matematycznych struktur, architektonicznych schematów, które miały definiować układ głosów i rytm motetów. Björn Schmelzer zadeklarował jednak, że „Dufay, którego chcemy przywołać, nie jest twórcą z matematycznych przestrzeni i ze struktur syntetycznej kompozycji, ale tym z wewnętrznego poruszenia i wyrażonych emocji".

Graindelavoix
– Björn Schmelzer (kierownictwo artystyczne)
Kościół Ewangelicko-Reformowany w Warszawie
13 marca

A POD TOBĄ SĄ WIECZNE RAMIONA

W śpiewie praktykowanym przez zakonników na zakończenie dnia pojawia się nie tylko motyw snu, ale też lęk przed śmiercią; ruch i unieruchomienie. Te elementy Björn Schmelzer połączył z dziełami Samuela Becketta, który sam cierpiał na bezsenność. Teksty pisarza powiązane zostały z XV- i XVI-wieczną polifonią, w tym z trzema opracowaniami śpiewu „Media vita in morte sumus" („Pośrodku życia w śmierci jesteśmy"). Tym samym Schmelzer podkreśla zbieżność formalną tekstów Becketta i samej polifonii. W obu przypadkach pojawiają się repetycje, przekształcenia motywów, ciągłe skupienie. Wypowiedziane słowa Becketta angażują nie tylko głos, ale i całe ciało.

Graindelavoix
– Björn Schmelzer (kierownictwo artystyczne)
Studio S2 Polskiego Radia
16 marca

OGIEŃ ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

Ergotyzm, chorobę powodowaną przez sporysz, w średniowieczu nazwano „ogniem świętego Antoniego". W średniowieczu była prawdziwą plagą i powodowała wielkie cierpienie. Jej ślad można znaleźć choćby w malarstwie Boscha, Bruegla i Grünewalda, a także w muzyce. Björna Schmelzera i zespół Graindelavoix temat ergotyzmu prowokuje do bliższego przyjrzenia się twórczości XV-wiecznego kompozytora Antoine'a Busnois,

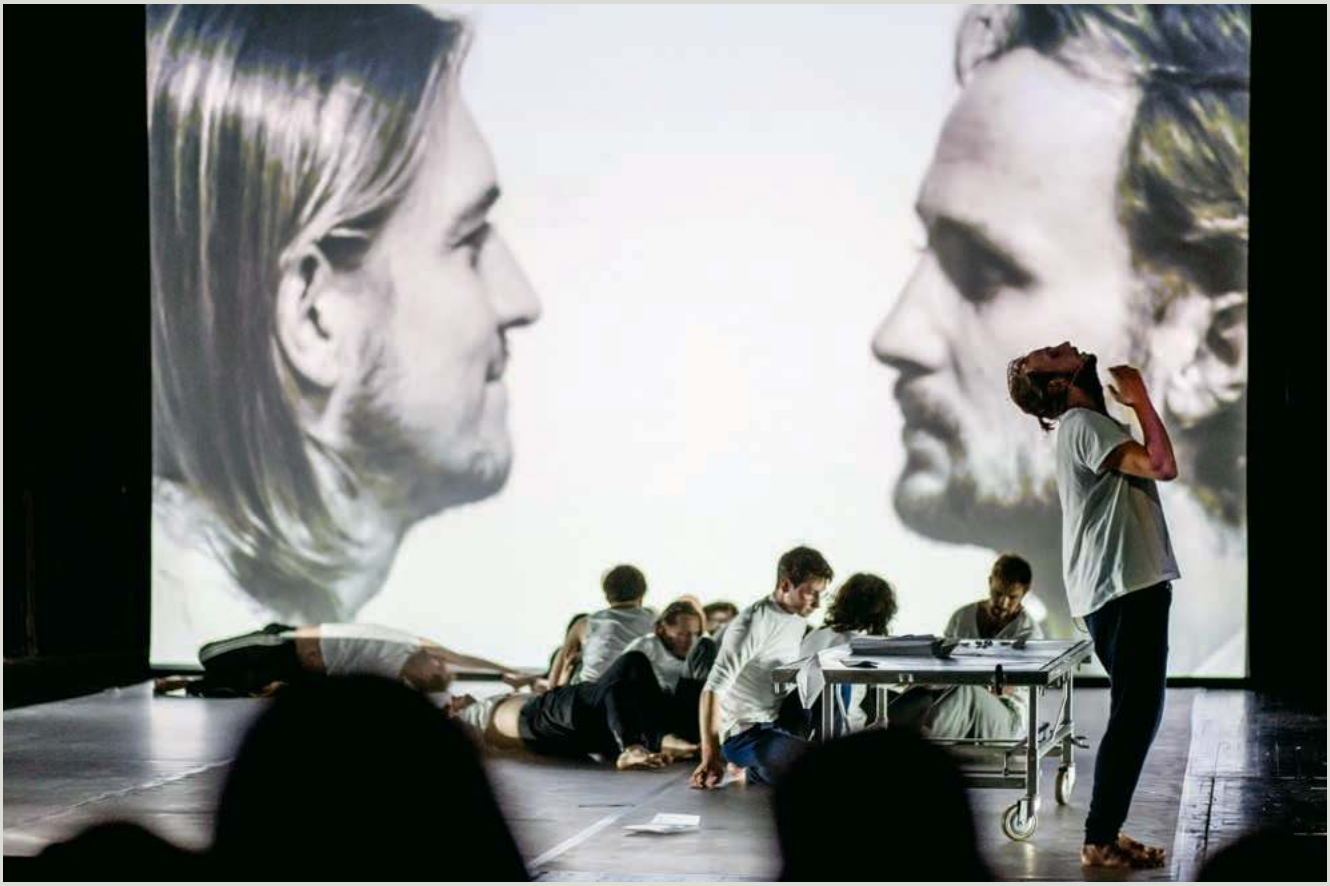

BARTEK TRZESZKOWSKI

„Judasz. Laboratorium epifanii" w reżyserii Katarzyny Minkowskiej

m.in. przypisywanej mu mszy opartej na melodii świeckiej pieśni „L'Ardant desir" („Płonące pragnienie") oraz motetowi „Anthoni usque limina", w którym użyty jest dzwonek – tradycyjny atrybut kojarzony nie tylko ze św. Antonim, ale i z cierpiącymi na trąd i ergotyzm.
Graindelavoix – Björn Schmelzer (kierownictwo artystyczne)
Pałac Kultury i Nauki
17 marca

ORATORIUM O MLEKU

Spektakl studenta reżyserii Sławomira Narlocha to gra z konwencją jasełek i oratorium. Występujący artyści będą posługiwali się takimi instrumentami jak piła, lira korbowa, cymbały rzeszowskie czy duduk. Sztuka opowiada o wiosce na końcu Polski, gdzie mieszka Judasz z matką. Po sąsiedzku żyje Anioł, kawałek dalej chatkę zamieszkuje Diabeł, a na przydrożnym krzyżu mieszka Jezus. Na oczach widzów Judasz rodzi się, dorasta, zakochuje, chodzi na piwo z najlepszym przyjacielem Jezusem. O zdradzie i srebrnikach nie będzie ani słowa. W opowieści Sławomira Narlocha ziemia została wydana na pastwę aniołów i diabłów, którzy dogadali się ze sobą. Co ma sens, jeśli o naszych uczynkach decyduje przeznaczenie?
Reżyseria: Sławomir Narloch
Teatr Collegium Nobilium
28-31 marca

PSAŁTERZ POLSKI II

W chrześcijańskiej interpretacji Psalmów można znaleźć zapowiedź zdrady Judasza i męki Jezusa. Ich wybór, w parafrazie Jana Kochanowskiego i opracowaniu muzycznym Mikołaja Gomółki, będzie podstawą koncertu na Zamku Królewskim. Psalmy wykona Monodia Polska pod kierunkiem Adama Struga z towarzyszeniem Marii Erdman. Tegoroczny wybór Psalmów związany jest z proroctwem zdrady i pojmania, które Jan Kochanowski ujmuje w sugestywnych strofach: „oto wszeteczna / Gęba na mię się targa; język fałszywy / Ludziom żywot mój hydzi" czy „Wilcy mię zewsząd srodzy otoczyli, / Zewsząd mię wilcy zawarli otyli; / Paszczęki na mię rozdarli straszliwe, / Jako lew srogi zwierzę łupiąc żywe".
Monodia Polska
(pod kierunkiem Adama Struga)
Zamek Królewski w Warszawie
31 marca

JUDASZ. LABORATORIUM EPIFANII

Katarzyna Minkowska zaprosiła do współpracy grupę aktorów, aby przyjrzeć się wspólnie tekstom ewangelicznym, apokryfom i skostniałemu językowi religijnemu, próbując w nich odnaleźć prawdziwych ludzi, emocje i panujące między nimi relacje. Ta laboratoryjna praca stała się podstawą dla opowieści o tym, co mogło wydarzyć się przed śmiercią Jezusa, w wieczerniku. Apostołowie spotykają się tam po pojmaniu ich Mistrza i próbują odtworzyć Jego słowa, zinterpretować gesty, zrozumieć, co się stało. Kto zdradził, dlaczego to zrobił? Chcą ustalić wspólną wersję i zastanowić się, co dalej. Nie ma w ich gronie tylko dwóch uczniów: Judasza i Jana. A ta nieobecność mocno im ciąży.
Reżyseria:
Katarzyna Minkowska
TR Warszawa
12 i 13 kwietnia

Szczegółowy program i festiwalowe aktualności na:
www.noweepifanie.pl
www.facebook.com/noweepifanie

Organizatorem Festiwalu Nowe Epifanie jest Centrum Myśli Jana Pawła II, instytucja kultury m.st. Warszawy

WIARA

UPADEK Z KOŚCIELNEGO SZCZYTU

Jeszcze dobrze kurz nie osiadł na odwieszonej sutannie McCarricka, a już kolejny kardynał musi rozglądać się za cywilnym ubraniem. Choć i tak wszystko wskazuje, że wystarczy mu więzienny drelich.

EDWARD AUGUSTYN

26 lutego sąd okręgowy w Melbourne opublikował wyrok, wydany dwa i pół miesiąca wcześniej, uznający kard. George'a Pella winnym pięciu czynów pedofilskich, w tym dwóch gwałtów na 12-letnich chłopcach z kościelnego chóru. „Proces katedralny" – jak wydarzenie nazwały media – trwał od września 2018 r. Hierarcha sądzony był za przestępstwa, których miał się dopuścić w grudniu 1996 r. i styczniu 1997 r. Jednego gwałtu dokonał w Boże Narodzenie, tuż po uroczystej sumie, w zakrystii katedry św. Patryka. Nie przeszkodzili mu w tym ponoć ani ludzie kręcący się w pobliżu, ani liturgiczne szaty. Wyrok utrzymywano w tajemnicy, by nie wpływać na przebieg drugiego procesu, zwanego „basenowym", w którym Pell miał być sądzony za molestowanie nieletnich w latach 70. w ośrodku rekreacyjnym w Ballarat. To oskarżenie zostało wycofane – jeden z głównych świadków zmarł, drugi zmienił zeznania. Nie było już przeszkód, by upublicznić grudniowy wyrok.

„Zwykły mężczyzna"

„Czy kardynał ryzykowałby niestosowne czyny w takiej sytuacji? – pytał na jednej z rozpraw obrońca Pella. – Czy nie sądzicie go za grzechy całego Kościoła?". Sugestia nie była bezpodstawna. Australia od wielu lat żyje pedofilskimi skandalami duchownych. Królewska Komisja powołana w 2013 r. do zbadania problemu stwierdziła blisko 5 tys. przypadków seksualnego wykorzystywania dzieci przez ludzi Kościoła w latach 1950–2015. Ponad sto procesów zakończyło się orzeczeniem winy, wiele spraw jeszcze się toczy.

Sędzia Peter Kidd, prowadzący rozprawę, pozostał niewzruszony: „Przypominam, że na ławie oskarżonych nie zasiada Kościół katolicki, ale George Pell" – odparł obrońcom. 12 ławników nie potrafiło jednak podjąć decyzji. Po trwających siedem dni obradach dwóch z nich sprzeciwiało się uznaniu winy kardynała. Sędzia Kidd rozwiązał ławę, rozpoczął ponowny proces z nowymi przysięgłymi, a ci do jednomyślności doszli już po trzech dniach.

78-letni kardynał zapewnia, że jest niewinny. Na ogłoszenie kary, co nastąpi za dwa tygodnie, poczeka w stanowym więzieniu. Sąd nie przedłużył mu zwolnienia z aresztu, które uzyskał ze względu na zły stan zdrowia. Za każde udowodnione przestępstwo Pellowi grozi do 10 lat więzienia. W sumie nawet 50.

„The Guardian" opisał, jak adwokaci próbowali uzyskać najniższy z możliwych wymiar kary. Nie poprzestali na odwoływaniu się do szlachetności i prawości swego klienta. Główny obrońca, Robert Richter, zapewniając o niewinności kardynała próbował przekonać sąd – „czysto hipotetycznie" – że czyny, o jakie został oskarżony, „były chwilowym potknięciem i działaniem nieprzemyślanym", że gwałt „miał miejsce po zakończeniu mszy, więc oskarżony nie pełnił funkcji kościelnej, ale był zwykłym mężczyzną", że przemoc „nie była nadużyciem władzy arcybiskupa, a jedynie władzy, jaką dorosły męż-

VANDEVILLE ERIC / EAST NEWS

Kardynał George Pell, Rzym, 2008 r.

czyzna ma nad dzieckiem", i wreszcie – „że doszło do zwykłej penetracji (»*vanilla sexual penetration*«), niepozostawiającej fizycznych ran, bez użycia siły większej, niż potrzebna jest do zwykłego stosunku". Za użycie tych słów następnego dnia przeprosił.

Być może ta zaskakująca linia obrony zdecydowała o nagłej zmianie stanowiska Watykanu. Stolica Apostolska o decyzji sądu wiedziała od grudnia. Już wtedy kard. Pell został wykluczony z grona najbliższych doradców papieża (rady K9). Było sporo czasu na przemyślenie dalszych działań. Zaraz po upublicznieniu wyroku, 26 lutego, Watykan poinformował, że respektuje „bolesną decyzję" australijskiego wymiaru sprawiedliwości, ale będzie czekać na jej potwierdzenie w apelacji, jako że „kard. Pell zapewnia o swej niewinności i ma prawo bronić jej aż do ostatecznego wyroku przed sądem najwyższej instancji". Biuro Prasowe przyznało, że kardynał przestał pełnić funkcję prefekta Sekretariatu Ekonomicznego, ale nie ze względu na proces, tylko z powodu upłynięcia kadencji i osiągnięcia wieku emerytalnego. Następnego dnia, gdy media szczegółowo opisały przebieg rozprawy, rzecznik Watykanu poinformował, że Kongregacja Nauki Wiary nie będzie czekać na wyrok drugiej instancji i wszczyna postępowanie kanoniczne. Może ono skończyć się pozbawieniem godności kardynalskiej, a nawet usunięciem ze stanu kapłańskiego.

Los się odwrócił

Historia kard. Pella, najwyższego rangą kościelnego hierarchy skazanego za pedofilię, jest dobrym przykładem zmian, jakie zaszły w ostatnim czasie w Kościele.

Metropolita Melbourne został skazany za czyny, których dopuścił się w latach 90., kilka miesięcy po objęciu arcybiskupstwa (patrz infografika). Nawet jeśli przyjmiemy, że w Watykanie nie wiedziano o jego skłonnościach i wcześniejszych czynach, to z pewnością głośno było o wprowadzonym przez niego programie „Melbourne Response", polegającym na ↦

1966
święcenia kapłańskie

1973
mieszka z ks. Ridsdale'em, po latach skazanym za wielokrotne przestępstwa seksualne na dzieciach

1977
doradca biskupa diecezji Ballarat

1987
sakra biskupia

1990
członek Kongregacji Nauki Wiary

1993
zeznaje w obronie ks. Ridsdale'a

1996
arcybiskup Melbourne

1996
program „Melbourne Response"

2002
oskarżony o molestowanie seksualne dziecka przed 40 laty

2003
kardynał

2013
członek rady kardynałów K9

2014
prefekt Sekretariatu Ekonomicznego Watykanu

2014/2015
zeznaje przed Królewską Komisją w sprawie zatajania przestępstw

lipiec 2016
zarzut seksualnego molestowania dzieci

lipiec 2017
papież każe mu opuścić Watykan i stanąć przed sądem w Australii

11 grudnia 2018
sąd w Melbourne uznaje go winnym 5 przestępstw

13 grudnia 2018
usunięcie z rady kardynałów K9

26 lutego 2019
sąd ogłasza wyrok i nakazuje areszt

27 lutego 2019
proces kanoniczny

marzec 2019
ogłoszenie kary

↦ zawieraniu przedsądowych ugód z ofiarami pedofilii i wypłacaniu im niewielkiego odszkodowania w zamian za milczenie. Pell wraz z arcybiskupem z Sydney wydali na ten cel milion dolarów. Nikogo to nie oburzało, wręcz przeciwnie – dla wielu hierarchów było to „uczciwe" rozwiązanie, które zapobiega skandalom.

W 2002 r. przeciwko abp. Pellowi prowadzono śledztwo o seksualne wykorzystanie 12-letniego ministranta na wakacyjnym obozie w 1961 r. Nie znaleziono wystarczających dowodów winy, sprawę umorzono. Biskup był przesłuchiwany także przez władzę kościelną. Wybronił się, rok później został przez Jana Pawła II wyniesiony do godności kardynalskiej.

Jego akcje wciąż rosły: sukces Światowych Dni Młodzieży w Sydney (2008 r.) walnie się do tego przyczynił. W 2013 r. papież Franciszek wybrał Pella do kardynalskiej rady, co wielu zaskoczyło, bo metropolita Melbourne znany był z konserwatywnych, wręcz tradycjonalistycznych poglądów. Ale miał opinię dobrego organizatora i zarządcy – został więc dodatkowo prefektem nowo utworzonego Sekretariatu Ekonomicznego, odpowiedzialnego za reformę watykańskich finansów. Jego kompetencje miały zostać jeszcze poszerzone, ale papieża zaniepokoiły nowe oskarżenia oraz wystawny styl życia „ministra finansów". Los się odwrócił.

W 2014 r. kard. Pell zeznawał przed Królewską Komisją w Sydney, gdzie pytano go o program „Melbourne Response". Wypowiedział słynne zdanie, że „księża pedofile są jak kierowcy ciężarówek molestujący autostopowiczki – trudno, by szef firmy transportowej ponosił za nich odpowiedzialność". Rok później dostał kolejne wezwanie, w sprawie przestępstw seksualnych w diecezji Ballarat. Ze względu na stan zdrowia odmówił wyjazdu do Australii, przesłuchanie odbyło się *online*.

Sprawy nabrały przyśpieszenia. Policja wszczęła dochodzenie o czyny pedofilskie, do Rzymu przyjechali śledczy, by przyjąć zeznania Pella. Gdy zarzuty stawały się coraz cięższe i było ich coraz więcej, papież zadecydował o odesłaniu kardynała do Melbourne. W czerwcu 2017 r. Pell opuścił Watykan, a po trwającym ponad rok procesie śledczym sąd nakazał proces karny.

Dwa kodeksy

Smutny koniec kard. Pella to nie tylko symbol zmian zachodzących w Kościele, ale też przykład, jak dwie niezależne władze i dwa systemy prawne – państwowy i kościelny – mogą szanować swe kompetencje i współpracować.

Australijski wymiar sprawiedliwości nie zważał na pozycję oskarżonego – czy jest osobą świecką, czy wyjątkowo ustosunkowanym kardynałem. Władza kościelna nie utrudniała ani rozpoczęcia procesu, ani jego przebiegu.

Nie zawsze tak było. Zdarzały się przypadki, gdy watykańskie obywatelstwo pozwalało uniknąć postawienia zarzutów. Nawet za tego pontyfikatu paszport dyplomatyczny umożliwił ucieczkę przed państwowym wymiarem sprawiedliwości abp. Józefowi Wesołowskiemu, nuncjuszowi w Dominikanie, oskarżonemu o pedofilię, czy ks. Carlowi Capelli, pracownikowi nuncjatury w Waszyngtonie, ściganemu za przechowywanie i rozpowszechnianie dziecięcej pornografii. Obaj woleli być sądzeni w Watykanie. Nuncjusz z Dominikany został wyrokiem Kongregacji Nauki Wiary przeniesiony do stanu świeckiego (dopiero wtedy Watykan ogłosił, że może być sądzony za przestępstwa w dowolnym kraju), ale odwołał się od wyroku. Kongregacja rekurs odrzuciła, jednak nie ogłosiła decyzji ze względu na pogarszający się stan zdrowia biskupa. Dzięki tym prawnym zawiłościom były nuncjusz został pochowany w biskupich szatach. Księdza Capellę sąd Watykanu skazał w czerwcu 2018 r. na pięć lat więzienia i karę grzywny.

Z odmienności dwóch systemów prawnych bierze się też wiele nieporozumień. Często spotykane w mediach żądanie, by „Kościół zrobił wreszcie porządek z pedofilami", jest tego przykładem. Ściganiem przestępców, także tych w sutannach, nie ma zajmować się Kościół, ale policja i prokuratura. Na podstawie prawa kanonicznego nikogo nie da się zakuć w kajdany i wtrącić do lochu. Władza kościelna może natomiast i powinna współpracować z państwem w wyłapywaniu i karaniu przestępców. Z tym bywa różnie.

W większości państw, również Polsce, prawo nakazuje powiadomić organy ścigania o fakcie lub podejrzeniu seksualnego wykorzystania osoby nieletniej. Za niedopełnienie tego obowiązku grozi do 3 lat pozbawienia wolności. Ofiara, jej rodzice, opiekunowie czy każda osoba, która informację o przestępstwie posiada, powinna zgłosić ją policji, a dopiero potem kurii biskupiej. Jeśli tego nie zrobiła, obowiązek powiadomienia organów ścigania spada na przedstawiciela Kościoła.

Do kurii – zamiast na policję – można i trzeba iść tylko w jednym przypadku: gdy podejrzewamy, że ksiądz utrzymuje seksualne kontakty z osobą pomiędzy 15. a 18. rokiem życia (mowa o relacjach dobrowolnych, nie pod przymusem ani nie o gwałcie). Według polskiego prawa seks z osobą powyżej 15. roku życia jest dozwolony, według prawa kościelnego jest traktowany jako wykorzystanie nieletniego. W tej sytuacji prawo państwowe nie będzie nikogo ścigać, prawo kościelne nakazuje wytoczyć duchownemu proces kanoniczny.

Prawo i życie

Na zakończonym niedawno watykańskim szczycie w sprawie pedofilii wiele uwagi poświęcono konieczności zmodyfikowania prawa kanonicznego, by proces nakładania kar kościelnych mógł przebiegać sprawniej, a przepisy nie były powodem oskarżeń Kościoła o pobłażliwość czy ukrywanie prawdy. Mówiono choćby o przedawnieniu przestępstwa czy tzw. tajemnicy papieskiej.

Po wpłynięciu do kurii biskupiej oskarżenia przeciwko duchownemu biskup zleca prawnikom przeprowadzenie wstępnego rozpoznania sprawy. Jeśli zarzuty są prawdopodobne, musi przekazać je do Kongregacji Nauki Wiary. Od tego momentu prawo kanoniczne nakłada na niego tzw. sekret papieski, w związku z czym powszechną praktyką jest odmowa wydania zebranych dowodów policji czy prokuraturze. Niejednokrotnie sprawę rozstrzyga sąd – czasem nakazuje udostępnić materiały, argumentując, że jedyną tajemnicą respektowaną przez prawo świeckie jest tajemnica spowiedzi, innym razem zgadza się z argumentacją strony kościelnej. Papież Franciszek chce, aby „sekret papieski" nie obowiązywał w sprawach o pedofilię, choć napotyka tu na opór kanonistów, którzy chcieliby utrzymania procesu kościelnego w tajemnicy, powołując się zresztą na analogiczne postępowania sądów powszechnych, często utajniających rozprawy w tej materii. Zniesienie sekretu nie tylko ułatwiłoby pracę prokuraturze, pozwoliło na transparentność procesów, umożliwiło prowadzenie aktualnych statystyk, ale także mogłoby zapobiec ewentualnym kolejnym nieszczęściom (biskup miałby prawo informować parafie czy instytucje o toczącym się przeciwko księdzu postępowaniu).

Historia kard. Pella, skazanego za pedofilię, jest dobrym przykładem **zmian, jakie zaszły ostatnio w Kościele.**

Innym dyskusyjnym punktem są przepisy o przedawnieniu. Zgodnie z Kodeksem Prawa Kanonicznego z 1983 r. przestępstwo pedofilii przedawniało się po pięciu latach. W 2001 r. Jan Paweł II zmienił granicę na lat 10. W 2010 r. Benedykt XVI ponownie podniósł okres przedawnienia i obecnie wynosi on 20 lat od momentu uzyskania przez ofiarę pełnoletności, co w praktyce oznacza, że osoba skrzywdzona może zgłosić sprawę przed ukończeniem 38. roku życia. Wychodząc z założenia, że prawo nie działa wstecz, kanoniści są zgodni, że przestępstwa dokonane przed 2010 r. powinny zostać uznane za przedawnione według wówczas obowiązujących norm. W takim przypadku jednak nie byłoby możliwe ukaranie ani byłego kard. McCarricka, ani kard. Pella (przez władze kościelne – prawo państwowe ma własne, zupełnie inne przepisy o przedawnieniu), ani któregokolwiek z największych przestępców, jak Karadima czy Marcial. Przepisy o przedawnieniu może jednak uchylać Kongregacja Nauki Wiary i często z tego prawa korzysta. Gdy z wyjątku robi się regułę, prawnicy cierpią. Nie czekając na zmianę przepisów w tej kwestii, warto przestępstwa popełnione w przeszłości zgłaszać. O ile sprawca żyje.

Amarantowe guziki prałata

I tak od kardynałów Kościoła powszechnego dochodzimy do sprawy polskiego prałata, którego żaden sąd nie pozbawił ani wolności, ani kościelnych godności. W 2004 r. zarzuty o molestowanie seksualne zostały oddalone przez prokuraturę. Ksiądz Jankowski mógł do końca życia zakładać sutannę z amarantowymi guzikami i biały smoking z pasplowanymi kieszeniami. Zarzuty o gwałt, usiłowanie gwałtu i doprowadzenie do samobójstwa pojawiły się w materiale „Gazety Wyborczej" osiem lat po jego śmierci.

Czy Kościół może tę sprawę pozostawić niewyjaśnioną? Gdańska kuria metropolitalna wydała oświadczenie, w którym „wyraża gotowość podjęcia próby rzeczowego i zgodnego z prawdą zbadania wszystkich możliwych aspektów tej sprawy". Potwierdziła, że otrzymała zgłoszenie od kobiety, która oskarża ks. Jankowskiego o kilkakrotną próbę gwałtu (z podziwu godną empatią kuria nazywa to „przykrymi doświadczeniami").

Wytyczne episkopatu w sprawie postępowania przy oskarżeniu duchownych o pedofilię mówią dość mgliście, że w takich sytuacjach mogłoby być zasadne „wyjaśnienie sprawy dla dobra Kościoła", z czego wynika całkowita uznaniowość i dowolność działań biskupa.

Abp Charles Scicluna, sekretarz Kongregacji Nauki Wiary, pytany przez nas o tę konkretną sprawę, odpowiedział: „Ludzie mają prawo do poznania prawdy, nawet jeśli jest to powodowane gniewem czy frustracją. To pozwala im poradzić sobie z traumą albo po prostu, psychologicznie rzecz ujmując, oczyścić pamięć. Potrzebny jest jednak proces historyczny, nie sądowy. Chodzi o skonfrontowanie się z prawdą, zwykle bolesną".

Trudno znaleźć w Kościele precedens takiego postępowania. Owszem, komisje powoływane w wielu krajach (USA, Irlandii, Niemczech, Australii), czy to państwowe, czy kościelne, umieszczały na listach także osoby już nieżyjące. Był inny precedens, zresztą w Polsce. To powołana przez Konferencję Episkopatu w 2006 r. Kościelna Komisja Historyczna, złożona z duchownych i świeckich, która na podstawie materiałów zgromadzonych w archiwach IPN sprawdzała oskarżenia księży i biskupów o współpracę z organami bezpieczeństwa PRL. Jeśli rzeczywiście polskiemu Kościołowi zależy na prawdzie, wyjaśnienie zarzutów o pedofilię powinno być nie mniej ważne od szukania donosicieli we własnym gronie. To również świetna okazja do wykazania się kolegialnością, współodpowiedzialnością i transparentnością, o których tak wiele mówiono podczas ostatniego watykańskiego szczytu.

Możliwe jednak, że gdańska kuria czeka, aż sprawa ucichnie albo zostanie rozwiązana przez innych. Jeśli – zgodnie z medialnymi zapowiedziami – rodzina zmarłego prałata wytoczy „Gazecie Wyborczej" proces o naruszenie dóbr osobistych, wiarygodność zarzutów będzie musiał ocenić sąd. Dla Kościoła byłoby to najwygodniejsze rozwiązanie. Pytanie, na jak długo.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

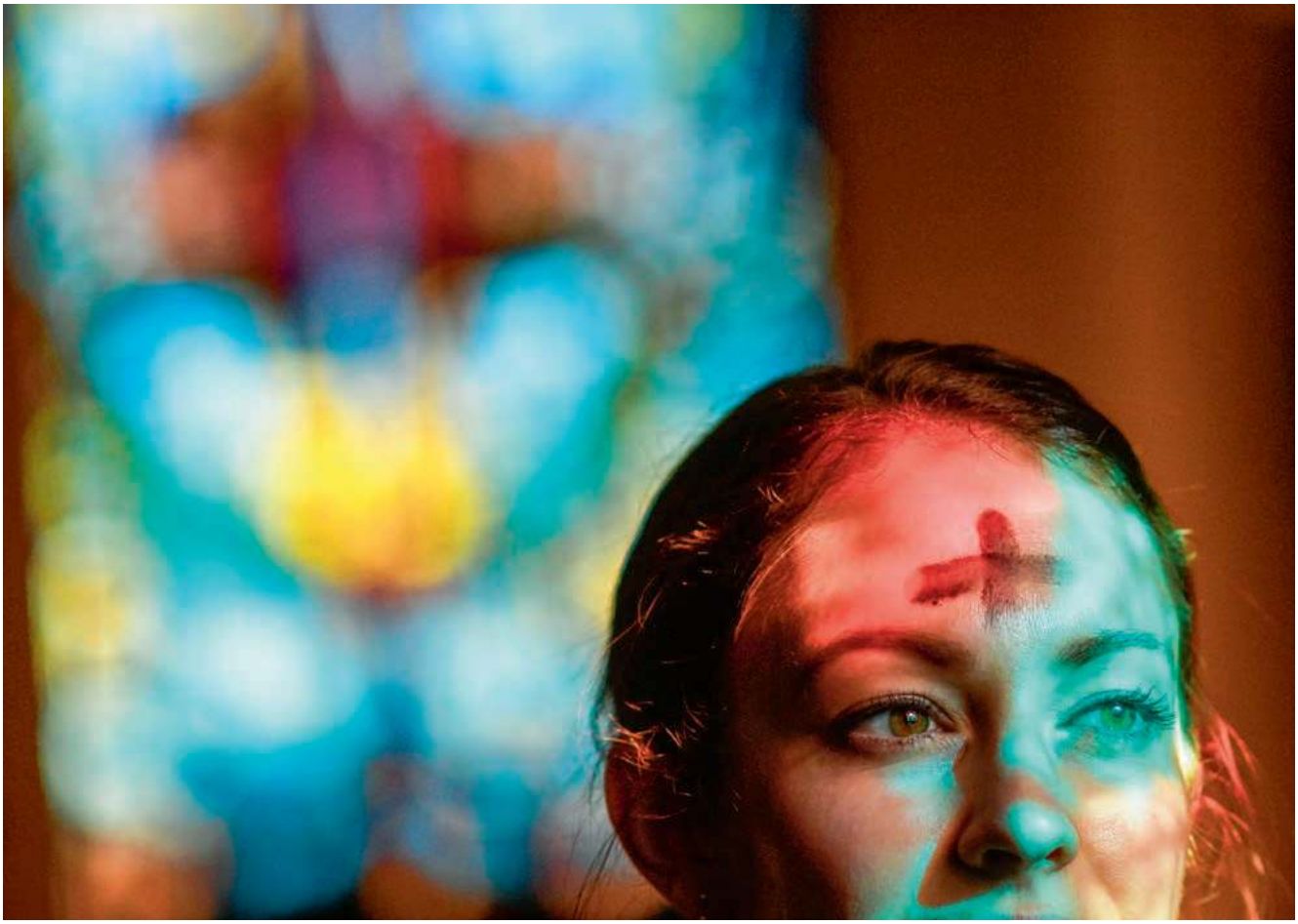

RJ SANGOSTI / GETTY IMAGES

Zwykła pełnia życia

PIOTR SIKORA

„Droga nieba jest pusta (...) pokryta pyłem" – głosi starożytna mądrość. Posypanie głowy popiołem na początku Wielkiego Postu może być symbolicznym aktem wejścia na ten nieskończony szlak.

Środa Popielcowa to dla wierzącego dzień graniczny, w którym w walce postu z karnawałem szala zwycięstwa powinna przechylić się na stronę tego pierwszego. Radosny w duchowym wymiarze okres Bożego Narodzenia dawno już minął. Teraz nawet pączki zjedzone, koniec czasu zabawy, pora na wielkopostną ascezę.

Bywa, że zmiana funkcjonowania w świecie, którą wyraża pochylenie głowy i przyjęcie na nią popiołu, określana jest – i rozumiana – jako umartwienie. Jawi się bowiem jako przeciwna głęboko w nas zakorzenionym nawykom, kształtującym nasze sposoby pojmowania, co to znaczy żyć pełnią życia. Ta pełnia – tak się nam zdaje – ujawnia się raczej w karnawale, a nie w wielkopostnych ograniczeniach, ku którym kieruje popielcowa środa – jeden z dwóch dni w roku, gdy jeść do syta można tylko raz. Ograniczenie konsumpcji, wycofanie się z walki o społeczną pozycję i uznanie – nie są to działania ani popularne, ani propagowane w dzisiejszej kulturze. Bronimy się więc przed wejściem w ów czas liturgicznie zaznaczony ciemnym, fioletowym kolorem.

Czyż jednak nie odbieramy trochę podobnie podstaw nauki Jezusa: Jego „biada" skierowanych przeciw bogatym, sytym i tym, którzy się cieszą (por. Łk 6, 24-26), a także Jego błogosławieństw ubogich i cichych (por. Mt 5, 3-4)? Lecz przecież błogosławieństwa Jezusa – w których Mistrz nie formułuje wobec nas żadnych wymagań, tylko po prostu mówi, jak jest – ujawniają, gdzie naprawdę jest spełnienie i szczęście.

Może więc Środa Popielcowa wcale nie mówi: „Nie wolno!", ale ogłasza: „Błogosławieni!"? „Błogosławieni ubodzy w duchu, błogosławieni cisi, albowiem ich jest ziemia i ich jest królestwo". Jeśli tak, to znacznie lepszą metaforą wyrażającą otwierające się teraz możliwości jest nie „umartwienie", lecz określenie o przeciwnym znaczeniu: „powrót do życia".

By w ten sposób zobaczyć – i przeżyć – otwierający się właśnie moment, warto dać się poprowadzić tradycji, która geograficznie jest bardzo odległa od Objawienia Izraela. Ale przecież w prologu Ewangelii Jana czytamy, że boskie Światło „oświeca każdego człowieka" (J 1, 9). Boskie Światło, czyli Logos, który – jak mawiali niektórzy Ojcowie Kościoła – rozsiany jest po całej ziemi. Jego odblask jest widoczny także w starożytnym chińskim tekście, nazywanym „Tao te king" – „Księga Drogi

i Cnoty". Chińscy chrześcijanie rozpoznali tu światło jedynego Logosu i przekładając na swój język księgi Nowego Testamentu, wybrali właśnie termin „Tao" jako najlepszy przekład greckiego terminu, który my oddajemy jako „Słowo".

Podążając za radami Lao Tsy (legendarnego autora „Tao te king") możemy przejść granicę między karnawałem a postem łagodnie, pogodnie, ale jednocześnie w sposób radykalny – tj. sięgający korzeni.

Nie za dużo

Na początek Lao Tsy radzi: „Nie spoglądaj na to, co rozbudza pragnienia, a nie będziesz miał w umyśle chaosu". Tak, potrzebna jest asceza spojrzenia, asceza wszystkich zmysłów, gdyż wiele rzeczy i zjawisk jest tak ściśle powiązanych z naszymi biologicznymi potrzebami i związanym z nimi mózgowym układem nagrody, iż każdy normalny człowiek, który rzeczy te widzi, słyszy, smakuje, wącha czy dotyka, zostaje przez nie pobudzony i ku nim pociągnięty. Pragniemy je zdobyć, a zdobyte używać i zachować. Co jednak – można zapytać – w tym złego, skoro są one powiązane z naszymi naturalnymi potrzebami? Dlaczego z dążeniem do zdobycia czegoś naturalnie wartego pożądania ma się wiązać chaos?

Otóż rzeczy, o których tu mowa, jest wiele. Jak zaś na innym miejscu zauważa Lao Tsy, „mnogość wprowadza zamęt" – zdobycie wielości upragnionych rzeczy wymaga rozmaitych aktywności, wielu działań często trudnych do pogodzenia, nierzadko niemożliwych do podjęcia jednocześnie, wzajemnie będących dla siebie przeszkodą, utrudnieniem. Wielość pragnień rozprasza nas i rozrywa.

„Czy potrafisz pozostać tam, gdzie dusza jest u siebie? Trwać w jedności? Być całym?" – pyta nieco retorycznie Lao Tsy, bo wie, że ludzie uwikłani w realizację wielu pragnień nie są zadowoleni z tego, kim – teraz właśnie – są, co – teraz właśnie – mają; że chcą być (choć trochę) kimś innym, mieć (choć trochę) więcej lub co innego, niż mają.

Karnawałowa feeria barw, dźwięków i zapachów, jaka wypełnia większość przestrzeni naszej cywilizacji, nie cieszy się więc poważaniem mędrca: „Pięć kolorów / oślepia nasze oczy. Pięć dźwięków / ogłusza nasze uszy. Pięć smaków / znieczula nasz język. // Wyścig, gonitwa, polowanie / wpędzają ludzi w szaleństwo. / Chęć zdobycia bogactwa / zakłada ludziom pęta. Mądra dusza / spogląda wewnętrznym, / nie zewnętrznym okiem, puszczając tamto, / zatrzymując to". Owo „to" warte zatrzymania znajduje się od zawsze wewnątrz każdej i każdego z nas – w pewnym sensie nie wymaga więc zachodu.

Nie dostrzegamy „tego", bo chcemy mieć „tamto". Problem jednak nie tylko w zdobyciu upragnionego „tamtego". Niepewna jest i nietrwała natura świata. Dlatego Lao Tsy ostrzega: „Napełnij miskę po brzegi, a przeleje się. Długo ostrząc nóż, wkrótce go stępisz. Nikt nie ochroni domu pełnego złota i nefrytu. Bogactwo, pozycja i duma są swoim własnym zniszczeniem".

Choć Lao Tsy pisał dawno temu i w innej kulturze, jego intuicja wydaje się trafnie opisywać także nasze społeczne uwarunkowania: posiadanie zbyt dużo nie tylko wzbudza w posiadaczu niepokój, czy ktoś nam posiadanego nie będzie chciał odebrać; bardzo często wzbudza rzeczywistą zazdrość i niechęć bliźnich, skłania ich ku hipokryzji, ku udawaniu przyjaźni; innymi słowy: wcale nie sprzyja dobrym międzyludzkim relacjom. Co ważne – „zbyt dużo" nie jest obiektywnie, raz na zawsze i dla wszystkich ustaloną sumą. Różne są miski i różne noże. Jedne trzeba ostrzyć dłużej, inne krócej. Jedne miski pomieszczą więcej, inne mniej. Każda i każdy ma swoją własną miarę.

Warto więc znać swoją miarę. Jednak nadmiar rzeczy, w które obrastamy i które zaczynamy uważać za niezbędne, bez których nie potrafimy wyobrazić sobie własnego szczęścia, w których dostrzegamy własną wartość, a nawet tożsamość – taki nadmiar przesłania nam nas samych. By poznać własną miarę, trzeba zaś zobaczyć siebie. Dlatego przydatne jest, a czasami wręcz konieczne, wycofanie się z wyścigu po rzeczy tego świata. Jak dostrzegł jeden z najważniejszych komentatorów „Tao te king", Wang Bi: „Im drzewo jest większe – tj. im więcej ma – tym dalej mu do jego korzeni. (...) Podobnie, im więcej się ma, tym jest się dalej od tego, czym autentycznie się jest".

Potrzebny jest więc powrót do korzeni. „Powrót do korzeni / to pokój. / Pokój: przyjąć, co być musi, / wiedzieć, co przetrwa. / W tej wiedzy jest mądrość. / Bez niej – chaos, ruina". Powyższy werset wskazuje, że nie chodzi tu bynajmniej o wyrzeczenie dla wyrzeczenia, ani o manichejską nienawiść do rzeczywistości. Celem jest mądrość, zdolność rozróżniania tego, co – choć wydaje się ważne i niezbędne – jest efemeryczne, od tego, co trwałe, więc godne zachodu. Jeśli bowiem pragniemy trwałego szczęścia i spełnienia, to uzależnianie się od tego, co przemijające, nieuchronnie prowadzi do „chaosu i ruiny" – „dużo zgromadzisz – wiele utracisz", mówi „Księga Drogi i Cnoty". Nie trzeba wiele: „Wystarczy wiedzieć, / ile wystarczy".

Mądrość ma jeszcze drugą stronę – zdolność przyjęcia tego, co być musi. Mądra akceptacja tego, że „pewne rzeczy po prostu są", oraz oparcie się na tym, co trwałe, daje pokój. Jeśli to jest powrotem do korzeni, właśnie od tego trzeba zacząć podążanie Drogą. Jeśli tak, to podstawową wielkopostną ascezą powinno być po prostu ćwiczenie kontemplacyjnego przyjmowania wszystkiego, czego spośród dziejącej się wokół nas rzeczywistości nie możemy uniknąć.

Bez walki

W podążaniu Drogą nie chodzi jednak tylko o wolność od posiadania rzeczy. Równie wciągające, oddzielające od własnej istoty, rozpraszające i rozrywające jest dążenie do pozycji społecznej, władzy i uznania. One także sprowadzają na człowieka podobne nieszczęście: „Kto wspiął się na palce – długo nie ustoi", dlatego właśnie „zaszczyty i hańba równie wzbudzają strach. / Człowiek z pozycją cierpi, / lękając się o siebie". Jak więc istnieje błogosławieństwo ubogich w duchu, tak też jest i drugie: ludzi cichych.

Jeśli poczucie własnej wartości odnajdujemy „u korzenia" swojego jestestwa, nie musimy go szukać w spojrzeniach innych. Zamiast więc walczyć o pozycję, uznanie i władzę, a potem lękać się utraty tamtych zdobyczy, można zmierzać ku innemu sposobowi funkcjonowania: „Mieć i nie posiadać; działać i nie zawłaszczać; wykonać pracę i zostawić ją: ponieważ tylko puszczając zatrzymujesz". Bo w postępowaniu Drogą Nieba nie chodzi wcale o marazm czy bierność. Błogosławieństwo cichych dotyczy ludzi pełnych energii i zaangażowanych w rozmaite sprawy tego świata.

Ważny jest jednak sposób zaangażowania i jego ćwiczeniem powinna być wielkopostna asceza. Chodzi o zaangażowanie skupione na samym działaniu, bez przywiązania do jego późniejszych rezultatów – które z różnych, niezależnych od nas przyczyn mogą być takie lub inne ↦

↦ – a zwłaszcza bez próby wykorzystania tego działania do zewnętrznego wobec niego, a egoistycznego celu – zbudowania własnej społecznej pozycji, dominacji nad rzeczywistością (czy jakimś jej fragmentem).

W tym kontekście Lao Tsy stawia nam ważne pytanie: „Czy potrafisz skupić swą energię, miękko, łagodnie, a więc nauczyć się być dzieckiem?". Taoistyczny mędrzec otwiera tu przed nami nową przestrzeń znaczeniową tak drogiej Jezusowi figury dziecka. Dziecięcy organizm, choć słabszy od dorosłego, ma nad tym drugim przewagę elastyczności i możliwości wielokierunkowego rozwoju. Dziecko skupia się też często na tym, co właśnie robi, tak że dłuższa czasowa perspektywa znika z jego pola świadomości. Obraz dziecka jest w tym aspekcie cenną wskazówką właściwego sposobu działania.

Brak przywiązania, o który w nim chodzi, to skupienie energii na zadaniu, które w danym momencie przed nami stoi, na samym procesie jego wykonywania. Ale to także miękkość, elastyczność, otwartość na zmiany sytuacji, z chwili na chwilę. Gdy bierzemy udział we właściwym naszej cywilizacji dorosłym „wyścigu szczurów", gdy chcemy chronić zdobytą w trudzie pozycję, napinamy się i usztywniamy: popadamy w rutynę, nasze poglądy kostnieją. A przecież „żywy człowiek / jest miękki i wrażliwy. / Zwłoki są twarde i sztywne. (...) // Twardość i sztywność / towarzyszą śmierci. / Miękkość i delikatność / towarzyszą życiu".

Powrót do podstawy

Wielkopostne błogosławieństwa ubogich w duchu i cichych, których znakiem jest popiół przyjęty na głowę, dotyczą tych, którzy potrafią znaleźć właściwą odpowiedź na pytanie: „Co jest ci bliższe? / Twoje imię czy ty sam? / Co jest cenniejsze: / życie czy to, co masz?". Błogosławieni są ci, którzy wiedzą, że „małe jest korzeniem wielkiego, / niskie jest podstawą wysokiego", ci, którzy „zachowują ziarno, a nie łupinę". Będąc „jak topniejący śnieg", którego nie da się zamknąć w dłoni, wymykają się oni cywilizacyjnym mechanizmom manipulacji, takim jak reklama czy polityczna propaganda. Jednocześnie nie ma w nich wrogości wobec świata i społeczeństwa, w którym żyją, są „naturalni jak nieociosane drewno, / otwarci jak doliny". To ci, „którzy nie rywalizują, a więc nie mają rywali", ci „którzy nie walczą, więc nie można ich pokonać".

Uważni na to, co małe, „wracają do tego, co ludzie przeoczyli", niewiele potrzebują, by smakować życie. Pozostają bowiem w jedności z Drogą i doświadczyli prawdy, iż „jeśli posmakujesz Drogi, / jest bez specjalnego smaku i barwy; / nie wydaje się czymś szczególnym, / i nie brzmi wyjątkowo. / A jednak nigdy nie masz jej dość".

Albowiem sposób życia, o który chodzi w „Księdze Drogi i Cnoty", nie jest wymogiem, normą czy przykazaniem. Jest raczej otwartą możliwością zjednoczenia się z Podstawą rzeczywistości, którą Chińczycy nazwali Tao, a którą chrześcijanie określają mianem Bożego Logosu i Bożego Ducha. W obu tradycjach ważna jest świadomość, że nazwy to tylko nazwy, ludzkie, niedoskonałe etykietki, ewentualnie drogowskazy. Że prawdziwe imię tej rzeczywistości jest – jak mówi św. Paweł – „ponad wszelkie imię" (por. Flp 2, 9), a więc że – jak przestrzega Lao Tsy – „imię, które możesz wypowiedzieć, nie jest prawdziwym imieniem".

Bezimienna i wymykająca się naszym określeniom – wcale nie znaczy daleka. Wręcz przeciwnie: ponieważ dystans jest warunkiem możliwości nazywania, bezimienność Drogi wypływa z jej absolutnej bliskości i wszechobecności. Jak to wyrażają Listy do Kolosan i do Efezjan, „jest arche" – czyli zasadą i podstawą, która „napełnia wszystko, na wszelki sposób". Jak mówi „Tao te king": „w tym nienazwanym zaczynają się niebo i ziemia".

To właśnie Tao, Logos, Arche rzeczywistości jest wzorcem błogosławionych cichych i ubogich w duchu, Ona (On) jak woda „płynie do niskich i pogardzanych miejsc / i tak dociera wszędzie". Taka właśnie jest Boża Rzeczywistość, Woda życia – jak mówi o niej Jezus w Ewangelii Jana. „Nic na świecie / nie jest tak miękkie i tak słabe jak woda. / Nic innego niż woda nie potrafi zetrzeć w pył / tego, co twarde i mocne / i pozostać niezmienione. / Miękkie pokonuje twarde, / słabe pokonuje mocne" – mówi Lao Tsy. Jego uosobieniem jest Sługa JHWH z proroctwa Izajasza, który „nie będzie wołał ni podnosił głosu, nie da słyszeć krzyku swego na dworze; nie złamie trzciny nadłamanej, nie zagasi knotka o nikłym płomyku" (Iz 42, 2). Z nikim o nic nie musi walczyć, niczego nie musi zdobywać: „W nienazwanym, bezkształtnym / nie ma pragnień. / W braku pragnień jest spokój. / W spokoju spoczywa wszystko, co pod niebiem".

©℗ PIOTR SIKORA

Fragmenty „Tao te king" pochodzą albo z przekładu z języka chińskiego Anny Iwony Wójcik, albo z parafrazy tej księgi autorstwa Urszuli K. Le Guin (w przekładzie Barbary Jarząbskiej-Ziewiec), albo są moimi parafrazami sformułowanymi na podstawie tamtych wersji.

TP

Kluby „TP" zapraszają

GDAŃSK
■ **piątek, 15 marca, godz. 18.00**
Spotkanie „Co chcielibyście wiedzieć o gender, ale boicie się zapytać?". Gościem będzie dr hab. Tomasz Tomasik. Miejsce: Dom Hospicyjny (ul. Kopernika 6).

LUBLIN
■ **piątek, 8 marca, godz. 18.00**
Spotkanie „Błogosławieni ubodzy...". Gościem będzie s. Małgorzata Chmielewska. Miejsce: Trybunał Koronny (Rynek 1).

WARSZAWA
■ **Czwartek, 14 marca, godz. 18.00**
Spotkanie „#overcomingsilence – kobiety w Kościele". Gośćmi będą Zuzanna Flisowska, Alicja Budzińska, Zuzanna Radzik.
Miejsce: Sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro).
■ **Sobota, 16 marca, godz. 16.00**
Kawiarenka „Overcoming Silence – mój głos". Warsztaty z udziałem Zuzanny Flisowskiej.
Miejsce: Stacja Muranów (ul. gen. Andersa 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SZYMON

Hołownia:
Telenowele

Donald J. Trump jest pierwszym „przywódcą wolnego świata", który natchnął mnie do refleksji nad tym, czy wolność rzeczywiście jest wartością, którą winienem cenić najbardziej. Wszyscy moi koledzy dokonujący fatalnych miłosnych wyborów zawsze mogli liczyć na moje wsparcie, dziś mam je więc również dla moich prawicowych druhów w publicystycznej robocie, którzy w 45. prezydencie USA widzą spełnienie swoich dusznych snów, wzorzec z Sèvres pragmatycznego geniuszu, uosobienie wartości, które sami wyznają, wreszcie – *last, but* zdecydowanie *not least* – guru estetyki.

Z pewnością polskich wyznawców Donalda J. Trumpa, gotowych stracić rozum z namiętności, gdy raz na pięć lat wspomni on na Twitterze w paru znakach o „bohaterskim narodzie polskim", ucieszy opublikowana niedawno pozycja „The Donald J. Trump Presidential Twitter Library", w której satyrycy z programu „The Daily Show" (na razie tylko oni; uniwersytety i akademia noblowska z pewnością zaraz pójdą w ich ślady) upamiętnili dla potomnych setki lapidarnych refleksji pana prezydenta z okresu, gdy był jeszcze osobą prywatną (choć już publiczną), oraz z ostatnich lat, gdy pistuje wielki urząd. Z benedyktyńskim wysiłkiem pokategoryzowali je ze względu np. na obrażanych w nich polityków, aktorów, kraje, stopień samozachwytu, powtarzalne zakończenia (potężna kolekcja tweetów zakończonych wykrzyknikiem: „Smutne!" albo: „WOW!"), porównania (ulubione i najbardziej pojemne to bez wątpienia: „jak pies": „zwolnili go jak psa", „zdradzała go jak psa", „udławił się jak pies") itd. Autorzy publikacji zbadali, że od chwili, gdy został prezydentem USA, Donald J. Trump opublikował 892 wpisy między szóstą a dziewiątą rano, 417 między dziewiątą a dwunastą, a np. tylko 33 między północą a trzecią w nocy. Najdłużej trwająca „susza tweetowa" (okres bez opublikowania wpisu) trwała aż 1 dzień, 21 godzin i 45 minut!

Osobny rozdział poświęcony jest tweetom dotyczącym prezydenckiej obsesji, czyli budowy „pięknego" muru na granicy z Meksykiem. Pan prezydent pisze też o tym, że najlepsze na świecie taco bowls są w jego Trump Tower Grill (bo przecież nawet prezydentura nie jest powodem, by przestać być deweloperem i hotelarzem), że jest jedyną prawdziwą gwiazdą w USA (więc nic dziwnego, że spada oglądalność gali Oscarów), że był „najlepszym graczem w baseball w stanie Nowy Jork, zapytajcie trenera Teda Dobiasa, on mówił, że byłem najlepszym, którego trenował".

Kilka moich ulubionych dzieł pozwolę sobie przytoczyć w całości: „Sorry, cieniasy i hejterzy, ale moje IQ jest jednym z największych, i wszyscy to wiecie! Nie czujcie się tacy głupi albo tacy niepewni, to nie wasza wina!". „Czyż to nie głupie – jestem wart miliardy dolarów, zatrudniam tysiące ludzi, a piętnują mnie skretyniali blogerzy, których nie stać na garnitur. CHORE". „Za każdym razem, gdy mówię o hejterach i frajerach, robię to z wielką miłością i czułością. Przecież to nie ich wina, że od urodzenia są popieprzeni". „Moimi głównymi walorami zawsze były stabilność umysłowa i błyskotliwa inteligencja. Pokraczna Hillary Clinton też próbowała grać tymi kartami, ale spłonęła. Ja z BARDZO skutecznego biznesmena, topowej gwiazdy TV, stałem się prezydentem USA (za pierwszym podejściem). To mógł osiągnąć nie tyle ktoś inteligentny, co geniusz. I do tego bardzo stabilny umysłowo geniusz!".

Wprost cudowny jest dział „Trump vs. Trump", wykazujący, jak poglądy, które głosi „The Donald", zmieniły się o dokładnie 180 stopni, gdy został prezydentem, a nawet i w czasie prezydentury (dotyczy to m.in. istnienia Kolegium Elektorskiego, ataków na Syrię, rokowań z Koreą Płn., magazynu „Time" czy grania w golfa przez prezydenta USA – jak grał Obama, była to zbrodnia, gdy gra Trump – jest to ciężka służba państwu). Żałobne dwie strony poświęcono dramatycznym jedenastu minutom (od 18.49 do 19.00) 2 listopada 2017 r., gdy konto prezydenta zniknęło z Twittera (ponoć skasował je porzucający zajęcie pracownik serwisu). „Ileż przemieniających oblicze świata myśli, ile zasłużonych obelg, które mogłyby zmienić bieg historii zostało bezpowrotnie utraconych w ciągu tych jedenastu minut?" – pytają autorzy opracowania. I dodają: czy faktycznie winny jest ów pracownik? „Czy nie powinniśmy spojrzeć głębiej, na stary jak świat impuls, który każe nam szukać ukojenia w mrokach czyjejś ignorancji? Gdy przyjmiemy tę interpretację – wszyscy jesteśmy winni. Zarówno w sensie moralnym, jak i w świetle wszystkich praw stanowych i federalnych".

I w zasadzie nie potrzeba chyba brukać czystości tej refleksji dodatkową puentą. Jasne, możemy się pysznie bawić odwiedzając zorganizowaną przez autorów albumu rzeczywistą bibliotekę tweetów Trumpa. Tyle że ten człowiek naprawdę ma dostęp do atomowego guzika i trzyma w ręku potęgę gospodarczą numer jeden. I to jednak jest przecież nasza wina (bo nie Marsjan ani Pana Boga), że stworzyliśmy świat, w którym ktoś wybiera na przywódcę megamocarstwa (i zarazem, jak się teraz okazuje, naszego jedynego sojusznika i patrona polskiej suwerenności) osobę o horyzontach, dokonaniach, kulturze i ego bohatera omawianego opracowania (przypomnijmy – kogoś, kto opowiadał kolegom o tym, o ileż łatwiej jest bezkarnie łapać kobiety za krocze, gdy jest się gwiazdą tego formatu, co on).

Nie wiem, czy „The Donald" zdoła się wyrwać z zaciskającej się wokół niego coraz mocniej pętli oskarżeń o wspólne robienie brzydkich rzeczy z Rosjanami i o wiele innych mętnych spraw, jednak – jak mawia współczesna młodzież – co się zobaczyło, tego się nie odzobaczy. Jasne, od polityka nie można oczekiwać osobistej świętości, a i nawet tytuł profesorski nic nie znaczy – na co choćby na naszej Wiejskiej mamy wszak dość dowodów. Kłopot chyba w tym, że już od dawna nie oczekujemy od niego także choćby minimum kompetencji, a jedynie tego, by coś zrobił z naszymi emocjami: pocieszył nas, uspokoił, rozbawił, zaskoczył. Że raz na cztery lata nie wybieramy majstra do roboty, lecz obsadę kolejnego sezonu serialu, komponując ją tak, by cały czas móc podniecać się konfliktami, gonitwami oraz snuciem marzeń w wirtualnym świecie.

„Życie, życie jest nowelą" – przekonuje od 22 lat Ryszard Rynkowski w piosence otwierającej każdy odcinek megaserialu „Klan". Panie Ryśku, wykrakał pan, jest już telenowelą, rzeczywiście. ©

REPORTAŻ

KASZUBSKIE DOGADYWANIE SIĘ Z BOGIEM

Siostra Małgorzata Borkowska żałuje ludzi, którzy żałują żarnowieckich benedyktynek. – Ani to nie pierwszy raz, ani być może ostatni, gdy nas jest tutaj mniej – mówi.

TEKST JOANNA WIŚNIOWSKA ZDJĘCIA DLA „TP” RENATA DĄBROWSKA

Siostry benedyktynki modlą się w kaplicy klasztoru, styczeń 2019 r.

Jeszcze dwanaście lat temu było ich 27, teraz jest 17, do tego dwie wymagają już stałej opieki, a trzy wyjadą do Sierpca, żeby ratować upadający dom.

– „Co poniżej pięciu, to się samo nie utrzyma" – siostra Małgorzata Borkowska cytuje papieża Franciszka, więc gdy liczba zakonnic spadnie poniżej pięciu właśnie, to dom trzeba albo zamknąć, a siostry przenieść do innego miejsca, albo ratować się posiłkami z pozostałych domów.

Teraz benedyktynki z Żarnowca na Kaszubach same modlą się o powołania. Wszystko jest w rękach Boga – mówią. Nie panikują.

Benedyktynki w Żarnowcu

Zaczyna się od darowizny książąt pomorskich dla opactwa cystersów w Oliwie. W klasztornych murach w Żarnowcu jako pierwsze prawie 800 lat temu zamieszkują cysterki. Nie wiadomo, skąd przybyły, ale wspólnota jest początkowo polsko-niemiecka, potem już tylko niemiecka. Grube mury chronią je przed najeźdźcami i sztormowymi wichurami od morza.

Solidne mury nie oprą się jednak reformacji. Mniszki – pochodzące z mieszczańskich rodzin – porzucają życie zakonne, w 1584 r. jest ich już tak niewiele, że opat oliwski Jan Kostka zwraca się o pomoc do ksieni klasztoru benedyktynek w nadwiślańskim Chełmnie, matki Magdaleny Mortęskiej. Już po jego śmierci, w 1589 r. następuje kasata zgromadzenia cysterek, a biskup włocławski Hieronim Rozdrażewski, zwolennik reformy życia zakonnego w duchu Soboru Trydenckiego, podejmuje decyzję o sprowadzeniu nad jezioro Żarnowieckie siedmiu zakonnic z Chełmna.

Matka Mortęska, która sama wcześniej dwukrotnie odwiedziła Żarnowiec, to postać wybitna: pisarka religijna i reformatorka swojego zakonu w oparciu o ścisłą obserwancję benedyktyńską. Dokonana za zgodą Rzymu reforma obejmuje w sumie dwadzieścia dwa klasztory. Siostry obowiązkowo są kształcone, ale ksieni nacisk kładzie także na prowadzenie przyklasztornych szkół dla panien. Na początku XXI w. powróci temat jej beatyfikacji.

Idąc za reformatorskimi pomysłami, żarnowieckie zakonnice otwierają szkółkę dla dziewcząt ze szlacheckich i mieszczańskich rodzin. Uczą pisania, czytania, szycia i hafciarstwa. Od Hiszpanii po Ruś, wszyscy haftują w tym samym barokowym stylu – symetria, kwiaty. Na Kaszubach nauka idzie w lud, każdy dodaje coś od siebie i tak powstaje haft kaszubski, który uprawiany jest do dzisiaj. Zakonnice mają także innego rodzaju wpływ na miejscową kulturę: pierwsza ksieni, Barbara Knutówna, jest mecenaską sztuki, a z jej hojności korzysta między innymi wielki malarz gdański Herman Han.

Benedyktynki biorą się za odnowę wzniesionego w XIV w. gotyckiego kościoła. We wnętrzu pojawiają się barokowe ołtarze, na dachu sygnaturka, a na wieży nowy hełm. W XVIII w. mury zewnętrzne pomalowane zostają na czerwono. Opactwo działa bez przeszkód do rozbiorów: w 1772 r. następuje sekularyzacja dóbr, w 1810 r. – zamknięcie nowicjatu, w 1834 r. – kasata klasztoru.

Skarbiec

Siostra Weronika oprowadza po skarbcu. Usta jej się nie zamykają, uśmiechnięta, uwielbia kontakt z ludźmi. W szkole historii nie lubiła, ale to właśnie ją ksieni deleguje do gości. ↦

↦ – Po benedyktynkach sprzed kasaty pruskiej pozostały haftowane ornaty, kapy, vella, bursy, stuły, manipularze, księgi liturgiczne, barokowe rzeźby, barokowo-rokokowy wystrój kościoła, zabudowania gospodarcze, alejka grabowa w ogrodzie – wymienia zakonnica. Ale to nie wszystkie skarby.

Jest też zegar kolebnikowy z kościelnej wieży, jeszcze z ery przedwahadłowych. Proboszcz przez lata trzymał go w garażu, w końcu okazało się, że zabytek jednak nie pójdzie na złom – jeden z gości dostrzegł jego wartość.

Są ampułki wypożyczone do sceny przed główną bitwą w filmie „Krzyżacy". Jest i kielich, którego użył Jan Paweł II podczas mszy na sopockim hipodromie w 1999 r.

Najstarszy eksponat ze skarbca to romański dzwon. Nie wiadomo, skąd się tu wziął, znajdą go siostry, które trafią do Żarnowca w 1946 r.

Siostra Weronika oprowadza po kościele. Pieta z 1430 r. to skarb pozostały z gotyckiego wyposażenia z czasów cysterek, podobnie jak rzeźby przedstawiające Matkę Boską z Dzieciątkiem i św. Katarzynę, umieszczone na wspornikach w kształcie głów. Barokowy ołtarz główny z XVIII-wiecznym obrazem Zwiastowania to już epoka benedyktynek, tak jak ołtarze boczne – Trójcy Świętej i św. Anny Samotrzeć, stalle ze scenami z życia św. Benedykta i św. Scholastyki oraz rokokowa ambona.

Remont stulecia

– Największym wyzwaniem dla zakonnic jest teraz zachowanie dziedzictwa – mówi ks. Sławomir Lademann, kapelan klasztoru. W żarnowieckim klasztorze i kościele zawsze jest coś do zrobienia, w końcu siostry mieszkają w zabytkowych wnętrzach. Mury potrzebują odnowienia, do tego benedyktynki chcą udostępnić zwiedzającym dziedzictwo poprzedniczek. Trwa zbiórka na „Remont stulecia". Dzięki gminie udaje się przystąpić do unijnego projektu. Kwota: ponad milion złotych, wkład własny: 40 proc. Prace obejmą remont skarbca, krużganków, elewacji klasztoru, odwodnienie murów.

W minione wakacje skarbiec otwarty był dla zwiedzających właściwie cały czas – wszystko po to, żeby zebrać fundusze. Goście widzą, że coś się dzieje, i dają więcej niż dotychczas. Siostry sprzedają też własne przetwory, babeczki – ludzie kupują, ale

żeby zebrać dostateczną ilość pieniędzy, trzeba by działać na masową skalę, a to niemożliwe.

Od kilku lat w klasztorze funkcjonuje pracownia artystyczna, w której powstają ikony, ręcznie malowane i wytapiane świece, kartki okolicznościowe, robione m.in. techniką *quillingu* oraz inne wyroby.

– Każdy grosz jest cenny, każda wpłata – mówi siostra Weronika.

Ziemniaki za nowy dom

Gdy klasztor w 1834 r. uległ kasacie, władze pruskie pozwoliły doczekać tu ostatnich dni kilku mniszkom. Ostatnia była siostra Zofia, która dziesięć lat spędziła w Żarnowcu sama; miejscowe kobiety przynosiły jej jedzenie. Po jej śmierci w 1866 r. benedyktynki na 80 lat znikną z miejscowego pejzażu.

Wrócą nad jezioro Żarnowieckie w 1946 r. Z wileńskiego klasztoru św. Katarzyny przybędzie 12 mniszek, a z nimi cały dobytek i jedna koza. Już wcześniej, w dwudziestoleciu międzywojennym były plany odnowienia żarnowieckiego klasztoru – pokrzyżowała je wojna.

Gdy już było wiadomo, że Polska straci Wilno, miejscowy arcybiskup podzielił wspólnotę. Część sióstr została, część trafiła do Warszawy. Tam mogły wybrać miejsce, gdzie się osiedlą. Wybrały Żarnowiec, pamiętając, że to właśnie tu jeszcze przed 1939 r. miała powstać filia ich klasztoru. Siostra Scholastyka złożyła śluby, że jeśli się uda, do końca życia będzie obierać ziemniaki dla całej wspólnoty, choć do tej pory trzymała się z daleka od kuchni. Od tej pory będzie obierać ponad wiadro dziennie, a w soboty dwa.

Gdy w końcu benedyktynki przybywają na północ, jest zima. Zastają opustoszały klasztor i powojenną biedę. Mróz dokucza, nie ma opału, palą torfem, który najpierw same suszą, ale na niewiele to się zdaje. Pomagają miejscowi. Także duchowo. Prawie stuletnia mieszkanka opowiada im, jak wraz z matką odwiedzały klasztor, zanosząc jedzenie ostatniej żarnowieckiej zakonnicy.

Miejscowi powtarzają opowieść o księdzu Reichu, ostatnim przedwojennym proboszczu, który odmówił sowieckim żołnierzom wydania kluczy do skarbca. Gdy nadciągała Armia Czerwona, został z parafianami, bo – jak mówił – „gdzie ↦

Siostra Paula zajmuje się gospodarstwem. Styczeń 2019 r.

Kościół w Opactwie Benedyktynek w Żarnowcu, widok od bramy cmentarnej. Styczeń 2019 r.

SIOSTRA MAŁGORZATA BORKOWSKA – polonistka, filozofka i teolożka z wykształcenia, historyczka i powieściopisarka. Tłumaczyła z angielskiego, francuskiego i greki. Znawczyni Ojców Pustyni, ale przede wszystkim życia polskich zakonnic XVII i XVIII w., autorka monumentalnego trzytomowego „Leksykonu zakonnic polskich epoki przedrozbiorowej". W jej dorobku oprócz kilkudziesięciu książek poświęconych historii zakonów i duchowości jest kilka powieści – w tym wielka saga fantasy „Gar'Ingawi wyspa szczęśliwa". Ostatnio rozgłos przyniosła jej nieduża książeczka zatytułowana „Oślica Balaama", będąca wnikliwą krytyką wad polskiego kleru. W noworocznym numerze „Tygodnika" przyznaliśmy jej tytuł „Naszej Bohaterki 2018 roku".

Przeorysza siostra Małgorzata Borkowska. Styczeń 2019 r.

↦ ksiądz, tam Kościół". Zginie zastrzelony przez żołnierzy w krużgankach.

Pierwsze nowe kandydatki zgłaszają się do klasztoru w 1947 r. Mniszki „idą w wieś". Jeszcze zanim powstanie służba zdrowia, siostra Placyda staje się domową lekarką.

– Nie tylko leczyła, ale siedziała przy chorych, zmieniała okłady. Mnóstwo ludzi z okolicy bardzo wiele jej zawdzięczało – opowiada siostra Małgorzata Borkowska. – Gdy była już starsza, wysłano mnie z nią do Pucka. To był pochód triumfalny. Ludzie wyskakiwali zewsząd, pytali, jak mogą pomóc. Była uwielbiana.

To zresztą siostra Placyda przyprowadzi z Wejherowa pierwszego konia do zakonnego gospodarstwa. Będzie z nim szła pieszo nocą przez las.

Żarnowiecka Akademia Nauk Wszelkich

W latach 50. w żarnowieckim klasztorze zaczyna się ruch wakacyjny.

– Ludzie mieszkali we wsi, ale stołowali się u nas. Stołówka była w dużej sali, tam gdzie teraz jest skarbiec. Dziennie wydawałyśmy ponad sto obiadów. Cały dom pracował na to, żeby przygotować posiłki – opowiada siostra Borkowska. Rosół, barszcz, kartoflanka czy grochówka, zależy od dnia. Na drugie danie kupione od gospodarza mięso. Siostry mięsa nie jedzą, dla nich nie starcza.

– Te obiady to był nasz jedyny dopływ pieniędzy – wyjaśnia siostra Małgorzata. Nie mają jeszcze wtedy emerytur ani ubezpieczenia. Dopiero Gierek ubezpieczy rolników prywatnych, co obejmie także żarnowieckie benedyktynki.

W wakacje do Żarnowca zaglądali stali bywalcy. Np. Jacek Woźniakowski – historyk sztuki i pisarz, profesor KUL-u i redaktor naczelny wydawnictwa Znak, a także jego syn Henryk – publicysta i tłumacz, obecny szef Znaku. Prof. Andrzej Schinzel – matematyk z Warszawy. Prof. Karol Górski – historyk, badacz dziejów duchowości.

– Stworzyliśmy Żarnowiecką Akademię Nauk Wszelkich. Goście opowiadali nam o swojej dziedzinie wiedzy, mnóstwo osób chciało słuchać. Przez chwilę człowiek dowiadywał się, czym jest wyższa matematyka, potem mógł spokojnie o tym zapomnieć – wspomina siostra Borkowska. Gdy goście akurat nie wykładają, idą do lasu, jadą nad jezioro czy na oddaloną o sześć kilometrów plażę. Lasy okalające jezioro od strony południowo-zachodniej zostaną wycięte, gdy zacznie się budowa niedokończonej do dziś elektrowni jądrowej. Sama siostra Małgorzata mogłaby być honorową członkinią Żarnowieckiej Akademii.

Siostra Borkowska w swojej pracy korzysta z księgozbioru Polskiej Akademii Nauk. Gdy w Warszawie odwiedza bibliotekę PAN, budzi zawsze zainteresowanie obecnych. Kiedyś oddała formularz zamówienia dyżurnej, a ta wybuchnęła śmiechem. – Zamiast bibliotecznego formularza wyciągnęłam dokument potwierdzający, że jestem jako rolniczka ubezpieczona – śmieje się dzisiaj.

Pole w dzierżawę

Jeszcze w pierwszej dekadzie XXI w. benedyktynki miały 10 hektarów pola. Tyle samo łąk, do tego kury, świnie i krowy. Zbierać zboże, ziemniaki, buraki i kapustę pomagały zaprzyjaźnione rodziny, ale zakonnice same także szły w pole, z traktorem z lat 70. i koparką.

– Rozstawiałyśmy się co kilka kroków, to co maszyna wyrzuciła z ziemi, każda na swoim odcinku wsadzała do koszyczka. Sadziłyśmy też kartofle, sadzonki trzymane w fartuchu rzucało się przed siebie, jedna z nas nawet patyczkiem wymierzała, żeby zachować odpowiednią odległość. Aż zagraniczne samochody stawały. Ludzie robili nam zdjęcia, taki to był prymitywny sposób pracy – opowiada benedyktynka.

Żeby zarobić, przed świętami kisiły kapustę, całe beczki. Do ostatniej chwili przed pierwszą gwiazdką ktoś przychodził, żeby kupić. Ale z pól kapusty korzystali nieproszeni goście. W końcu

siostry podjęły decyzję, że już nie dają rady, pole poszło w dzierżawę.

– Nie ma już komu chodzić na wykopki, a płacić ludziom ze wsi trzeba mieć z czego – wyjaśnia siostra Weronika.

– Goście już od lat nie przyjeżdżali, a i nas zaczęło ubywać. Nie było rąk do pracy, nie było skąd brać pieniędzy na wypożyczenie sprzętu. Do własnej obróbki zatrzymałyśmy tylko ogród, wiele z tego to nieużytek. Został sad, trochę grządek – dodaje siostra Małgorzata.

Benedyktynki mogą sobie na to pozwolić. Od lat są ubezpieczone, więc nie muszą płacić już za najprostsze zabiegi. Żyją – choć bardzo skromnie – z emerytur. Decyzja komunistycznych władz, które usiłując się utrzymać przyznały emerytury duchownym i osobom zakonnym, bardzo ułatwiła im życie.

Jest łatwiej!

Dzisiaj – także po to, żeby zarobić – prowadzą rekolekcje.

– Mamy dwie opcje do wyboru. Pierwsze to okazja do duchowego wyjścia na pustynię, bez telefonów, konferencji czy dyskusji. Drugie to cykl trzech weekendowych spotkań połączonych z konferencjami. Bierzemy za to co łaska – opowiada siostra Małgorzata. Warunki są bardzo skromne. Benedyktynka uśmiecha się, gdy opowiada o jednym z uczestników rekolekcji, który na karteczce, gdzie zapisuje się uwagi, napisze, że konferencja, owszem, bez zarzutu, ale „standard zakwaterowania najgorszy w Polsce". Gdyby były pieniądze, dałoby się rozbudować dom gościnny.

Czy jest im ciężko?

– Więcej rąk do roboty zawsze by się przydało, ale jak ich nie ma, to żyje się dalej – mówi krótko siostra Borkowska. – Żyjemy w czasach, w których trudno jest zapełnić wszystkie urzędy klasztorne i funkcje, bo jest nas za mało. Trzysta lat temu trudno było znaleźć kolejny urząd dla każdej chętnej. Teraz jedna siostra ma ileś zadań pod sobą.

Siostra Weronika mówi, że jest łatwiej. Wszystko dzięki technologii.

– Jest lżej, mamy różne roboty kuchenne, piec konwekcyjny – wymienia. Całe szczęście zawsze znajdzie się ktoś, kto pomoże. A to podrzuci materiały budowlane, a to wymieni część instalacji elektrycznej albo przywiezie jajka. Gdy istniała jeszcze fabryka konserw rybnych, bywało, że transport zahaczał o klasztor w Żarnowcu.

Remont kaplicy, w której siostry modlą się od 1996 r., też jest zasługą darczyńców: nowa podłoga, wymalowane ściany, odświeżony wygląd. Do czasu budowy nowej kaplicy siostry modliły się latem w chórze, a zimą w malutkim oratorium na poddaszu.

– To pomoc ze strony różnych ludzi, którzy pochodzą z całej Polski – mówi siostra Małgorzata.

Brak powołań

Siostra Weronika smuci się, bo „stałości decyzji nie ma". Co jakiś czas przyjedzie kobieta, ale na wstąpienie do zakonu się nie zdecyduje.

– Nie wybiegamy jednak myślami za daleko w przyszłość, przyjmujemy to tak, jak jest. Wszystko w rękach Boga – mówi.

Siostra Borkowska podejrzliwie patrzy na wszelkie akcje powołaniowe.

– Powołanie można komuś wmówić, ale co ono jest wtedy warte? Nic. I szybko się załamuje, to nie ma sensu. Chęć wstąpienia to kwestia dogadania się z Panem Bogiem – twierdzi.

Ludzie ciągle liczą, ile jest sióstr, ile było, a ile będzie. Zakonnica na pytanie o powołania odpowiada anegdotą. Znajoma z Gdyni w PRL-u prowadziła antykwariat. Urzędnicy kazali jej oprócz sprawozdania przedstawić plan, ile książek sprzeda w następnym roku. Odpisała, że prosi o służbowy przydział szklanej kuli i czarnego kota.

Zakonnice są dobrej myśli. Siostra Borkowska przez blisko 40 lat zajmuje się kwerendą historyczną, ma dostęp do danych osobowych zakonnic od czasów I wojny światowej.

– Liczby falują, są jak sinusoida, ani to nie pierwszy raz, ani być może ostatni, gdy jest nas tutaj mniej. To normalne zjawisko – mówi. Żal jej ludzi, którym żal benedyktynek.

– Wy, świeccy, bardzo dobrze rozumiecie nasze trudności, problemy, cierpienia, bóle. Zupełnie nie macie pojęcia o naszej radości, o tym, co nas tu sprowadziło i czego byśmy nie oddały pod żadnym warunkiem. Gdybyście to rozumieli, to byście sami tu przyszli.

© JOANNA WIŚNIOWSKA

Korzystałam m.in. z artykułu „Żarnowieckie opowieści" Aliny Petrowej-Wasilewicz zamieszczonego w serwisie **www.opoka.org.pl**

REKLAMA

WYDAWNICTWO | krytyka polityczna

MARCIN NAPIÓRKOWSKI *KOD KAPITALIZMU*

ROZSZYFRUJ GO, ZANIM ON ROZSZYFRUJE CIEBIE!

WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

PATRONAT
CzasKultury
Przegląd

ŻYCIE PO BREXICIE

To wielka niewiadoma nie tylko dla Brytyjczyków, ale również dla obywateli państw Unii, którzy żyją na Wyspach. Powody do obaw mają także Polacy. Odwiedziliśmy ich.

PATRYCJA BUKALSKA Z WORCESTER (ŚRODKOWA ANGLIA)

Podczas negocjacji w sprawie wyjścia z Unii jednym z trzech głównych punktów – obok ustaleń finansowych i irlandzkiej granicy – było zagwarantowanie praw obywateli krajów unijnych w Wielkiej Brytanii oraz brytyjskich mieszkających w Unii. Tych pierwszych jest 3,5 mln (ok. 6 proc. populacji Wysp), a największą grupę stanowią Polacy: prawie milion.

Przyjechali po 2004 r., gdy z chwilą akcesji Polski do Unii otworzył się dla nich brytyjski rynek pracy. Krótki wyjazd zarobkowy często zamieniał się w dłuższy, paroletni, po czym podejmowali decyzję, by zostać.

Polacy stanowią dziś w Wielkiej Brytanii największą mniejszość urodzoną poza granicami brytyjskimi – jest ich więcej niż Hindusów czy Irlandczyków. I w przeciwieństwie do innych nacji przybywających na Wyspy osiedlają się nie tylko w dużych miastach, ale też na prowincji.

Kłopoty w szczegółach

Od początku brexitowych negocjacji Polacy i inni imigranci z krajów Unii słyszeli zapewnienia, że nie będą musieli opuszczać Wysp. Teraz poszanowanie ich praw jest powiązane z zapewnieniem praw Brytyjczyków na kontynencie i zagwarantowane w wynegocjowanym porozumieniu.

Jednak, jak to często bywa, diabeł tkwi w szczegółach. Polacy i inni obywatele Unii mogą zostać, ale muszą zwrócić się o przyznanie im statusu „osiedlonego" (*settled*), jeśli są dłużej niż pięć lat, lub „wstępnie osiedlonego" (*pre-settled*), jeśli mniej niż pięć lat. W teorii nie powinni mieć z tym problemu – ówczesna minister spraw wewnętrznych Amber Rudd mówiła przed rokiem, że ma być to równie proste jak zakupy *online*.

Właśnie – *online*. Wniosek można złożyć głównie przez aplikację na smartfonie, gdyż w całej Wielkiej Brytanii ma działać tylko 13 punktów, gdzie będzie go można złożyć osobiście. Z czego np. w całej Szkocji tylko jeden, w Edynburgu. Dla osób starszych, które nie korzystają z zaawansowanej technologii i mieszkają np. w małych wioskach na północy, trwająca cały dzień podróż do szkockiej stolicy może być sporym wysiłkiem.

Bo choć w kontekście brexitu mówi się głównie o młodej imigracji, to kwestia statusu dotyczy niemal wszystkich obywateli Unii – również osób w podeszłym wieku, pochodzących z różnych krajów, które w Wielkiej Brytanii mieszkają nawet od kilkudziesięciu lat. Niektórzy, choć spędzili tu całe życie, założyli rodziny i wychowali dzieci, nie mają brytyjskiego obywatelstwa. Albo nie sądzili, że kiedyś to będzie problem, albo nie mogli go uzyskać, gdyż niektóre kraje (np. Holandia) nie pozwalają na podwójne obywatelstwo.

Europejski Windrush?

Obaw związanych z procedurą uzyskiwania statusu „osiedleńca" jest sporo. Testy systemu wykazały problemy, np. zawodziła opcja identyfikująca paszport. Aplikacja działa dotąd tylko na systemie Android (na iPhonie już nie); nie działa też za granicą. Obawy budzi również bezpieczeństwo danych. Jest jednak nadzieja, że to faza testowa i błędy można poprawić. Mówi się też o zwiększeniu liczby punktów konsultacyjnych.

Choć czasu zostało mało: system musi wejść w życie z końcem marca, gdy kraj opuści Unię (jeśli wszystko pójdzie planowo, bo ostatnio coraz częściej mówi się o przesunięciu daty brexitu).

Czas to w ogóle poważna kwestia. Na uregulowanie swego statusu w Wielkiej Brytanii – w przypadku brexitu z porozumieniem – unijni obywatele mają tylko nieco ponad dwa lata, do końca czerwca 2021 r. Potem każdy, kto nie przeszedł procedury, będzie uznany za nielegalnego imigranta. To automatyczne pozbawienie praw budzi najwięcej obaw.

Eksperci od imigracji ostrzegają rząd, że tak skonstruowany system grozi skandalem na miarę Windrush. „Pokoleniem Windrush" określa się mieszkańców Karaibów (Jamajki, Trynidadu czy Tobago), którzy przybyli na Wyspy po II wojnie światowej; uzyskiwali wtedy pozwolenie na pobyt jako pochodzący z brytyjskich kolonii.

Nie wydano im jednak potwierdzających to dokumentów – nie były potrzebne. Aż do 2012 r., gdy zaczęto ściślej kontrolować imigrację i o dokumenty poproszono. Wtedy okazało się, że papierowe karty zejścia na ląd urzędowo zniszczono. Nie mogąc udowodnić momentu, w którym przybyli (i co za tym idzie: prawa do pobytu), ludzie z „pokolenia Windrush" zaczęli być deportowani, odmawiano im świadczeń i opieki zdrowotnej.

Tymczasem część osób testujących brexitową aplikację dowiedziała się z niepo-

RADOSŁAW PIOTROWSKI DLA „TP"

Sprzedawca w Stokrotce, jednym z polskich sklepów w Worcester, w środkowej Anglii. Luty 2019 r.

kojem, że ministerstwo nie może odnaleźć dokumentów dotyczących ich pozwolenia na pobyt...

Gorsi obywatele

– Potencjalne problemy techniczne to jedna sprawa, a druga to koszty. Dopiero niedawno premier May poinformowała, że zostanie zniesiona opłata rejestracyjna, wynosząca 65 funtów – mówi Tomasz Piotrowski, który od 13 lat mieszka w Worcester, w środkowej Anglii. – Przede wszystkim jednak sam fakt, że obywatele Unii muszą się rejestrować, nie jest w porządku. Przecież już raz to robili i przebywają tu legalnie. To wielka krzywda dla Polaków i innych.

Choć sam ma obywatelstwo brytyjskie i nie musi się martwić o swoje prawa, Piotrowski zwraca uwagę na inne sprawy, stawiające unijnych obywateli na gorszej pozycji. – Nawet w przypadku uregulowanego brexitu, na podstawie porozumienia z Unią, nie wiadomo, czy obywatele unijni zachowają prawo do udziału w wyborach samorządowych – mówi.

– To szczególnie ważne, bo skoro tu mieszkamy i płacimy podatki, dlaczego mielibyśmy tracić wpływ na to, jak te pieniądze są wydawane? A co będzie, jeśli nastąpi twardy brexit bez porozumienia? My i nasze prawa jesteśmy zakładnikami polityków – dodaje Tomasz.

W przypadku wyjścia z Unii bez porozumienia, unijni obywatele musieliby uregulować swój status szybciej: do 31 grudnia 2020 r. Natomiast w ostatnich dniach brytyjscy posłowie zwrócili się do rządu, aby część porozumienia z Brukselą – ta dotycząca praw obywateli unijnych – została przyjęta i wdrożona bez względu na dalszy przebieg negocjacji, i to jeszcze przed brexitem. To może poprawić ich sytuację, choć nie zwolni z obowiązku rejestracji.

– Cokolwiek pójdzie nie tak, czy z tą aplikacją, czy z całym porozumieniem, żyjący tu Europejczycy z kontynentu mogą nagle stać się nielegalnymi imigrantami. Bez prawa pobytu, za to z hipoteką wziętą na dom oraz z dziećmi chodzącymi do miejscowej szkoły – wyjaśnia Piotrowski.

Burmistrz chce rozmawiać

Worcester to niespełna stutysięczne miasto w środkowej Anglii, blisko Birmingham. Słynie z pięknej średniowiecznej katedry, w której pochowano XIII-wiecznego króla Jana bez Ziemi (to on podpisał Wielką Kartę Praw). Słynie też z korzennego sosu: to sos worcestershire lub po prostu sos angielski.

Również w Worcester mieszka sporo Polaków.

W sobotnie popołudnie ulice w centrum tętnią życiem. Na ulicznych straganach słodycze, indyjskie jedzenie. Zabytki ↦

↦ sąsiadują z nowoczesnymi budynkami. – W grudniu zawsze organizowany jest Wiktoriański Jarmark Bożonarodzeniowy, przyjeżdża mnóstwo ludzi. To naprawdę świetne miejsce – mówi Tomasz Piotrowski.

W powietrzu czuje się już wiosnę, liczni goście siedzą przy kawiarnianych stolikach wystawionych na zewnątrz.

Na High Street, przed ratuszem, mężczyźni w mundurach z różnych epok zapraszają na historyczne widowisko, które odbędzie się za kilka dni. W ratuszu – imponującej budowli, wyglądającej raczej jak muzeum, pełnej obrazów i zabytkowych ciężkich mebli – urzęduje burmistrz Jabba Riaz.

Dziś przyjmuje interesantów. Bezpośredni, wierzy w wartość rozmowy. – W Worcester mieszkają ludzie z różnych krajów, nie tylko unijnych. Musimy nauczyć się być razem mimo różnic – mówi. – A najlepszym sposobem jest opowiadanie o sobie: dlaczego tu jesteśmy, skąd jesteśmy, jacy jesteśmy. Prowadzimy teraz taki projekt: „Mów do mnie".

Kilka miesięcy temu, gdy przez Worcester chcieli przemaszerować członkowie English Defence League, w proteście przeciw planom budowy meczetu, burmistrz wyszedł do nich na ulicę. Próbował rozmawiać. Mówił: „Tak, wolałbym, żeby was tu nie było. Ale macie do tego prawo. Zapraszam do ratusza na rozmowę".

– Kiedy ludzie lepiej się znają, przestają się siebie obawiać – mówi teraz Jabba Riaz. – Jeśli o tym zapomnimy, mogą się zdarzyć takie rzeczy jak w Bośni, gdy sąsiedzi zwrócili się przeciw sąsiadom. Nie grozi nam oczywiście wojna, ale nienawiść już tak.

– W ubiegłym roku razem z burmistrzem i kilkoma osobami byliśmy w Sarajewie, to było przejmujące – opowiada Tomasz Piotrowski. – Teraz w Worcester obchodzimy nie tylko Dzień Pamięci Holokaustu, ale też Dzień Pamięci Srebrenicy [w 1995 r. wojska serbskie zamordowały tam ponad 8 tys. muzułmańskich Bośniaków – red.].

Czuję, że tu przynależę

The Hive, czyli Ul, to architektoniczna duma Worcester. Nowoczesny budynek, który w formie przypomina faktycznie złoty ul, powstał osiem lat temu i stał się jednym z punktów orientacyjnych miasta. Mieszczą się w nim niektóre miejskie wydziały, biblioteka miejska i uniwersytecka, archiwum, a także przestrzeń dla wystaw i kawiarnia. Na parterze stanowiska komputerów, z których można swobodnie skorzystać. Obok czytelnia dla dzieci: w labiryncie niskich półek z książkami wbudowano siedziska jak dziuple, można się zaszyć z lekturą. Kolory, przyjazna atmosfera.

W kawiarni gwar i sporo ludzi, ale wraz z Basią, Tomaszem, Ewą i kilkoma innymi Polakami udaje się nam zająć duży stół.

Basia mieszka na Wyspach od 10 lat. Przyjechała na studia i już została. – Studiowałam „budowanie potencjału ludzkiego i organizacyjnego" – mówi. – Pracowałam przy wielu projektach rządowych i międzynarodowych, również migracyjnych. Teraz pracując dla urzędu miasta odpowiadam m.in. za projekt „Mów do mnie". Jednym z celów projektu jest dotarcie do nowych przybyszów w Worcester.

Basia zajmuje się też kwestiami mieszkaniowymi związanymi z migracją: – Moje zadanie to wychwytywanie problemów, jakie mają nowi przybysze.

Wcześniej mieszkała w 300-tysięcznym Bradford. – To takie imigracyjne zagłębie, mieszanka wielu kultur, więc moja specjalność była bardzo na miejscu – mówi.

Cztery lata temu trafiła do Kidderminster koło Worcester. Po 1945 r. osiedlało się tu wielu żołnierzy Armii Polskiej na Zachodzie, którzy woleli nie wracać do ojczyzny rządzonej przez komunistów. Dalej żyje w Kidderminsterze sporo Polaków, jest parafia rzymskokatolicka, do niedawna był klub polski.

Ewa przyjechała przed 13 laty. Pochodzi z wioski w Świętokrzyskiem. Po roku dołączył do niej mąż z kilkuletnim synem Mateuszem. Teraz Mateusz ma 18 lat i wybiera się na studia. Zna polski, ale woli mówić po angielsku, w języku, którym posługuje się na co dzień. – Czuję, że przynależę tutaj. Tu chodzę do szkoły, tu mam przyjaciół – mówi.

– I jest wyróżniającym się studentem, ma oferty ze świetnych uniwersytetów – dodaje Tomasz. – Zawsze stawiam takich ludzi jak Ewa i jej rodzina za przykład. Gdy przyjechaliśmy, zaczynaliśmy od najprostszych prac: ja zmywałem garnki, Ewa sprzątała. Sami opłaciliśmy sobie potem szkoły. Ja skończyłem prawo, Ewa właśnie została dyplomowaną pielęgniarką. Nie ma mowy o zasiłkach i obciążaniu państwa.

– Zwłaszcza że służba zdrowia opiera się na imigrantach – śmieje się Ewa. W Anglii aż 10 proc. lekarzy i 7 proc. pielęgniarek to obywatele kontynentalnych krajów Unii.

Z kolei Rafał trafił na Wyspy 11 lat temu. – Przyjechałem z dziewczyną, teraz już żoną – opowiada. – Myśleliśmy o kilku krajach, wybraliśmy Wielką Brytanię. Nie znałem języka, próbowałem mówić po niemiecku. Nikt oczywiście mnie nie rozumiał, ale ludzie byli bardzo życzliwi.

Chłodniejsze relacje

Wszyscy, którzy siedzą teraz przy kawiarnianym stoliku w Ulu, zgadzają się, że w czerwcu 2016 r. – gdy nieco więcej niż połowa Brytyjczyków zagłosowała za opuszczeniem Unii – zmieniło się wszystko.

– Nigdy wcześniej nie czułam się obcokrajowcem. Aż do tego referendum. Teraz w każdej rozmowie czuję, że ktoś zwraca uwagę na mój akcent. Choć często ludzie biorą mnie za Niemkę czy Austriaczkę, odczuwam to, że nie jestem stąd – mówi Basia. – Chłodniejsze stały się relacje z sąsiadami. Są tacy, którzy starają się ze mną nie rozmawiać, jeśli nie muszą.

– Nigdy nie zapomnę poranka po referendum. Po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, jak to będzie, gdy pójdę do sklepu i poproszę o mleko – mówi Tomasz. – A przecież przed laty wyjeżdżałem do USA nie znając języka, więc wiem, co to znaczy bać się otworzyć usta. Ale wcześniej nigdy mi się to nie zdarzyło. Anglia przed i po referendum to olbrzymia różnica.

– Podzieliło się całe społeczeństwo. Wcześniej były jakieś dyskusje, ale nie było takiego podziału – mówi Rafał. – Po referendum obudziłem się w innym kraju.

– A mnie znajomi Brytyjczycy przepraszali za wynik. Choć czułam się nieco... niechciana – Ewa zastanawia się chwilę nad właściwym słowem.

– Moi przyjaciele są zwolennikami brexitu. Czemu? Nie wiem, chyba to wpływ mediów. Byli za młodzi, by głosować w 2016 r. – opowiada Mateusz. – Raczej o tym nie rozmawiamy i nie sądzę, by zdawali sobie sprawę, że to, co się dzieje, może dotknąć również mnie.

Ojciec Mateusza i mąż Ewy, także Rafał, pracuje w fabryce w pobliskim Evesham. Tam zmianę dało się odczuć od razu. – Koledzy nas pytali: „To wy jeszcze tu jesteście?". Niby taki żart, ale chyba tylko trochę – mówi. – Ktoś przecież za tym brexitem głosował.

W fabryce pracują z nim Brytyjczycy, Polacy, Litwini i Rumuni. W Evesham imigrantów z Europy Środkowej i Wschodniej jest więcej niż w Worcester.

W całym Worcestershire za brexitem głosowało 57 proc., o pięć procent więcej niż w skali kraju. W samym mieście Worcester brexit poparło 53 proc. głosujących.

Wrócić, wyjechać, zostać

Im bliżej brexitu, tym większa niepewność.

Tomasz, już z brytyjskim paszportem, nie martwi się o siebie, ale o mamę. W Worcester mieszka też jego brat, niedaleko zaś siostra z rodziną, natomiast mama została w Polsce. – Niepokoję się, że w razie czego trudniej będzie jej pomóc czy przywieźć tutaj – kiwa głową.

– Nie mam obywatelstwa. Jestem z tych zagrożonych – mówi Basia, ale śmieje się przy tym głośno. – Mieszkałam już w wielu miejscach. Ostatnio potrzebowałam odmiany, więc wyjechałam na osiem miesięcy do Malezji. Mogę wyjechać z Anglii, to nie jest dla mnie problem.

– Nie mam obywatelstwa i może powinnam się czuć niepewnie, ale tak nie jest – mówi Ewa. – Nie boję się i już. Bez względu na to, co przyniesie przyszłość. Bo przecież powrót do Polski, do ojczyzny, to nie jest jakiś straszny wyrok.

Jej mąż Rafał także nie ma wątpliwości. – Wrócić do Polski? Mogę nawet jutro – stanowczo deklaruje. – Tylko dzieci mnie tu trzymają.

– No właśnie, dzieci... Chciałabym, żeby dla nich to się jakoś dobrze ułożyło, bo one, tak jak my, nie mają obywatelstwa brytyjskiego. Innymi rzeczami nie zamierzam się jednak zamartwiać – mówi Ewa.

Basia zwraca uwagę, że w swojej pracy spotyka się z imigrantami, którzy nie przyjechali sami, lecz z całymi rodzinami, z babciami, dziadkami. W dawnej ojczyźnie posprzedawali domy. Spalili mosty. Dla nich konieczność powrotu to olbrzymi problem i zaczynanie wszystkiego od nowa. – Nie mają do czego wracać. Nie mają tam już nawet znajomych – mówi.

Problemy, które stwarza brexit, najmocniej uderzają w osoby najsłabsze.

– Prowadzę fundację Yellow Scarf [nazwa pochodzi od tytułu filmu „Żółty szalik"], która pomaga ludziom zmagającym się z alkoholizmem, bezdomnością, wykluczeniem społecznym – mówi Rafał. – Nasza pomoc jest skierowana szczególnie w stronę imigrantów z Europy Wschodniej. Czasem wystarczy jedno niepowodzenie, by potknąć się i nie móc się samemu podnieść. Teraz dochodzi jeszcze ta niepewność i presja na imigrantów...

RADOSŁAW PIOTROWSKI DLA „TP"

TOMASZ PIOTROWSKI: *„Żyjący tutaj Europejczycy z kontynentu mogą nagle stać się nielegalnymi imigrantami. Bez prawa pobytu, za to z hipoteką wziętą na dom oraz z dziećmi chodzącymi do miejscowej szkoły". Worcester, luty 2019 r.*

Pogorszyć może się dla nich dostęp do państwowej pomocy społecznej, bardziej będą narażeni na dyskryminację w pracy, a także to właśnie ta grupa może mieć problem z rejestracją statusu. – Większość ludzi sobie radzi i poradzi, ale nie wszyscy – podkreśla Tomasz.

Zbieracze truskawek

Tacy Polacy jak Basia czy Ewa nie mają wątpliwości, że sobie poradzą bez względu na to, co stanie się po 29 marca.

Pytanie, jak poradzą sobie pracodawcy, którzy opierają się na imigrantach. Sezonowi pracownicy z Europy Środkowej i Wschodniej stanowili dotąd główną siłę roboczą na polach truskawek czy kapusty. W samym hrabstwie Worcestershire potrzeba ok. 2,5 tys. pracowników sezonowych. Kto ich zastąpi?

Koło Evesham jest gospodarstwo Bala Paddy, jedyna na Wyspach farma truskawkowa prowadzona przez ludzi pochodzących z Azji. – Padda to fantastyczny człowiek– mówi Tomasz. – Pracowaliśmy przy projektach charytatywnych, np. organizacji meczów piłki nożnej dla imigrantów. Nic tak ludzi nie zbliża jak sport.

Na farmie, o której pisał ostatnio nawet tygodnik „Economist", pracują głównie Rumuni i Bułgarzy, ostatni beneficjenci otwartych unijnych granic. Przed nimi byli to Polacy i Litwini, a wcześniej Hindusi i Pakistańczycy. Bal Padda więc wie, że ludzie przychodzą i odchodzą, w miarę jak rosną ich aspiracje i możliwości. Jego ojciec przyjechał z Indii w latach 60. XX w., pracował w odlewni. Bal Padda już tu się urodził, prowadzi wielką farmę.

Jeśli obywatele Unii odejdą, na Wyspy przyjadą inni – po referendum migracja z krajów Unii zaczęła gwałtownie spadać, a spoza Unii rosnąć. Padda i inni przedsiębiorcy martwią się jednak, że ci nowi niekoniecznie mogą chcieć pracować na farmie, bo są coraz lepiej wykształceni.

Pozaeuropejskie pochodzenie imigrantów to jedna zmiana. Druga to zaskakujący fakt, że negatywny stosunek Brytyjczyków do imigracji – uważanej za jedną z przyczyn decyzji o brexicie – powoli, ale jednak maleje.

– Przyjechało bardzo dużo ludzi w bardzo krótkim czasie – mówi Tomasz. – To tak, jakby w moim rodzinnym Sandomierzu osiedliło się naraz dwa tysiące cudzoziemców, którzy posłali dzieci do szkół, otworzyli swoje sklepy itd. Potrzeba czasu, by ludzie przywykli do takiej zmiany, ale niektórym politykom było wygodniej podkreślać różnice, niż mówić o czasie potrzebnym na integrację.

Życzenia

Czego życzą sobie Polacy w Worcester?

– Większej klarowności. Żebyśmy wiedzieli, co się stanie. O resztę będziemy się później martwić. Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście – mówi Ewa.

– Ewa przyjechała jako pesymistka, a stała się optymistką – uśmiecha się Tomasz.

– Zawsze byłam optymistką! – oburza się Ewa. – Wierzę, że chaos może być twórczy. Może coś z tego dobrego wyjdzie. A Polacy zawsze sobie poradzą.

Wątpliwości co do tego nie ma również Basia. Właśnie dołączyła do niej siostra. Może na kilka miesięcy, może na dłużej.

– Zawsze czułem się i czuję Europejczykiem – mówi Rafał. – Nie ma powodu, aby to się zmieniło. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Trudno uwierzyć, że to koniec

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU

Rozmowy, które Amerykanie prowadzą poufnie z talibami, mają zakończyć wojnę w Afganistanie. Na razie sytuacja w kraju się zaostrza, bo walczący usiłują wzmocnić swoje pozycje negocjacyjne.

Abdullah Rahmani poprawia palcem okulary. Siedzimy naprzeciwko siebie. Dzieli nas nieduży palnik na gaz, którego żwawy płomień ogrzewa pomieszczenie.

Rahmani ma 25 lat. Urodził się osiem lat przed tym, jak jesienią 2001 r. do Afganistanu wkroczyli żołnierze amerykańscy – ścigający Osamę bin Ladena i jego Al-Kaidę, którym gościny udzielili rządzący wtedy w Kabulu talibowie. Wspierani przez swoich sojuszników zachodnich (także Polskę) oraz afgańskich, jak antytalibski Sojusz Północny.

Ubrany w dopasowany garnitur i ciemną wzorzystą koszulę, Rahmani mówi po angielsku z amerykańską manierą. Mimo młodego wieku szybko robi karierę. Obecnie jest analitykiem do spraw bezpieczeństwa. Zapewne mógłby być żywym przykładem tego, jak Amerykanie wyobrażali sobie rezultaty swoich działań w Afganistanie. Jednak rzeczywistość jest bardziej skomplikowana.

Nadzieja w rozmowach

To najdłuższa wojna w historii USA. Amerykanie wpompowali już w Afganistan około biliona dolarów. Rezultaty są wątpliwe.

Talibowie, których błyskawicznie pokonali w 2001 r., dziś coraz bardziej zagrażają afgańskiemu rządowi w Kabulu. Fundamentalistyczna grupa zbrojna kontroluje około połowy kraju. Co tydzień giną dziesiątki afgańskich żołnierzy i policjantów. Modernizacja kraju przebiega niemrawo i na ograniczonym obszarze, pomoc humanitarna często nie trafia do tych, do których powinna.

Amerykanie od lat próbują znaleźć sposób na to, jak opuścić Afganistan. Za rządów prezydenta Trumpa stali się jednak bardziej zdeterminowani i wydaje się, że są bliscy znalezienia rozwiązania: toczą poufne rozmowy z talibami.

Rahmani trzeźwo ocenia toczące się rozmowy. Widzi w nich szansę na to, aby talibowie zostali wciągnięci do machiny państwowej, co da im wpływ na kształtowanie polityki w kraju. Rząd z kolei liczy, że bojownicy zamienią karabiny na garnitury. – Niezależnie od tego samo mówienie o pokoju jest całkiem fajne dla Afgańczyków. Ludziom po obu stronach to się podoba, bo od lat mierzą się z wojną i są nią zmęczeni – twierdzi Rahmani.

Uważa, że rozmowy dają ludziom nadzieję, na którą wcześniej nie mogli liczyć, bo żadna ze stron nie była zainteresowana rozmowami, a jedynie zdobyciem pełni władzy.

Najgorszy rok od dekady

Trudno powiedzieć, kiedy ostatni raz tak poważnie rozmawiano o pokoju.

Wojna trwa od ponad 40 lat. Dokładnie: od wiosny 1978 r., gdy w wyniku tzw. rewolucji kwietniowej, po zabiciu prezydenta-autokraty Muhammada Dauda, władzę objęli komuniści wspierani przez Związek Sowiecki. Rok później, wiosną 1979 r., represje doprowadziły do wybuchu ogólnokrajowego powstania. W grudniu 1979 r. sowieccy komandosi zabili prezydenta Amina (Kreml uznał go za niepewnego) i w tej roli zainstalowali Babraka Karmala, agenta KGB. Ponad stutysięczny sowiecki kontyngent przez dekadę usiłował pokonać partyzantów. Bez skutku. Sowieci odeszli, ale wojna domowa, teraz między zwycięskimi mudżahedinami, nadal trwała, aż w 1996 r. władzę w zrujnowanym Kabulu przejęli talibowie. Zaprowadzili szariat i terror, i udzielili gościny Al-Kaidzie oraz Osamie bin Ladenowi.

W październiku 2001 r. – po zamachach Al-Kaidy w USA oraz po tym, jak talibowie odmówili Amerykanom „wyproszenia" bin Ladena – zachodnia koalicja obaliła talibów. Zwycięstwo było szybkie, ustanowiono nowy rząd. Ale w kolejnych latach talibskie podziemie przetrwało, a potem zaczęło nasilać ataki, mimo znaczącej liczby zagranicznych żołnierzy stacjonujących w kraju. W 2011 r. było ich najwięcej, bo 130 tys. z 50 państw. Potem ich liczba spadła do 22 tys. z 39 państw (ponad dwie trzecie to Amerykanie). W Afganistanie jest dziś 350 polskich żołnierzy, prowadzą działania doradczo-szkoleniowe.

Mimo obecności zagranicznych wojsk, inwestycji i szkolenia afgańskiej policji i armii, rok 2018 był najtrudniejszy dla sił rządowych od początku amerykańskiej interwencji.

JAVED TANVEER / AFP / EAST NEWS

Na ulicach Kandaharu – stolicy prowincji, gdzie talibowie są szczególnie aktywni. Luty 2019 r.

– Liczba ataków dokonywanych przez talibów wzrasta – mówi 32-letni Mohsan Dżamal, komentator i dziennikarz, wcześniej związany z telewizją TOLOnews. Dodaje, że w minionych latach do ataków dochodziło głównie na południu i wschodzie kraju, podczas gdy dziś nawet w centrum, w tym w Kabulu, nie jest już bezpiecznie, choć po 2001 r. był to najspokojniejszy region.

Poprzedni rok przyniósł największe straty wśród ludności cywilnej w ciągu ostatniej dekady. Według danych ONZ zginęły aż 3804 osoby (w tym 927 dzieci), a 7189 raniono. W ciągu ostatnich 10 lat łącznie zginęło ponad 32 tys. cywilów, a ok. 60 tys. zostało rannych.

Prezydent Aszraf Ghani pod koniec stycznia podczas konferencji w Davos powiedział, że od 2014 r. zginęło 45 tys. afgańskich żołnierzy i policjantów. Bez wątpienia straty sił rządowych są wysokie, ale trudno potwierdzić wiarygodność tych danych. Zwłaszcza że od 2017 r. afgański rząd na wniosek Amerykanów postanowił je utajnić. Zawyżanie liczby ofiar może być celową polityką afgańskich władz, aby Stany i inne państwa nie redukowały swoich kontyngentów.

Talibowie prowadzą wojnę partyzancką, organizują też zamachy bombowe. Ostatnio, w połowie lutego, w prowincji Kandahar zabili 32 pograniczników. Najpierw ich bojownik wdrapał się na wieżę strażniczą i zabił strażnika, potem ukradziony policyjny humvee staranował bramę bazy i eksplodował. Ci, którzy przeżyli eksplozję, zostali zabici przez grupę bojowników, którzy wtargnęli przez staranowane wrota. To jeden z wielu ataków w ostatnich miesiącach.

Przygotowania do sezonu

Talibowie coraz śmielej podejmują otwartą walkę. W maju 2018 r. zajęli na chwilę miasto Farah – stolicę prowincji o tej samej nazwie. Pięć miesięcy później oblegali miasto Ghazni, 150 km na południe od Kabulu, położone przy jednym z kluczowych dojazdów do stolicy. – Wszystkie trasy prowadzące do Kabulu są pod kontrolą bojowników. Stolica może zostać zaatakowana w dowolnym momencie – mówi Dżamal. Twierdzi, że jedyne, co powstrzymuje talibów, to obecność międzynarodowych sił w mieście.

Wcześniej zimy zwykle były spokojniejsze, warunki pogodowe utrudniały prowadzenie wojny partyzanckiej. W tym roku, mimo wyjątkowo obfitych opadów śniegu, talibowie pozostają aktywni. Nie zrażają ich nawet liczne naloty afgańskiego i amerykańskiego lotnictwa. Według danych ONZ w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy 2018 r. liczba amerykańskich nalotów wzrosła o 39 proc. w porównaniu z tym okresem rok wcześniej. Afgańskie siły rządowe informują o dużych stratach wśród talibów, ale brakuje wiarygodnych źródeł, które by to potwierdziły.

Powodem rosnącej aktywności obu stron może być właśnie trwający proces pokojowy. Dżamal uważa, że zarówno talibowie, jak i afgański rząd chcą przemawiać z pozycji silniejszego. Dlatego teraz o nią walczą.

Pod koniec lutego w mieście Doha, stolicy Kataru, odbyła się piąta tura rozmów między talibami i Amerykanami. Jak dotąd nie doszło do bezpośrednich rozmów między talibami i rządem. Ci pierwsi nie chcą siadać do stołu z władzą, którą uważają za marionetkę USA. Przedstawiciele Stanów starają się ich do tego przekonać.

Rahmani uważa, że na razie są to „rozmowy o rozmowach", a nie prawdziwe negocjacje. Niewykluczone jednak, że to się zmieni. Według analityka obie strony zdały sobie sprawę, że wojna nie jest rozwiązaniem i muszą ze sobą rozmawiać. – Otworzyło się okno, które daje nadzieję na pokój – twierdzi Rahmani. – Nie można powiedzieć, że na sto procent dojdzie do zawarcia ugody, ale jest to szansa.

Rząd czeka na miejsce przy stole

Poprzednio Doha gościła delegacje USA i talibów pod koniec stycznia. Potem specjalny przedstawiciel USA do spraw afgańskiego pojednania Zalmay Khalilzad stwierdził, że doszło do postępu w kluczowych kwestiach. Jakie to kwestie? ↦

↦ Dotąd nie ujawniono, co dokładnie jest przedmiotem negocjacji. Do mediów przeciekły zdawkowe informacje. Amerykanie mieli zobowiązać się do wycofania wojsk, ale zgodnie z ustalonym grafikiem (talibowie twierdzą, że miałoby to być 18 miesięcy). Talibowie mieliby przystać na to, że nie będą dawać schronienia takim organizacjom jak Al-Kaida i tzw. Państwo Islamskie, które działają na terenie kraju. Stany mają naciskać na talibów, by zaczęli rozmowy bezpośrednio z rządem.

Podczas spotkania z młodzieżą i działaczami społecznymi prezydent Aszraf Ghani zapowiedział, że pomysł utworzenia rządu tymczasowego z udziałem talibów jest niemożliwy do wprowadzenia w życie. Jednak afgańska władza może grzmieć jedynie z trybun w Kabulu i innych kontrolowanych przez nią miastach. Jak dotąd nie ma wpływu na przebieg negocjacji.

Terror codzienny

Jahija Askeri ma 29 lat. Od ponad trzech prowadzi sklep spożywczy. Długa lada oddziela go od klientów. Jest ubrany w tradycyjną długą koszulę i luźne spodnie. Na półkach sklepu leżą produkty z Turcji, Iranu czy Pakistanu. Przynajmniej tak jest na nich napisane. Askeri twierdzi jednak, że często są to afgańskie produkty, lecz producenci dają im fałszywe etykiety. Klientów przyciągają bowiem zagraniczne marki, bo wzbudzają większe zaufanie.

– Nie jesteśmy optymistami. Nie wierzymy naszym przywódcom, talibom ani Pakistanowi. W przeszłości kłamali wielokrotnie. Nie uwierzymy w pokój, dopóki nie nastanie – mówi.

Uważa, że nastroje dobrze oddają dochody jego sklepu, który ledwo przędzie. Ludzie kupują niewiele, nie chcą wydawać pieniędzy. Są niepewni jutra. – Kieszenie handlarzy są puste – przyznaje Askeri.

Kabul nie jest bezpiecznym miastem. Askeri mówi, że na dzień przed naszą rozmową ktoś go śledził, gdy zamknął sklep i ruszył autem w stronę domu. Gdy to spostrzegł, przyspieszył i kluczył po uliczkach tak długo, aż zgubił prześladowców. Domyśla się, czego mogli chcieć: pieniędzy, auta, telefonu i wszystkiego, co można sprzedać.

Jego przyjaciel miał mniej szczęścia. Cztery miesiące temu samochód napastników go dogonił. Wysiedli, dźgnęli go nożem, okradli z pieniędzy i zostawili.

Rok temu do sklepu Askeriego przyszli złodzieje. Kazali mu oddać pieniądze. Dał, ile miał, czyli 5 tysięcy afgani (ponad 250 zł).

– Odkąd mam ten sklep, przydarzyły mi się trzy incydenty, a prócz tego słyszałem o pięciu, do których doszło w naszej okolicy – mówi sklepikarz.

Na południu miasta jednego wieczora na ruchliwej drodze został zamordowany taksówkarz, strzałem w głowę. Sprawcy uciekli. Informacja ta nie pojawiła się w mediach. Gdy zapytałem lokalnego dziennikarza, dlaczego nikt o tym nie pisał, odparł, że tutaj nie jest to nic szczególnego.

Ale mieszkańcy swoje wiedzą. – Na pewno liczba przestępstw wzrosła w ostatnich latach – mówi Dżamal. – Nie możesz wieczorem wyjść w dzielnicach na peryferiach. Jeśli masz 100 afgani, możesz zostać zabity.

100 afgani to nieco ponad 5 złotych.

Koniec wojny czy nowa wojna?

Askeri nie chce powrotu talibów z ich fundamentalizmem. Sądzi jednak, że dla biznesu większym zagrożeniem niż talibowie czy tzw. Państwo Islamskie jest zwykła przestępczość. Choć w Kabulu są posterunki, a uzbrojeni w broń maszynową policjanci często patrolują ulice, nie rozwiązuje to problemów mieszkańców. Gdy złodzieje przyszli do sklepu Askeriego, wiedział, że nie może liczyć na policję. Przyjechała pół godziny po wezwaniu, gdy napastnicy rozpłynęli się wśród ruchliwych ulic.

Askeri bez entuzjazmu przygląda się temu, co się dzieje w Dosze, choć marzy o pokoju jak chyba każdy Afgańczyk. Przyszłość nie daje wiele nadziei. Boi się, że nawet jeśli talibowie i rząd się porozumieją, pokój nie nadejdzie. I że zaraz po tym, jak zagraniczne wojska opuszczą kraj, wojna domowa wybuchnie z większą siłą od nowa.

W 2018 r. w rozmowie z amerykańską telewizją CBS Ghani stwierdził, że bez Amerykanów rząd afgański nie będzie w stanie wspierać swej armii przez więcej niż sześć miesięcy. Dżamal pyta retorycznie: – Jeśli twój prezydent nie wierzy w rząd, to jak ludzie mogą w niego wierzyć?

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Katastrofa na rajskiej wyspie

ROMAN HUSARSKI Z COLOMBO

Sri Lanka jest w czołówce krajów o najbardziej destrukcyjnej gospodarce leśnej. W kraju, który szybko chce się wzbogacić, ekologia nie należy do priorytetów.

Sri Lanka próbuje zapomnieć o koszmarze wojny domowej, która zakończyła się zaledwie 10 lat temu. Tamilskie Tygrysy prowadziły ją przeciwko syngaleskiej większości przez niemal trzy dekady. Przegrały, a odwet Syngalezów był okrutny.

Dziś sumienia skutecznie zagłusza zalew tanich produktów z Chin, coraz powszechniejszy dostęp do internetu i systematyczne podnoszenie się poziomu życia.

Pogoń za dobrobytem przesłoniła też kwestie ekologiczne. Już wcześniej ochrona środowiska miała tu marginalne znaczenie, a każdy kolejny rząd w Colombo przeprowadzał kolejne masowe wycinki lasów.

Aż pewien mnich powiedział „dość".

Ratujmy loriego!

Jesteśmy w centrum Kolombo, w sali dyskusyjnej lokalnego kościoła katolickiego.

W środku pomieszczenia, w otoczeniu kamer, zasiadła zróżnicowana grupa. Są studenci, ludzie różnych religii, marksiści i inne osoby zainteresowane obroną przyrody.

Cel konferencji to powstrzymanie nielegalnej wycinki w Parku Narodowym Sinharaja.

Park uznawany jest za ostatnie tak duże siedlisko pierwotnych lasów tropikalnych na wyspie. Jest domem dla połowy endemicznych ssaków, znajdujących się na „czerwonej liście" gatunków zagrożonych wyginięciem. Wśród nich jest m.in. łaskun cejloński, lori wysmukły i zębiełek

FLETCHER & BAYLIS / EAST NEWS

W Parku Narodowym Sinharaja, ostatnim tak dużym siedlisku pierwotnych lasów tropikalnych na Sri Lance. Dziś lasy te są zagrożone masową wycinką.

cejloński. Pierwotne piękno nie wzruszyło jednak rządu Sri Lanki, który właśnie zarządził budowę drogi przez środek parku.

Wśród przemawiających wyróżnia się człowiek w pomarańczowej szacie. Waakadawala Rahula (Thero), nazywany czasem „ekomnichem", od lat angażuje się w obronę przyrody. Mówi cichym, lecz stanowczym głosem. Tu i ówdzie wtrąca buddyjskie terminy w pali, wskazując na swoją znajomość kanonu palijskiego (to zbiór najstarszych buddyjskich tekstów).

Widać na jego twarzy zdeterminowanie i zmęczenie. W ostatnich miesiącach miał dużo pracy. W grudniu 2018 r. ukazał się raport o postępującej wycince w Parku Narodowym Wilapattu. Wycinka jest częścią większego projektu Malwatu Oya, który z powodu wojny wstrzymywano przez 30 lat. Organizacje pozarządowe informują, że ostatnio został wznowiony. Na samym początku zakłada wycinkę prawie 20 tys. hektarów tropikalnego lasu.

Sytuacja jest na tyle zła, że w 2011 r. szwedzki zespół badawczy umieścił Sri Lankę na czwartym miejscu w rankingu krajów o najbardziej destrukcyjnej gospodarce leśnej.

Nie tylko przyroda

Sama obecność mnicha na tej konferencji nie dziwi. Na Sri Lance przedstawiciele buddyjskiego kleru angażują się w politykę, a w rządzie zasiadają nawet przedstawiciele partii założonej przez mnichów (Jathika Hela Urumaya).

Zwykle polityczna aktywność reprezentantów sanghi (buddyjskiej wspólnoty) jest jednak związana z prawą, nacjonalistyczną stroną – czego najgłośniejszym przykładem jest działalność partii Bodu Bala Sena (Buddyjska Siła), słynącej z szerzenia nienawiści wobec adwersarzy.

Tymczasem Waakadawala Rahula ma zupełnie inną wizję polityki i nie wstydzi się współpracować z mniejszościami religijnymi, również muzułmanami, a także występować w ich obronie. W tym przypadku nie chodzi bowiem jedynie o faunę i florę.

Projekt Malwatu Oya ma również jeszcze jedną ciemną stronę. Jednym z głównych jego celów jest budowa nowych osiedli w regionie zamieszkałym przez mniejszość muzułmańską. Część obserwatorów obawia się, że ta próba „kolonizacji" przez Syngalezów doprowadzi do kolejnych napięć etnicznych.

Nie od dziś wiadomo, że rządząca syngalesko-buddyjska United National Party wykorzystuje konflikt religijny w swojej polityce, a muzułmanie w ich retoryce osiągnęli status nowych Tamilskich Tygrysów. Z drugiej strony odpowiedzialni za ten projekt argumentują, że to wszystko sprowadza się właśnie do Tygrysów.

Organizacja, która walczyła o utworzenie w północnej części wyspy własnego państwa, miała dokonywać na lokalnej ludności (zarówno buddystach, jak i muzułmanach), których wioski znajdowały się na obrzeżach parku, czystek etnicznych. Chodziłoby więc o oddanie poszkodowanym ich własnej ziemi.

Ekolodzy zazwyczaj zgadzają się z tym, że należy oddać poszkodowanym to, co im zabrano. Jednak wielkość terenu, który ↦

↦ rząd chce objąć swymi działaniami, nie zgadza się ze starymi mapami.

Rząd nie przyjmuje też zarzutu, by prace prowadzone były w samym parku, argumentując, że wycinka obejmuje jedynie lasy przyległe (co przypomina sytuację z Puszczy Białowieskiej).

Ekomnich

Na konferencji jesteśmy wraz z żoną jedynymi obcokrajowcami. Lokalni dziennikarze wykorzystują okazję i pytają nas o zdanie. Głos z Europy nagle nabiera wielkiego znaczenia.

Również Waakadawala Rahula bez trudu zgadza się na wywiad. Nie mówi po angielsku, ale tłumaczem zostaje dr Prasanna Coray, który sam też jest wyjątkową osobistością: to znany lekarz, konwertyta z katolicyzmu na hinduizm i propagator wiedzy o filozofii Wschodu. Dziennikarstwo ekologiczne i monitorowanie nadużyć rządu to jego pasja. – Od zawsze byłem miłośnikiem przyrody. Teraz tylko nie boję się o tym mówić – wyjaśnia.

Waakadawala uważa, że myślenie ekologiczne tkwi u korzeni buddyzmu. – W centrum nauki Buddy jest *avihinsava*, czyli nieczynienie przemocy – przekonuje. – Budda sprzeciwiał się ubojowi rytualnemu, dbał o dobro wszystkich istot, nie tylko ludzi. Porzucił wygody pałacu, by stać się ascetą. Miał przecież wszystko, czego chciał, ale wybrał skromne życie. To dobra lekcja na dzisiejsze czasy. Wskazówka, jak działać w czasie nieumiarkowanej konsumpcji i rozrzutności.

Nie mogę się oprzeć pokusie, by nie wytknąć rozmówcy, że duża część mnichów wyciąga zupełnie inną lekcję z nauk Buddy. Bardzo religijne społeczeństwo lankijskie nie przykłada wielkiej wagi do ekologicznych postulatów. Widać to dobrze podczas podróży pociągiem wzdłuż wybrzeża na południe od Colombo: równolegle do torów, często malowniczo położonych tuż przy plaży, walają się sterty śmieci.

Waakadawala ma prostą odpowiedź: należy odróżnić buddyzm kulturowy od prawdziwej praktyki.

– Społeczeństwo nie zdaje sobie jeszcze sprawy ze skali problemów, bo karmi się rządowymi mediami, które te problemy ignorują – dodaje dr Prasanna i podkreśla, jak ważny jest udział w całej sprawie mnicha buddyjskiego: – Jest szansa, że zaangażowanie autorytetu religijnego coś tu zmieni.

ROMAN HUSARSKI

Waakadawala Rahula, zwany ekomnichem

Każdy dokładał cegiełkę

Waakadawala nie boi się też krytykować rządu i korupcji wśród buddyjskiego kleru.

– Oryginalne nauki zostały przekształcone przez *agamika sansta*, religijne instytucje – tłumaczy. – Jak ci mnisi śmią nauczać o chciwości, skoro posiadają tysiące akrów ziemi? W przeszłości królowie ofiarowali im duże obszary. Po co? W dodatku dobra te nazywane są *sanghika depola*, dobrami mnichów. Mówi się, że ten, kto je sobie przywłaszczy, w kolejnym wcieleniu zostanie *bahiravaya*, diabłem. Strach jest zaszczepiony w umysłach. Po co? W celu ochrony tych dóbr! A przecież mnisi mieli zakaz posiadania ziemi!

Mnich podkreśla, że ekologiczną katastrofę na Sri Lance zapoczątkowali jeszcze brytyjscy koloniści, a cegiełkę dokładał każdy kolejny rząd.

Ogromną wycinkę władze kolonialne prowadziły przede wszystkim pod uprawę herbaty, z której Sri Lanka (kiedyś nazywana Cejlonem) słynie do tej pory. O ile w 1820 r. zalesienie wyspy wynosiło ok. 80 proc. jej obszaru, o tyle w 1948 r., gdy kraj uzyskał niepodległość, było to już tylko 42 proc.

– Rok w rok rząd obiecuje odbudowę gospodarki leśnej, ale nic się nie zmienia. Dziś lasy pokrywają jedynie 16 proc. powierzchni kraju – zaznacza dr Prasanna.

Podaję rozmówcom przykład Polski. Choć nasz kraj na pierwszy rzut oka wypada korzystnie, a lasy obejmują 30 proc. powierzchni, to tylko jeden procent należy do parków, gdy na Sri Lance ścisłą ochroną objęto prawie 9 proc.

– Co z tego, skoro rząd nie przestrzega tych zasad – słyszę w odpowiedzi.

Po rafie nie został ślad

Sri Lanka nie bez powodu nazywana jest rajską wyspą. Aż 16 proc. fauny i 23 proc. flory ma charakter endemiczny – to gatunki występujące tylko tutaj. Tymczasem nie tylko wycinka lasów stanowi zagrożenie dla tego wyjątkowego ekosystemu.

Po bujnej rafie koralowej w popularnej Hikkaduwie nie został prawie ślad, a niekontrolowana turystyka nie wróży dobrze tym fragmentom, które jeszcze istnieją.

Postępująca degradacja ziemi uniemożliwia w wielu miejscach pracę rolniczą. Według niektórych szacunków erozja gleby na Sri Lance jest 14 do 33 razy większa, niż byłaby bez aktywności człowieka. Wzrastające zanieczyszczenie powietrza szkodzi nie tylko ludziom, ale również zwierzętom, zwłaszcza ptakom. Podobnie z coraz bardziej zatrutymi wodami.

– Nasz rząd chce rozwoju, chce chwalić się liczbami, budować wieżowce i lotniska. Nie dostrzega, jak wysoki jest koszt tego wszystkiego. Czy zdajesz sobie sprawę, iż rząd zaplanował, że do 2030 r. nasza mała wyspa będzie posiadać 19 lotnisk? – doktor Prasanna nie kryje złości. Także zapowiedzi stworzenia specjalnej strefy ekonomicznej we współpracy z Chinami nie napawają optymizmem.

Zagrożone azjatyckie „raje”

Sri Lanka nie jest jedynym „rajskim” krajem, który ma takie problemy. Niedawno świat obiegła wiadomość, że słynna tajska plaża Maya Bay (z filmu „Niebiańska plaża” z Leonardem DiCaprio) została zamknięta dla turystów z powodu dewastacji. Pierwotnie zakaz wstępu miał trwać cztery miesiące, ale władze postanowiły przedłużyć zakaz do odwołania. Wcześniej każdego dnia zatokę odwiedzało prawie 200 łódek i 4 tys. głodnych niebiańskich widoków turystów. To głośny przypadek, choć nie jedyny w eksploatowanej Azji Południowo-Wschodniej.

Tymczasem wielu ekspertów wskazuje na Sri Lankę jako kraj szczególnie narażony na zmiany klimatyczne. Postępująca dewastacja naraża wyspę na coraz częstsze i bardziej destrukcyjne susze, powodzie i cyklony. Niski poziom recyklingu przy coraz większym apetycie na konsumpcje sprawiają, że Sri Lanka może utonąć we własnych śmieciach.

Jeżeli nie zostaną podjęte nadzwyczajne działania, istnieje obawa, że wyspy nie będzie już można nazywać „rajską”.

Waakadawala i Prasanna zrobią jednak wszystko, by odwrócić złą karmę.

© ROMAN HUSARSKI

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Rok 2018 – *dużo się działo. Dzięki Wam!*

ZWRACAJĄC SIĘ DO CZYTELNICZEK I CZYTELNIKÓW „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” z prośbą o przekazanie w tym roku na rzecz Fundacji Tygodnika Powszechnego 1% podatku, opowiemy, na co przeznaczyliśmy te (i inne) środki w zeszłym roku.

OBOK SPRAWOWANIA FUNKCJI WŁAŚCICIELSKICH spółki „Tygodnik Powszechny” (głównego celu Fundacji) realizowaliśmy projekty kulturalne, edukacyjne i wydawnicze, wspierające niezależność i suwerenność redakcji oraz będące dla pisma przestrzenią poszerzania grona jego czytelników i wychodzenia poza łamy z przesłaniem, które niesie ono od 74 lat.

Były wśród nich:
- dziesiąta, jubileuszowa edycja Festiwalu Conrada (największego festiwalu literackiego w Polsce) pod hasłem „POP”;
- piąta edycja Festiwalu Kopernika (największego festiwalu popularnonaukowego w Polsce) pod hasłem „PRZYPADEK”;
- kontynuacja ogólnopolskiej akcji społecznej „Lekcje czytania”;
- wsparcie instytucjonalne dla działalności Klubów „Tygodnika Powszechnego”;
- współfinansowanie licznych przedsięwzięć wydawniczych „Tygodnika”, wśród nich przede wszystkim odrodzonego magazynu literackiego „Książki w Tygodniku” (największego pod względem nakładu pisma o książkach w Polsce) – mimo braku dofinansowania przez MKiDN nadal bezpłatnego – a także wydań specjalnych „TP”: „Polska od nowa” i „Moc czytania”, dodatków „Wielkopolska Niepodległa” i „Europa patrzy za horyzont” oraz cykli CONRAD i COPERNICUS.

WSZYSTKIE TE AKTYWNOŚCI były możliwe dzięki niezawodnym Czytelniczkom i Czytelnikom oraz Przyjaciółkom i Przyjaciołom „Tygodnika Powszechnego”, którym ogromnie dziękujemy za zaufanie, życzliwość i wspaniałomyślność.

OPRÓCZ DOBRYCH MYŚLI i życzliwych komentarzy przekazali Państwo na rzecz naszej działalności 265 541,21 zł (w tym 199 321,21 zł odpisu 1% podatku i 66 220,00 zł darowizn na działalność statutową, wpłaconych bezpośrednio na nasze konto).

TĘ KWOTĘ POTROILIŚMY, zdobywając granty, dotacje i sponsoring, dzięki czemu wartość naszej działalności statutowej w roku 2018 mogła przekroczyć 800 000 zł, za co dziękujemy też wspierającym nasze poszczególne projekty instytucjom: władzom samorządowym Województwa Małopolskiego i Powiatu Poznańskiego, Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Fundacji Konrada Adenauera, Uniwersytetowi Łódzkiemu i marce SALESManago. Dziękujemy też Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych i Uniwersytetowi Jagiellońskiemu oraz partnerom i sponsorom Festiwalu Kopernika, jak również Krakowskiemu Biuru Festiwalowemu i Miastu Kraków oraz coraz liczniejszemu gronu partnerów i sponsorów Festiwalu Conrada.

OTRZYMALIŚMY PONADTO 2 722,21 zł ze zbiórek na Facebooku oraz 11 851,09 zł za pośrednictwem systemu płatności FaniPay – podłączonej do udostępnianych nieodpłatnie tekstów w serwisie www. TygodnikPowszechny.pl i umożliwiającej użytkownikom serwisu dobrowolne wsparcie finansowe naszej działalności, które posłużyło odrodzeniu „Książek w Tygodniku”.

Serdecznie za tę pomoc dziękujemy, zainteresowanych kierujemy pod adres **powszech.net/wspieram**

PRAGNIEMY TEŻ złożyć specjalne podziękowanie darczyńcom, którzy przekazali nam darowizny celowe na sfinansowanie wyjazdu reportera „Tygodnika” do Bangladeszu. Dzięki Państwu powstały naoczne relacje opisujące sytuację Rohingów żyjących w obozach dla uchodźców, udało się także uruchomić – we współpracy z fundacją Dobra Fabryka – akcję pomocy humanitarnej skierowanej wprost do rodzin w największej potrzebie. Reportaże i relacje udostępniamy za darmo pod adresem **powszech.net/bangladesz**

W 2018 ROKU wśród instytucji wspierających naszą działalność znalazła się także amerykańska Fundacja Johna Templetona, która poprzez Templeton Religion Trust przyznała nam grant na ponaddwuipółletni projekt „Wielkie Pytania dla Polski na nowo”. Efekty współpracy i zapowiedzi kolejnych wydarzeń, a także interesujące debaty i teksty, które powstały przy okazji projektu, publikujemy pod adresem **www.tygodnikpowszechny.pl/wielkiepytania**.

W ROK 2019 WCHODZIMY Z ENERGIĄ, wdzięczni za dotychczasowe wsparcie, gorąco polecając się nadal Państwa wspaniałomyślności.

ZWRACAJĄC SIĘ DO CZYTELNIKÓW I PRZYJACIÓŁ „TP”, którzy doceniają naszą działalność i którym zależy na wolnym słowie oraz niezależnych, suwerennych mediach, na promocji wysokiej kultury i wartościowej literatury, a także na upowszechnianiu nauki stawiającej ważne pytania, prosimy o przekazanie nam 1% podatku. Numer do podania w formularzu PIT:

1%

KRS 0000125605

Aleksander Kardyś,
Prezes Zarządu
ks. Adam Boniecki,
Przewodniczący Rady Fundacji

W KOLEJNYCH WYDANIACH „TP” i na stronie powszech.net/jedenprocent objaśnimy pokrótce, jak przekazać 1% podatku naszej Fundacji. Będziemy także wdzięczni za darowizny pieniężne: zarówno bezpośrednie, jak i przez FaniMani i FaniPay oraz przez zbiórki na Facebooku.

RÓŻANIEC WOKÓŁ KOŚCI

Być może nigdy nie znajdą ich wszystkich, pochowanych kiedyś w nieoznaczonych grobach. Ale chcą odnaleźć możliwie najwięcej.

KRZYSZTOF PIĘCIAK

Las koło wsi Monkiewicze na Litwie, w rejonie solecznickim, przez kilkadziesiąt lat skrzętnie skrywał tajemnicę.

W głębi puszczy rozwinął się bujny krzew tawuły. Tawuła to rodzina różowatych, w tej części Europy na dziko rośnie tylko kilka jej gatunków. Zwykle to krzew ozdobny, hodowlany; jego kwiaty mogą mieć różne kolory. Te były białe, a ich widok zapewne nieraz zaskakiwał grzybiarzy – w tych okolicach jest to gatunek niespotykany.

Ale tawuła pod Monkiewiczami nie rosła dziko: krzew posadził Wacław. Przed laty, w 1944 r. On, wtedy młody chłopak, był świadkiem: widział ich, dwóch polskich żołnierzy, zapewne z AK. Młodzi chłopcy wykopali dla siebie grób. Twierdził, że otaczający ich sowieccy żołnierze pozwolili im zmówić modlitwę. A potem ich zastrzelili i zakopali.

Oni, miejscowi, nie mogli postawić tam krzyża. Za to rodzina Wacława posadziła na nim tawułę. Biel miała symbolizować młodość zabitych. Oficjalnie o grobie nikt nie wiedział, nikt nic nie słyszał. Zresztą jeszcze w tym samym roku NKWD aresztowało Wacława, bez wyroku zesłało na Syberię (wrócił trzy lata później).

O tajemnicy tawuły nie opowiadali nikomu. Aż nadszedł wrzesień 2018 r. i zjawili się goście z Polski: jeździli po wsiach, pytali. Byli to „historyczni detektywi" – ludzie z Wydziału Kresowego Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN. Zbierali informacje o losach mieszkających tu kiedyś Polaków, o akowcach, o ofiarach „potrójnej" okupacji (sowieckiej 1939-41, niemieckiej 1941-44 i znów sowieckiej) oraz powojennych walk. A także o miejscach, gdzie ofiary mogły być pochowane. W tutejszych wsiach niewielu zostało Polaków; w Monkiewiczach (Mankevičiai) mieszka ich dzisiaj tylko piętnaścioro. Jeszcze mniej jest tych, którzy pamiętają tamten czas.

Rodzina Wacława Danielewskiego należy do tych nielicznych. Znała opowieść o tawule. Podczas ekshumacji pod krzakiem odnaleziono dwa szkielety, ze śladami strzałów, a także dwa pociski.

Chłopski konspirator

Wszystko zaczęło się kilkanaście lat temu, w 2003 r., a pierwszym odnalezionym był Włodzimierz Pawłowski. Pseudonim „Kresowiak", kapitan.

Wcześniej, w II Rzeczypospolitej, zawodowy podoficer. Potem uczestnik kampanii wrześniowej 1939, komendant powiatowy Batalionów Chłopskich, w latach okupacji podporządkowanych Stronnictwu Ludowemu, które w 1944 r., w ramach konsolidacji Państwa Podziemnego, zostały scalone z AK.

Po II wojnie światowej Pawłowski wstąpił – jak wielu ludowców – do Milicji Obywatelskiej. Zajmował się szkoleniem. Jednocześnie działał w PSL Mikołajczyka – jedynej wówczas legalnej partii opozycyjnej. Z roku na rok komuniści coraz intensywniej niszczyli PSL (w listopadzie 1949 r. z resztek Stronnictwa oraz z kontrolowanego przez komunistów „lubelskiego" Stronnictwa Ludowego powstanie Zjednoczone Stronnictwo Ludowe).

Widząc, co się dzieje, w 1947 r. Pawłowski zaczyna się ukrywać. W 1949 r. zakłada konspiracyjną organizację Kresowiak (potem zmieni nazwę na Rzeczpospolita Polska Walcząca), złożoną głównie z chłopów. Liczy ona kilkuset ludzi, głównie na Dolnym Śląsku. Aresztowany w 1951 r., zostaje skazany na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrocławiu i stracony w kwietniu 1953 r. W chwili śmierci ma 40 lat.

Pochowali go na wrocławskim cmentarzu Osobowickim. Jak się potem okazało, całkiem płytko: ciało – w ubraniu i butach, ze strzaskaną od strzału w tył głowy czaszką – wrzucono do drewnianej skrzyni i zakopano na głębokości zaledwie metra.

Przypuszczalne miejsce pochówku wskazał georadar: narzędzie, które ocenia strukturę gruntu i jego naruszenia, np. wkopy w ziemi. We wrześniu 2003 r. dokonano ekshumacji – pierwszej z wielu, które potem miały nastąpić. Badania DNA potwierdziły, że to Pawłowski.

Nie tylko podziemie

Po Wrocławiu były kolejne poszukiwania: Jawor, Szczecin, Opole. Stopniowo powstawał zespół poszukiwawczy IPN, którym od początku kierował historyk z Wrocławia, dr hab. Krzysztof Szwagrzyk – dziś zastępca prezesa IPN i szef utworzonego w 2016 r. Biura Poszukiwań i Identyfikacji. Cel Biura to odnaleźć, rozpoznać i pochować, ponownie i godnie.

Kogo szukają? Nie tylko – jak mogłoby się wydawać – partyzantów powojennego

MARTA GORAJCZYK / IPN X2

Prace poszukiwawcze na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, październik 2017 r.

Poniżej: różaniec znaleziony we wspólnej mogile trzech żołnierzy podziemia podczas prac poszukiwawczych na cmentarzu Rakowickim. Kraków, październik 2017 r.

podziemia, zwanych dziś żołnierzami wyklętymi. Biografie poszukiwanych i tych już odnalezionych to przekrój przez historię Polski w połowie XX w. Odnajdywane są ofiary obu totalitaryzmów, cywile i wojskowi. Żołnierze polegli w 1939 r., akowcy i cichociemni, ofiary niemieckich katowni i obozów NKWD. Nie tylko w Polsce: na Białorusi, we współpracy z tamtejszym wojskowym batalionem poszukiwawczym, odnaleziono szczątki żołnierzy ze strażnicy KOP „Pohost". Jej załoga, na czele z dowódcą, plutonowym Stefanem Komarem, zginęła w 1939 r. po ataku wojsk sowieckich.

Wśród odnalezionych są też inni żołnierze Wojska Polskiego, jak pilot Zygmunt Dudyński czy porucznik Klemens Winniciuk (uczestnik walk 1918-20) – obaj konspiratorzy, obaj rozstrzelani przez Niemców w Białymstoku. Z kolei na Podlasiu znaleziono Wincentego Niemkowicza: ten szewc, więzień obozu karnego, został zabity przez Niemców, bo nie wrócił na czas z przerwy na posiłek. W Rogoźnicy na Śląsku przez wiele dni odnajdywano szczątki kilkudziesięciu ofiar KL Gross-Rosen, zamordowanych zapewne pod koniec wojny i wrzuconych do rowu przeciwlotniczego. Przy szczątkach: guziki, buty, kawałki blaszek z wydrapanymi nazwiskami, dające jakąś szansę na identyfikację. Szczątki ofiar wojny i powojnia znaleziono też na Litwie. Na prowadzenie ekshumacji nie zgadza się natomiast Ukraina: tu anonimowe mogiły stały się „zakładnikami" sporu o interpretację XX-wiecznej historii.

Wielu odnalezionych – jak w Monkiewiczach – zapewne nigdy nie uda się zidentyfikować.

Utajnione szczątki

Najgłośniejszym echem odbijają się zwykle ekshumacje powojennych konspiratorów – wśród nich najwięcej jest nazwisk powszechnie znanych, jak legendarny cichociemny Hieronim Dekutowski „Zapora" czy Danuta Siedzikówna „Inka".

Emocje związane z ich odnalezieniem to nie tylko efekt popularyzacji dziejów żołnierzy wyklętych (lub, jak chcą niektórzy: mody). Wynika to też z okoliczności towarzyszących ich pierwotnym pochówkom. Albo raczej sposobowi, w jaki wtedy pozbywano się ich zwłok: chowano ich zwykle w tajemnicy, anonimowo, pod płotami cmentarzy, na dziedzińcach budynków należących do Urzędu Bezpieczeństwa, a także w innych ustronnych miejscach (np. strzelnice, poligony). Rodziny zwykle nie znały miejsca spoczynku bliskich. Na ich szczątkach – jeśli leżeli na cmentarzach – z czasem powstawały nowe groby. Rzadko kiedy w cmentarnych księgach zapisano kwatery i nazwiska. Wyzwaniem jest więc nie tylko ustalenie miejsca pochówku, ale też identyfikacja.

Tymczasem obok postaci tak znanych jak „Inka" są też mniej znane. Jak podporucznik Stefan Górski ps. „Brzeg": harcerz i cichociemny, w 1946 r. mistrz Polski w sztafecie 3 razy 1000 metrów, skazany pod fałszywym zarzutem szpiegostwa na rzecz Anglii. Albo podporucznik Tadeusz Ośko (*vel* Wojciech ↦

↦ Kossowski) ps. „Sęp” – przypuszczalnie pierwowzór pułkownika Kwiatkowskiego z filmu Kazimierza Kutza z 1995 r. Były też wyroki za aktywność polityczną: w Łodzi odnaleziono Stanisława Dolewskiego, skazanego za to, że udzielił pożyczki PSL.

Ci, którzy ich grzebali, starali się, by tożsamość szczątków nawet po latach pozostała tajemnicą. Jak w Scharfenbergu (po 1945 r. Grudzieniec) na Opolszczyźnie, gdzie w wyniku operacji „Lawina”, pod pozorem przerzutu na Zachód, zwabiono i zamordowano około setki partyzantów NSZ; wg relacji świadka funkcjonariusze UB mieli wrzucić na ciała dla zmylenia wojskowe znaki tożsamości.

Partyzanci vs bandyci

„Jest to banda polityczna, ponieważ zwalcza bandytyzm” – takim zdaniem, na pozór niespójnym logicznie, w 1946 r. milicjanci z posterunku w pewnym miasteczku koło Wielunia scharakteryzowali w meldunku do WUBP w Łodzi oddział Konspiracyjnego Wojska Polskiego, który zjawił się na ich terenie.

Milicjanci najwyraźniej dobrze wiedzieli, że oddziały KWP starają się tępić pospolitych bandytów, tę powojenną plagę. Jednak nawet w wewnętrznej korespondencji (był to tzw. telefonogram) dostosowali się do języka, jaki narzucili przełożeni: dla celów propagandowych komuniści nazywali bandytami wszystkich ludzi ukrywających się z bronią. Dziś w dyskusji publicznej bywa, że jedni jej uczestnicy traktują każdego, kto był w lesie i miał broń, jak bohatera; inni zaś we wszystkich „leśnych” widzą bandytów.

Nie da się zaprzeczyć: bywało, że partyzanci – i podczas wojny, i potem – demoralizowali się i korzystając z dostępnej broni lub „marki” podziemnej organizacji rabowali lub zabijali (utrzymanie dyscypliny wśród ochotników w warunkach „leśnych” było problemem partyzantki nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach okupowanych).

Ale obok oddziałów podziemia istniało też mnóstwo grup od początku rabunkowych i często zresztą, jak zauważali cytowani milicjanci, przez partyzantów zwalczanych. Czasem ich członkowie podszywali się pod AK, bo – jak zeznawał jeden z nich – to „ułatwiało nam rabunki”, gdyż „ludzie odnosili się do nas nie jak do bandytów”.

Również pospolici przestępcy byli skazywani na śmierć, a ich przestępstwa często przypisywano partyzantom, by w oczach społeczeństwa zrównać ich z kryminalistami (bywało też i tak, że ujęci partyzanci twierdzili w śledztwie, iż są bandytami, bo panowało przekonanie, że komunistyczne sądy traktują tych drugich łagodniej). W efekcie na wielu cmentarzach, np. Osobowickim czy krakowskich Rakowicach, obok żołnierzy podziemia leżą zbrodniarze niemieccy, partyzanci UPA i pospolici przestępcy.

Zadaniem, przed jakim stają historycy, jest więc – najpierw – odtworzenie ich historii i zweryfikowanie: kto faktycznie działał na rzecz niepodległości Polski.

Historyczna detektywistyka

Jak zatem szukać? Tu nie wystarczą akta (milicji, UB, sądów). Szczegółowe zdjęcia lotnicze uzupełnią plany cmentarzy. Wspomnienia grabarzy (lub ich rodzin) podpowiedzą, gdzie warto kopać. Bezcenne są relacje kolegów (jeśli żyją) i rodzin (o ile się zachowały). Bywa, że opowieści przekazywane ustnie okazują się jedynym tropem – jak ta o krzaku tawuły, która okazała się prawdziwa. Gdy z tych „puzzli” wyłoni się spójny obraz, do pracy mogą przystąpić archeolodzy.

Kraków, cmentarz Rakowicki, 12 października 2017 r. Słoneczny dzień. Dookoła ziemnego wykopu grupa osób. Na pierwszy rzut oka nie widać, że to archeolodzy, historycy, medycy sądowi. Ale czuć napięcie, zdenerwowanie.

Z dołu bratniej mogiły wyłaniają się szczątki. Kość udowa opleciona różańcem, kiedyś pewnie ukrytym w kieszeni spodni. Obok czaszka, ze śladem po kuli. Tuż pod nią para wojskowych trzewików. Ciała były trzy, trumny są dwie: dwaj spoczęli w jednej skrzyni. Poniżej guziki, strzępy munduru. Medalik z Matką Boską. Jeszcze poniżej trzecie szczątki, przy nich fragment suwaka. Potwierdza się rodzinna opowieść o swetrze, wysłanym w paczce do więzienia.

Szkielety, które wkrótce odzyskają imiona. Wiesław Budzik „Roland”: przedwojenny kadet, więzień KL Gross-Rosen, konspirator ZWZ i NZW. Tadeusz Zajączkowski „Mokry”: żołnierz AK, oficer „ludowego” WP (odznaczony za bitwę pod Budziszynem), a potem oddziału partyzanckiego „Huragan” spod Babiej Góry. Oraz, najprawdopodobniej, jako trzeci: Walenty Bochorowski „Podkowa”, ze zgrupowania Józefa Kurasia „Ognia”. Ten ostatni wciąż czeka na identyfikację.

Niepełny bilans

Ilu jeszcze nie odnaleziono? Niech odpowiedzą przykłady i statystyka.

W egzekucjach, które Niemcy dokonywali w poaustriackim forcie w Krzesławicach (wtedy pod Krakowem, dziś

Krzew tawuły (już po kwitnieniu) nad mogiłą dwóch żołnierzy AK. Las koło wsi Monkiewicze na Litwie, wrzesień 2018 r.

ARCHIWUM IPN

dzielnica miasta), zginęło 440 osób, ale tylko 104 nazwiska są znane. Nie wiadomo, ilu zginęło w tzw. Glinniku w Przegorzałach (także Kraków): podczas ekshumacji odnaleziono 125 osób, ale pojawiają się sugestie, że może ich być więcej. W Puszczy Niepołomickiej może spoczywać kilka tysięcy ofiar: Polacy (w tym prezydent Krakowa Stanisław Klimecki), Żydzi, jeńcy francuscy i włoscy. Nigdy nie prowadzono tam ekshumacji.

A teraz statystyka: po 1945 r. istniało 17 wojewódzkich oraz 285 powiatowych i miejskich filii Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Każdy z urzędów wojewódzkich i wiele powiatowych miało „swoje" miejsca, gdzie potajemnie chowano ofiary. Zdarzały się też pochówki na wiejskich cmentarzach, a także w miejscach odosobnionych. Łącznie takich miejsc może być kilkaset – i to tylko z okresu powojennego. Tymczasem także dokładna liczba ofiar z lat 1944-56 wciąż nie jest znana: na mocy wyroków sądowych stracono ok. 4 tys. ludzi (ale tylko część to osoby związane z działalnością niepodległościową). Szacunkowo kilkanaście tysięcy zginęło w walce lub zostało zamęczonych w śledztwie – także wielu z nich chowano anonimowo.

Tymczasem pracownicy IPN znaleźli dotąd szczątki około tysiąca osób (w tym w najbardziej pracowitym roku 2018 – ok. 200), z których ponad 120 zidentyfikowano.

„Ile potrzeba czasu, by ich odnaleźć? Dziesięć lat? Mam świadomość, że być może nigdy nie będzie można powiedzieć: udało się, znaleźliśmy wszystkich – mówił w wywiadzie w „Tygodniku" [nr 9/2016 – red.] Krzysztof Szwagrzyk. – Ale należy zrobić wszystko, aby odnaleźć możliwie wielu". © KRZYSZTOF PIĘCIAK

KRZYSZTOF PIĘCIAK *jest historykiem, pracuje w Biurze Poszukiwań i Identyfikacji Oddziału IPN w Krakowie.*

O najmłodszych uczestnikach powojennego podziemia opowiada specjalny dodatek, który ukazał się w marcu 2016 r. Dostępny bezpłatnie na: powszech.net/zolnierze-wykleci

CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

Wyniki wyborów wywieszane na placu Konstytucji, Warszawa, czerwiec 1989 r.

Mity Okrągłego Stołu

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Wybory z 4 czerwca 1989 r. były wolne tylko częściowo. Jednak my, ówcześni wyborcy, tego dnia wyraziliśmy naszą wolę w sposób wolny.

W dyskusjach na temat Okrągłego Stołu jak refren powraca teza, że zakulisowe rozmowy przywódców PZPR i NSZZ „Solidarność" w (umownej) Magdalence były czymś niewłaściwym, sprzeniewierzeniem się przez stronę solidarnościową „duchowi demokracji" itd. Tymczasem rozmowy te były niezbędne, aby obrady okrągłostołowe mogły przynieść sukces.

Podstolik najważniejszy

Poucza o tym teoria organizacji. Nie wypracowuje się rozwiązań w gronie 60 osób (tyle zasiadło przy samym stole), nie dochodzi się do kompromisów publicznie. Spójrzmy na Sejm (lub dowolny inny parlament): obrady plenarne służą dyskusji politycznej oraz przyjmowaniu rozwiązań legislacyjnych, ale nie – ich wypracowywaniu. To dokonuje się w mniejszych gronach: w grupach eksperckich, klubach partyjnych, komisjach parlamentarnych. W trudnych, konfliktowych sytuacjach rozwiązanie znajduje zazwyczaj Konwent Seniorów. Inaczej się po prostu nie da.

„Magdalenka" była w istocie „podstolikiem numer zero". Tym najważniejszym, kluczowym. Ale o funkcji podobnej, co pozostałe tzw. podstoliki: miał przygotować rozwiązania, które zostaną zaakceptowane przez plenarne posiedzenie Okrągłego Stołu.

Czy to znaczy, że wszystkie te rozwiązania były trafne? Oczywiście nie. O to będziemy się wciąż spierać, o tym będą dyskutować historycy może i przez pokolenia [patrz teksty w tegorocznych numerach 5 i 7 – red.]. Ale bez tych ↦

↦ poufnych kontaktów i obrad sukces Okrągłego Stołu, a nawet samo jego zwołanie nie byłyby możliwe.

Inna rzecz, że nie trzeba było akceptować proponowanej przez komunistów fraternizacji, wspólnie pić wódki i pozwalać się przy tym filmować. Wręcz nie należało tego robić. To było nie tylko w złym guście politycznym – to było dawaniem przeciwnikowi atutów w przyszłych rozgrywkach. Skutki tego błędu ciągną się do dziś: gdyby nie ta fraternizacja, dużo spokojniej dyskutowalibyśmy dziś o sukcesach i porażkach Okrągłego Stołu.

Wolna wola wyborców

Czerwcowe wybory 1989 r. uważamy za „częściowo wolne". I tak niewątpliwie były one zaprojektowane. Ale czy rzeczywiście ich przebieg był tylko częściowo wolny?

W mojej komisji obwodowej (warszawskie osiedle Targówek, bloki z pokaźnym odsetkiem rodzin milicyjnych i wojskowych) 4 czerwca głosowało ok. 1200 osób na 2100 uprawnionych (spisałem te dane z protokołu wywieszonego na drzwiach komisji po zakończeniu liczenia głosów). Na trzech głównych kandydatów do mandatu „obywatelskiego" padły 964 głosy z ok. 1100 ważnych (na kandydata Solidarności: 896). Na mandaty „koalicyjne", jak wtedy mawiano, tj. rządowe, oddawano po ok. 200-300 głosów.

W drugiej turze wzięło udział już tylko ok. 330 osób, a i to część tylko po to, aby skreślić wszystkich: na zwycięskich kandydatów PZPR padło po ok. 100 głosów (w okręgu były dwa mandaty partyjne).

Podobnie było w całym kraju. Głosujący 4 czerwca nie tylko odrzucili listę krajową jako taką (a nie tylko wszystkich kandydujących z tej listy), ale też bojkotując głosowanie na mandaty „koalicyjne", w istocie zagłosowali przeciw obecności PZPR i jej satelitów w parlamencie w ogóle.

Frekwencja w pierwszej turze wyniosła 62 proc., ale gdyby przeliczyć ją tylko dla mandatów „koalicyjnych", byłaby zapewne niższa od frekwencji z drugiej tury (26 proc.). Niższa, bo frekwencję w drugiej turze podniosło poparcie dla niektórych kandydatów „koalicyjnych" przez komitety obywatelskie.

Tak wyrażona wola narodu obaliła kompromis Okrągłego Stołu, który nie przewidywał oddania władzy przez PZPR. Od tej chwili konieczne było wypracowywanie nowych kompromisów: najpierw wypełnienia luki po liście krajowej, potem – powołania rządu Mazowieckiego. A ujawnienie w toku wyborów skali rzeczywistego (braku) poparcia dla PZPR stało się dla tej partii szokiem, który uruchomił proces jej destrukcji.

> Wyrażona 4 czerwca wola narodu obaliła kompromis Okrągłego Stołu, który nie przewidywał oddania władzy przez PZPR. Od tej chwili konieczne było **wypracowanie nowych kompromisów.**

Prawda, że politycy – zaskoczeni i przerażeni rozwojem sytuacji – ratowali wcześniejszy kompromis, że na ponad dwa lata dostaliśmy „kontraktowy" Sejm, w którym większość posłów miała minimalną legitymację wyborczą, to rzecz inna. Ale my, wyborcy, tamtego 4 czerwca, wyraziliśmy swą wolę w sposób wolny, dla nas te wybory były wolne.

Droga w nieznane

W dyskusjach o transformacji lat 1989-90 często można usłyszeć, że polskie tempo przemian było powolne, innym krajom obalenie komunizmu zajęło mniej czasu. A także, że nasze przemiany były zanadto kompromisowe, za mało radykalne.

To pierwsze jest niewątpliwie prawdą. Ale prawdą jest też to, że byliśmy pierwsi. Nie mieliśmy żadnego przykładu, nie wiedzieliśmy, co okaże się możliwe, co zaś nie. Przecieraliśmy drogę w nieznane. Nikt nie mógł nas wesprzeć swym doświadczeniem, przykładem. Szliśmy powoli, bo taki jest los pionierów.

I cały czas obawialiśmy się reakcji Związku Sowieckiego. Ten zaś latem 1989 r. nie był wprawdzie tak silny, jak sądziliśmy, ale nie był też tak słaby, jak łatwo sądzić dziś, po jego kompromitującym upadku dwa i pół roku później. Z którego reakcją na przemiany w Polsce trzeba było się liczyć – i której nie sposób było przewidzieć.

Innym było już łatwiej: mieli przed oczami przykład Polski – kompromitacji, a później kolapsu partii komunistycznej oraz braku negatywnej reakcji Moskwy, a może wręcz jej cichego przyzwolenia na dekomunizację „imperium zewnętrznego". Trudno się dziwić, że było im łatwiej, że transformacja ustrojowa zajęła im mniej czasu. To także po części nasza zasługa.

Warto też pamiętać, że gdy rano 4 czerwca 1989 r. szliśmy do lokali wyborczych, w Pekinie od wielu godzin lała się krew. Chiński reżim komunistyczny rzucił przeciw protestującym na placu Tiananmen wojsko, zabito co najmniej kilka tysięcy ludzi. Skalą rozlewu krwi zaszokowane było nawet kierownictwo sowieckie.

Tamtego dnia w południe usłyszałem w Dzienniku Telewizyjnym: „Nadmierny radykalizm żądań doprowadził do tragedii". Paskudne słowa (pekińscy studenci nie byli szczególnie radykalni), za którymi stało jednak przekonanie, że nikt nie chce w Polsce rozlewu krwi, że nie można dopuścić do przemocy nawet na skalę stanu wojennego.

Czasem zastanawiam się, jak byśmy głosowali 4 czerwca, gdyby rząd Chin dokonał rzezi na Tiananmen tydzień wcześniej. Gdybyśmy już wiedzieli, co się tam stało. Nie znajduję odpowiedzi.

Byliśmy mało radykalni

To prawda, byliśmy wówczas *en masse* mało radykalni. Lepiej wiedzieliśmy, czego nie chcemy, niż czego chcemy. Zgodni byliśmy głównie w jednym: że nie tylko nie chcemy komunizmu, ale też nie chcemy budować nowej utopii, nowego radykalnego przewrotu. Wbrew stereotypowi Polacy – jak pokazuje historia – nigdy nie byli przesadnie skłonni do kroków radykalnych, rewolucyjnych.

W 1989 r. zbyt dużo Polaków pamiętało też jeszcze trud podnoszenia kraju z wojennej katastrofy oraz nieszczęście, jakim było „budowanie nowego społeczeństwa", zwłaszcza w pierwszych dziesięcioleciach polskiego „realnego socjalizmu". Zgadzaliśmy się na to, aby budować na tym, co było, przebudowywać Polskę, a nie budować ją od nowa.

Czy wszystko poszło dobrze? Z pewnością nie. Czy rewolucyjny przewrót pozwoliłby osiągnąć więcej? Może tak, może nie – nigdy się tego nie dowiemy. Czy ogólny bilans minionego trzydziestolecia jest dodatni? Moim zdaniem tak.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Autor jest emerytowanym ekspertem Ośrodka Studiów Wschodnich im. M. Karpia. Autor książek i opracowań o historii Ukrainy oraz jej współczesności.

WOJCIECH

Bonowicz: *Grill i wyzwania dla smaku*

Myśli człowieka nawiedzają rozmaite. Na przykład taka, że świat w którymś momencie musi przestać pisać i zacząć na nowo czytać to, co zostało dotychczas napisane. Biblioteka światowa jest gigantyczna i nie bardzo widać powód – poza ludzkimi ambicjami i pieniędzmi, jakie w ten sposób można zarobić – żeby dodawać do niej kolejne tomy, które nic nowego nie powiedzą. Głupia myśl, niedorzeczna myśl, a jednak się zjawia. A za nią zjawiają się kolejne. Choćby ta: bardzo możliwe, że najwytrwalszymi, jeśli nie jedynymi czytelnikami przyszłości będą sztuczne inteligencje. Lektura literatury, a także gazet, stron internetowych i listów będzie im potrzebna, żeby lepiej zrozumieć ludzkie drogi myślenia i odczuwania. Także – skąd się biorą takie myśli jak powyższe. Przeczytają, dowiedzą się i szlus, będzie można zamknąć interes. To znaczy – jeden zamknąć, a drugi otworzyć. Na czym będzie polegać ten drugi, nawet nie próbuję sobie wyobrażać. Świat bez głupoty i niedorzeczności byłby światem nieludzkim. A jeśli sztuczne inteligencje zarażą się naszymi lękami? Albo naszą głupotą? Albo naszą łapczywością? Co wtedy?

Sprawy natury i cywilizacji, jak na razie, wyglądają u nas tak: wiosna przyszła wcześniej, ale nie za bardzo. Odzież już jakby letnia, a opony wciąż zimowe. Bociany wracają, nie wiedząc, co zastaną. Partia kieruje, rząd rządzi, wszystko niby na swoim miejscu, ale w graną dotąd etiudę rewolucyjną wmieszały się jakieś fałszywe tony. Idą wybory, a z nimi, jak zawsze, potężne wyzwania dla ludzkiej cierpliwości, wyrozumiałości i smaku. „Wszyscy chcielibyśmy głosować na najlepszego człowieka, ale on nigdy nie kandyduje", powiada znana sentencja. Wszyscy chcielibyśmy, żeby tym razem inaczej to wyglądało, ale to oczywiście niemożliwe. Kiełbasa wyborcza już na grillu – tyle że nie dla wszystkich starczy. Bo też nigdy kiełbasa wyborcza nie jest dla wszystkich. A zresztą nie tylko kiełbasa, ale i karkówka, i flak. Przypomniało mi się, jak to ksiądz Leonard Harędziński, legendarny proboszcz ludźmierski, tłumaczył parafianom na kazaniu: „Pytocie sie mnie: czy pasztetowa w piątek to grzech? Powiadam wom: syćko, co we flaku, to jest grzech". I tyle, i sprawa była jasna. A dlaczego mi się te legendarne słowa przypomniały? Bo kiełbasa i flak na grillu wyborczym już się smażą, ale nie jest rozstrzygnięta sprawa grzechu. Oczywiście, może być tak, że żadnego grzechu nie ma. W każdym razie ci, co na kiełbasę zapraszają, wyglądają, jakby myśl o grzechu była im z gruntu obca. O własnym grzechu – dodajmy dla jasności.

Za to ci, którzy na grilla zaprosić nie mogą, patrzą zza płotu zdezorientowani i z piętnem grzeszników. Garną się ku sobie, ale jakoś nie wygląda, żeby im w kupie było raźniej. To raczej ten płot i dobiegający zza płotu zapach smażeniny ich połączył, a nie to, że sami chcieli. Trudno, mówią, małżeństwa z rozsądku też bywają szczęśliwe. Tyle że jakoś tego szczęścia na ich twarzach nie widać. No bo jak to, z sąsiadem, co mi wcześniej szyby powybijał, mam na ryby iść? A poza tym inny zapach miał się tu rozchodzić, ktoś inny miał tu być grillowany. Tymczasem ten, którego już, już grillowano, sam w innym miejscu grilla rozpalił. Dziś nic nie ma za darmo i głosy też trzeba kupić. Skądinąd to musi być nielicha frajda tak przesuwać całe miliardy nie swoich pieniędzy z miejsca na miejsce. A odpowiedzialność żadna. Najwyżej polityczna.

Może stąd ta pierwsza – niedorzeczna i głupia – myśl się pojawiła? W książkach dotąd napisanych to wszystko, czego świadkami jesteśmy, już po wielokroć opisano. I co? I nic. Kurzą się na półkach, bo czytać nie ma komu. To znaczy niektórzy czytają, ale to maleńka mniejszość, statystycznie nieistotna. Nawet nie języczek u wagi. Chociaż może... ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

WOJCIECH BONOWICZ W BYDGOSZCZY

W **środę 6 marca** Wojciech Bonowicz wraz z uczniami Liceum Ogólnokształcącego Towarzystwa Salezjańskiego (ul. Pod Reglami 1) porozmawia o eseju „Co znaczy myśleć?" ks. Józefa Tischnera.

Tego samego dnia Bonowicz spotka się z licealistami z VII LO (ul. 11 Listopada 4). Tematem rozmowy będą utwory Marcina Świetlickiego: „***(Cały pokój jest obwieszony Marcinami)" i „Pięć wierszy religijnych".

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · TYGODNIK POWSZECHNY · UNIWERSYTET ŁÓDZKI · Quad Graphics · SALES MANAGO marketing automation

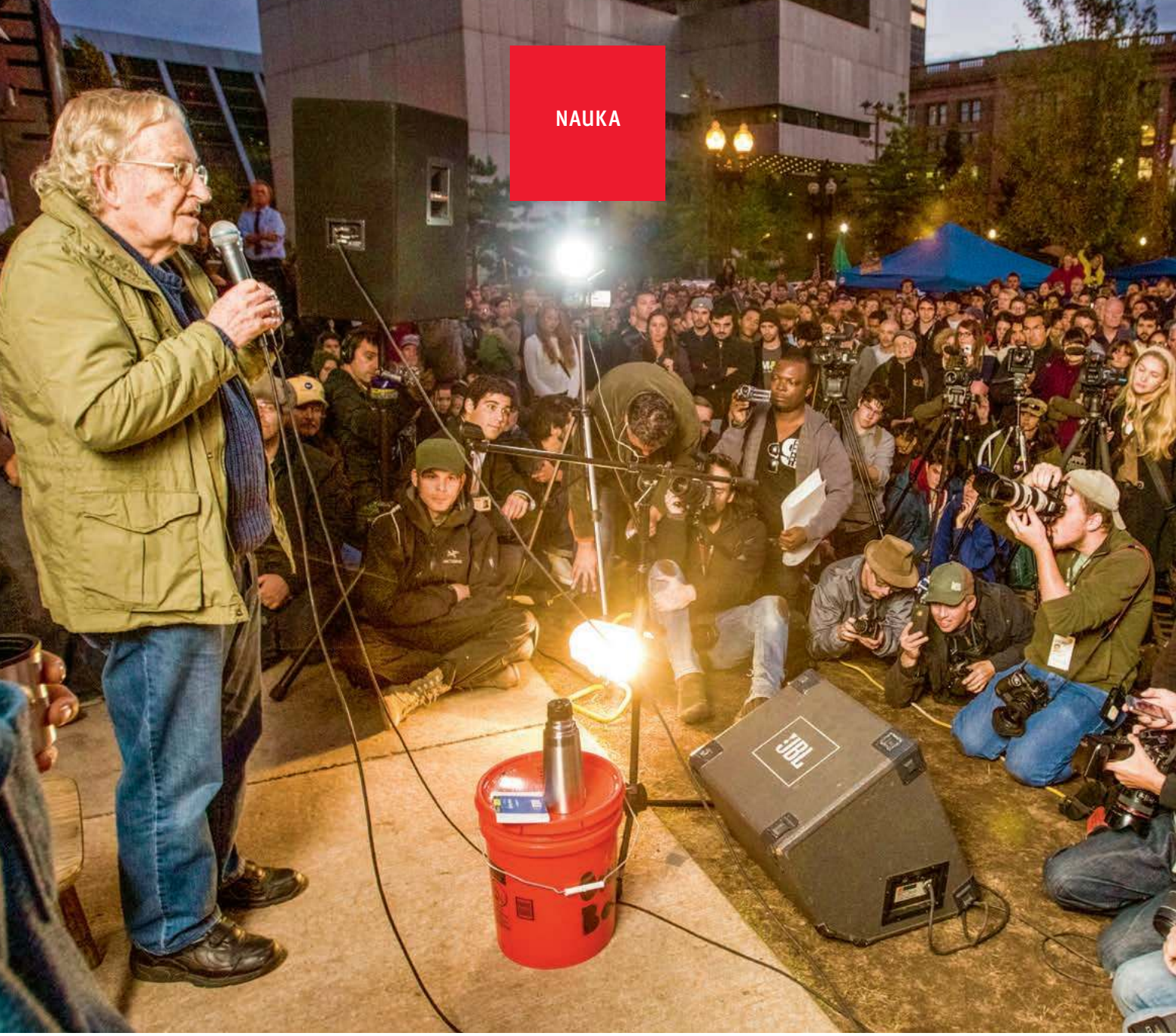

DZIEJE JĘZYKOWEJ REWOLUCJI

Nie zrozumiemy współczesnego językoznawstwa bez teorii Noama Chomsky'ego. Choć wypadła już z głównego nurtu badań nad językiem naturalnym, przyczyniła się do zupełnie nowego przełomu.

MARCIN MIŁKOWSKI

MATTHEW J. LEE / THE BOSTON GLOBE / GETTY IMAGES

Noam Chomsky na wiecu Occupy Boston, październik 2011 r.

Noam Chomsky od lat należy do pierwszej dziesiątki najczęściej cytowanych autorów w humanistyce i naukach społecznych. Spośród pozostałych gwiazd, takich jak Arystoteles, Platon, Hegel czy Nietzsche, wyróżnia się tym, że nie zmarł wieki temu. Miewa się dobrze – mimo 90 lat na karku. Jego popularność nie bierze się tylko stąd, że ma zdecydowane, lewicowo-anarchistyczne poglądy polityczne i talent publicystyczny, lecz przede wszystkim z powodu przewrotu teoretycznego, jaki dokonał się za jego sprawą w językoznawstwie i dziedzinach pokrewnych, zwłaszcza w psychologii. Dzięki Chomsky'emu rozwinął się nowy dział matematyki – lingwistyka matematyczna, badająca strukturę języków z użyciem narzędzi formalnych.

Teoria kontra dokumentacja

W latach 50. XX w. Chomsky rozpoczyna krytykę dominującego w owym czasie w USA podejścia do językoznawstwa, nastawionego przede wszystkim na opis różnorodnych zjawisk językowych, zwłaszcza w językach rodzimych mieszkańców Ameryki. Dokumentowanie owych języków było ambicją Leonarda Bloomfielda i jego uczniów – m.in. dlatego, że w tych językach, w przeciwieństwie do języków indoeuropejskich (do których należą greka, łacina, polszczyzna czy sanskryt), niekiedy trudno znaleźć odpowiedniki znanych nam ze szkolnej gramatyki części mowy. Niektóre języki nie mają słów, które cechowałyby się czasami gramatycznymi. Niekiedy zaznacza się w nich – gramatycznie, w strukturze czasownika – różnice między stopniami uzasadnienia, jakim dysponuje osoba mówiąca. Wystarczy dodać odpowiednią końcówkę, zamiast mówić: „moim skromnym zdaniem...".

Chomsky twierdzi jednak, że praca dokumentacyjna to jedno, a teoria w językoznawstwie to drugie. Wpisując się w tradycje językoznawstwa, którą zapoczątkował zmarły na początku XX w. szwajcarski lingwista Ferdinand de Saussure, uważa, że zadaniem językoznawcy jest nie tyle opis praktyki językowej, czyli *parole* w terminologii de Saussure'a, lecz dotarcie do stojącej za nią struktury – do *langue*. Według Chomsky'ego językoznawcy powinni stworzyć teorię języka. A ta teoria jest teorią gramatyki, która pozwala opisać całe bogactwo językowe.

Kryje się za tym prosta idea. Większość wypowiedzi, które na co dzień słyszymy i które wypowiadamy, nigdy się nie powtarza (wyjątkiem są bodaj zwroty grzecznościowe, ale i te mogą być niepowtarzalne). Osoby czytające ten tekst mogą szybko sprawdzić, czy poprzednie zdanie ktokolwiek wcześniej napisał. Założę się, że nie. Na tym właśnie polega twórczy aspekt języka: mimo że znamy pojedyncze cegiełki, z których buduje się zdania, a niektóre słowa słyszeliśmy może i miliony razy, to można je łączyć na bardzo wiele sposobów. Nie wszystkie jednak te sposoby tworzą zdania poprawne. Dowód: „Sposoby poprawne zdania nie jednak te tworzą nie". Coś w poprzednim zdaniu jest nie tak. Zdaniem Chomsky'ego zadaniem teorii języka jest opracowanie formalnej gramatyki języka, która mogłaby wytworzyć potencjalnie nieskończoną liczbę wszystkich poprawnych wypowiedzi – i wyłącznie poprawnych wypowiedzi, a nie bełkotu. Tak więc gramatyka ma być generatywna: ma generować bogactwo języka. Kiedy tylko sformalizujemy składnię, będziemy mogli odpowiednio zinterpretować jej składniki oraz nadać im wyraz fonetyczny – co pozwoli na odtworzenie zarówno gramatyki, znaczenia, jak i brzmienia całych zdań.

Przeciw behawioryzmowi

Program to ambitny, lecz przecież realizuje go każde dziecko nabywające język. Wszak w jakiś sposób dzieci w pewnym momencie umieją same składać słowa w zdania i rozumieją wypowiadane do nich pytania, prośby i groźby. Niemal każde dziecko jest w stanie opanować pierwszy język, nie znając jeszcze żadnego innego języka naturalnego. Jak to się dzieje? Żeby to wyjaśnić, należy zwrócić się z jednej strony do psychologii, a z drugiej strony sformalizować gramatykę. W przeciwieństwie do de Saussure'a, który realności struktury języka dopatrywał się w sferze społecznej, Chomsky poszukuje podstaw zdolności posługiwania się językiem w indywidualnym myśleniu.

W latach 50. dominującym podejściem w psychologii jest behawioryzm, teoria, zgodnie z którą zjawiska psychiczne należy rozumieć jako dyspozycje do zachowania, które wyzwalają określone bodźce. Behawioryzm określa sam siebie jako psychologię uczenia. Powinien się więc świetnie nadawać do wyjaśnienia procesów nabywania języka. Zdaniem Chomsky'ego jest jednak wręcz przeciwnie. U schyłku lat 50. publikuje on jedną z najbardziej zjadliwych recenzji w historii nauki – krytykując książkę „Verbal Behavior" B.F. Skinnera, wybitnego behawiorysty, który zjawisko uczenia badał przede wszystkim na szczurach i gołębiach. Chomsky wyzłośliwia się na Skinnerze, podkreślając, że uczenie u dzieci nie przebiega tak jak wzmacnianie reakcji u szczurów – nie mamy w przypadku dzieci do czynienia z tak planowym procesem, żmudnym trenowaniem reakcji. (Na obronę Skinnera trzeba powiedzieć, że Chomsky robi z niego wariata – zwierzęta potrafią też reagować na bodźce, które ↦

Gramatyka generatywno-transformacyjna

REGUŁY GRAMATYKI GENERATYWNO-TRANSFORMACYJNEJ mają tworzyć wszystkie i wyłącznie takie zdania, które są poprawne w danym języku. W „Zagadnieniach teorii składni" Chomsky wyróżnia dwa rodzaje reguł takiej gramatyki: reguły struktur frazowych, które tworzą takie poprawne zdania wraz z ich rozbiorem gramatycznym, oraz reguły transformacyjne, które pokazują, w jaki sposób zdania oznajmujące mogą być przekształcane w pytania, rozkazy czy też w innego rodzaju zdania oznajmujące (np. w stronie biernej).

STRUKTURY FRAZOWE służą do analizy części zdania, oznaczanych symbolem S. Dwa podstawowe rodzaje fraz, jakie wyróżnia Chomsky, to grupy nominalne (NP, *noun phrase*) i grupy werbalne (VP, *verbal phrase*). I tak reguła generowania zdań ma postać: S → NP VP. Mówi ona, że zdanie (S) powstaje z połączenia grupy nominalnej i grupy werbalnej. Weźmy zdanie „*The man hit the ball*" (Mężczyzna kopnął piłkę). W tym przypadku grupą nominalną jest *The man*, a werbalną – *hit the ball*. Grupę nominalną można rozbić na przedimek określony *the* i rzeczownik *man*: NP → Det N (Det to skrót od *determiner*, przedimek; a N to skrót od *noun*, rzeczownik). Z kolei grupę werbalną rozbić możemy na czasownik i kolejną grupę nominalną (którą akurat generuje identyczna reguła): VP → V NP. Całość analizy można zapisać w notacji z nawiasami kwadratowymi: [S [NP [Det The][N man]] [VP [V hit][NP [Det the][N ball]]]], ale rozbiór gramatyczny łatwiej zrozumieć, patrząc na drzewko 1.

REGUŁA TRANSFORMACYJNA może posłużyć do przetworzenia tego zdania na czas przyszły. Aby zapisać tę analizę, potrzebujemy nowego symbolu, AUX, na oznaczenie czasownika modalnego *will* (drzewko 2).

Warto zaznaczyć, że komputerowe analizatory gramatyki języka angielskiego (tzw. parsery) stosują do dzisiaj podobną notację, chociaż nieco inaczej oznacza się czasowniki modalne i analizuje grupy.

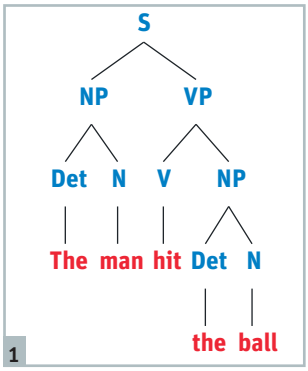

1

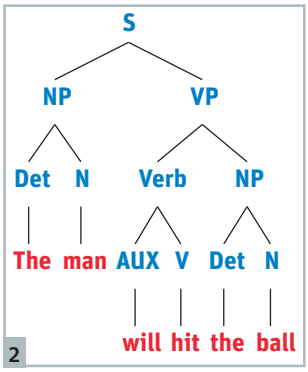

2

Zainteresowani mogą wejść np. na stronę http://tomato.banatao.berkeley.edu:8080/parser/parser.html i zobaczyć, jak zdania angielskie analizuje parser zbudowany na Uniwersytecie w Berkeley.

napotkały tylko raz, a Skinner nie twierdzi, że uczenie musi być żmudne). Przede wszystkim jednak dziecko nie ma do czynienia z bogatymi bodźcami. Wręcz przeciwnie – wcale nie musi być non stop korygowane przez Radę Języka Polskiego oraz przeczulonych purystów językowych, aby nauczyć się większości konstrukcji polszczyzny. Oczywiście, dzieci rodziców oczytanych i często z nimi rozmawiających mają bogatsze słownictwo i wypowiadają dłuższe zdania. Lecz nawet w mniej sprzyjających warunkach dzieci nauczą się mówić.

Wbrew założeniom behawiorystów nie wszystko można zatem wyjaśnić przez procesy uczenia. Dzieci muszą w jakiś sposób rozpoznawać bodźce językowe i uczyć się z nich gramatyki. Nie uczynią jednak tego w sposób przewidziany przez behawioryzm. Muszą mieć wrodzone struktury psychiczne, które im na to pozwolą. Takie struktury ma każdy człowiek, ale nie ma ich szczur czy gołąb. Choćbyśmy próbowali, choćbyśmy wzięli tysiąc atletów i dali im tysiąc kotletów, aby dali wycisk szczurom, to nie damy rady, taki to ciężar – po prostu szczury nie potrafią nauczyć się języka. Nie mają wrodzonych struktur gramatyki uniwersalnej.

W poszukiwaniu uniwersalnej gramatyki

I tu zaczyna się gorący spór o wrodzoność w psychologii. Chomsky nie boi się kontrowersji i śmiało nawiązuje do znienawidzonego przez empirystycznie nastawionych behawiorystów Kartezjusza. Ten genialny matematyk i filozof, ale także obrońca racjonalizmu, a więc teorii, że istnieją idee wrodzone, jest naturalnym sprzymierzeńcem Chomsky'ego w walce z empiryzmem, który głosi, że cała wiedza pochodzi z doświadczenia. Otóż empiryzm w tej radykalnej wersji musi być fałszywy: gdyby był prawdziwy, to szczury uczyłyby się rozumieć polszczyznę równie dobrze jak dzieci (nie mówiąc o tym, że dzieci nie miałyby prawa nauczyć się języka). Tak jak nie nauczymy szczurów latać jak nietoperze, tak nie nauczymy ich rozumieć „Pana Tadeusza". Po prostu umysł nie jest niezapisaną kartą, na której dowolnie pisze ręka doświadczenia.

Racjonalistyczny program Chomsky'ego sprowadzić można do myśli, że trzeba sformalizować gramatykę generatywną języka, aby wyjaśnić, w jaki sposób dzieci ją opanowują. Opanowują ją – zdaniem zwolenników programu gramatyki generatywnej – dzięki temu, że wszyscy mamy wrodzoną gramatykę uniwersalną, pozwalającą nam nabyć dowolny język naturalny. I to wiedza na temat gramatyki generatywnej określonego języka, a nie dane na temat zachowań językowych, są właściwym przedmiotem badań językoznawcy. Chomsky dokonuje tu istotnego rozróżnienia między kompetencją – znajomością języka, którą podzielają wszyscy jego użytkownicy – a wykonaniem, czyli zbiorem wszystkich wypowiedzi. Te ostatnie mogą być nawet często niegramatyczne, zaburzone, niedopowiedziane, czy to z powodu nieuwagi, czy niechlujstwa. Ale my wiemy, że takie są, bo mamy odpowiednią kompetencję.

By badać kompetencję, należy badać wiedzę użytkowników języka. Wbrew zwolennikom tradycyjnego językoznawstwa, którzy gromadzili przykłady użycia, Chomsky przywiązuje mniejszą wagę do dokumentowania wypowiedzi użytkowników języka. Ważniejsze są intuicje gramatyczności: użytkownik języka ma rozstrzygać, czy dana wypowiedź jest

gramatyczna, czy też nie. To w latach 60. bardzo pożyteczna koncepcja, bo przecież przykłady językoznawca gromadzi w fiszkach, a te w tysiącach pudełek po butach. O wiele łatwiej sformalizować gramatykę i sprawdzać, czy generuje wszystkie poprawne zdania po polsku i wyłącznie poprawne zdania. Do tego wystarczą intuicje.

Gramatyka Chomsky'ego obejmuje nie tylko zagadnienia, które kojarzylibyśmy z gramatyką szkolną – wchodzi pośrednio w rejony znaczenia. I co ciekawe, ze zmianą kolejnych teoretycznych założeń inne zdania uchodzą w niej, właśnie ze względów znaczeniowych, za gramatyczne. W jednej wersji teorii Chomsky'ego słynne zdanie „Zielone abstrakcyjne idee wściekle śpią" było uznawane za niegramatyczne, a w drugiej – za składniowo poprawne, lecz po prostu nonsensowne. Okazuje się, co podkreślają krytycy, że intuicje gramatyczności nie są jednak tak łatwo uchwytne.

Syreni śpiew ucieleśnienia

Program rozwoju gramatyki generatywnej ma się początkowo znakomicie. Chomsky podkreśla, że gramatyka generatywna uchwyci strukturę głęboką w języku: chociażby to, że można łatwo przekształcić niektóre zdania w stronie biernej na odpowiednie zdanie w stronie czynnej. Stoi za nimi ta sama struktura głęboka, ta sama forma logiczna. I tak oto gramatyka generatywna ma pokazać, w jaki sposób struktura głęboka może zostać przekształcona w strukturę powierzchniową, a ta przywiązana do odpowiedniego ciągu brzmień.

Gdyby ten program się wówczas powiódł, być może mógłbym w tym miejscu dać kilka przykładów z polszczyzny. Jednakże dla żadnego języka nie opracowano zadowalającej gramatyki generatywnej zakładającej istnienie struktury głębokiej. Ba, żadnej gramatyki sformalizowanej nie opracowano dla jakiegokolwiek języka. Być może zadanie jest po prostu trudne, a być może – jak zaczną wkrótce sugerować krytycy Chomsky'ego – po prostu niewykonalne. Do tych krytyków należy m.in. George Lakoff, początkowo jego student i współpracownik, a potem zawzięty konkurent. Ich spór u zarania lat 70. był tak zażarty, że anegdota głosi, iż na jednej z konferencji Lakoff z Chomskym wyrywali sobie mikrofon. Jednak również program konkurencyjny Lakoffa, mianowicie semantyka generatywna, w której odrzucano pojęcie struktury głębokiej, wkrótce się wyczerpał. Lakoff sięgnął po badania nad metaforami, poszukując uniwersalnej struktury języka nie w gramatyce uniwersalnej, lecz w ludzkiej cielesności. Wszyscy przecież mamy parę rąk i nóg, wiemy, gdzie góra, a gdzie dół, a to odzwierciedla się w metaforach, którymi się posługujemy.

Szczury nie potrafią nauczyć się języka. Zdaniem Chomsky'ego dlatego, że nie mają wrodzonych struktur gramatyki uniwersalnej.

Chomsky jednak i jego zwolennicy pozostali głusi na syreni śpiew ucieleśnienia. Gdy w połowie lat 70. Lakoff zaczynał się skłaniać do nadbudowywania językoznawstwa na cielesnej strukturze człowieka, jeden ze współpracowników Chomsky'ego, ceniony filozof Jerry Fodor, opublikował książkę broniącą idei, że każdy ma wrodzony kod, zwany językiem myśli, który pozwala dzieciom formułować hipotezy na temat znaczenia słów. Bez tych hipotez dziecko nie pozna znaczenia słów, a więc kod ten musi być uniwersalny. Fodor argumentował w przewrotny sposób: tak, ta teoria jest bardzo osobliwa i niewiarygodna, ale nie ma żadnej konkurencji. Po prostu nie potrafimy zrozumieć nabywania języka inaczej – musimy uznać, że dzieci formułują hipotezy. A więc muszą mieć język, by je wyrazić. (Oczywiście Skinner mógłby szybko odparować, że szczury w takim razie muszą formułować hipotezy na temat tego, gdzie w labiryncie znajduje się ich ulubiony przysmak, płynna czekolada; a więc mają wrodzony język). Idea języka myśli i formalnych modeli gramatyki stała się podstawą tzw. klasycznego programu badawczego w kognitywistyce, a Fodor bronił jej zajadle przeciwko jej krytykom. W dużej mierze idea poznania ucieleśnionego jest reakcją na koncepcję Chomsky'ego i Fodora.

Minimalizm kontra Tłumacz Google

Program Chomsky'ego również ulegał przekształceniom. Jedna z kluczowych zmian dotyczy koncepcji gramatyki generatywnej – obywa się ona już bez idei struktury głębokiej. Sformułowany w latach 90. program minimalizmu jest wyrazem swoistego perfekcjonizmu: zamiast rekonstruować języki naturalne za pomocą dużej grupy różnego rodzaju reguł i specjalnych leksykonów, minimalizm ogranicza się do dwóch operacji gramatycznych (łączenia i przesuwania). Nie zdobył on wielkiej liczby zwolenników w lingwistyce. Co więcej, niektórzy – tak jak Lakoff – wręcz sądzą, że poszukiwania gramatyki jako generatora wszystkich poprawnych zdań – i tylko poprawnych – jest skazane na porażkę, a odróżnienie kompetencji od wykonania, *langue* od *parole*, jest nieprzydatne.

Dzisiaj językoznawstwo wygląda już inaczej niż w połowie XX w. Przede wszystkim gramatyka uprawiana jest z wykorzystaniem instrumentarium matematyki, także na wydziałach polonistyki: formalną gramatykę polszczyzny opracował prof. Marek Świdziński na początku lat 90. i powstała jej wersja informatyczna. Informatycy zajmujący się przetwarzaniem języka naturalnego i psycholingwiści badający nabywanie języka współpracują ze sobą właśnie dzięki Chomsky'emu, gdyż to on podkreślał wagę wspólnego, formalnego podejścia do gramatyki.

A jednocześnie historia przetwarzania języka naturalnego potoczyła się nieco inaczej, niżby chciał Chomsky. Dzisiejsze modele teoretyczne w semantyce i gramatyce nie mają tak wiele wspólnego z jego koncepcją gramatyki. Wbrew jego zapewnieniom o wyższości podejścia teoretycznego, a przede wszystkim eleganckiego minimalizmu, powróciły duże zbiory danych językowych, tzw. korpusy, na podstawie których metodami informatycznymi generuje się systemy tłumaczenia maszynowego (tu wystarczy wskazać sukcesy Tłumacza Google), ale także rekonstruuje znaczenie słów w ramach tzw. semantyki dystrybucyjnej czy bada adekwatność gramatyk na podstawie danych o użyciu. Tymczasem wedle Chomsky'ego uczenie maszynowe jest teoretycznie miałkie i prowadzi donikąd. Sęk w tym, że program minimalizmu nawet nie zbliża się do tego, co potrafi Tłumacz Google. © MARCIN MIŁKOWSKI

OPOWIEŚĆ PIERWSZEJ

Choć opuściła Biały Dom dwa lata temu, Michelle Obama nie przestaje być pierwszą damą Ameryki. Dzięki autobiografii ma szansę zostać pierwszą damą globu.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Osiem lat temu magazyn „Forbes" ogłosił Michelle Obamę najbardziej wpływową kobietą świata. Wpływową, czyli dającą przykład, jak osiągnąć publiczny sukces, jak oddziaływać w zdominowanych przez mężczyzn sferach życia, jak wychowywać rzesze naśladowczyń (choć to naśladowanie często sprowadza się do wykupywania z sieciowych butików modelu sukienki, w której żona prezydenta pokazała się przed kamerami).

W rankingu „Forbesa" chodziło więc o sprawne kreowanie wizerunku silnej kobiety i napędzanie kulturowych mód, które łatwo można przeliczyć na pieniądze. Dlatego po piętach deptały zwyciężczyni plebiscytu m.in. Lady Gaga i Beyoncé.

Ani praca, ani stanowisko

Ale pod koniec 2018 r. Instytut Gallupa opublikował wyniki dorocznego sondażu, w którym Amerykanie wskazują najbardziej podziwianą przez nich kobietę. Podziwianą, czyli uosabiającą te wartości i aspiracje, które Amerykanie uważają za własne albo wiążą ze swoimi córkami i wnuczkami. Najwięcej wskazań (15 proc.) padło na Obamę, która wyprzedziła siedemnastokrotną triumfatorkę sondażu Hillary Clinton. Przedzieliła je Oprah Winfrey (Clinton stanęła na trzecim miejscu razem – o ironio! – z Melanią Trump). O ile kilka lat temu Michelle Obama reprezentowała postępową teraźniejszość, której przyglądano się z zaciekawieniem, dziś wyznacza kierunek przyszłości, w którym część społeczeństwa chce zmierzać, podpierając się magią tytułu pierwszej damy.

Pierwszej damy, czyli właściwie kogo? „Oficjalnie rzecz biorąc, nie jest to ani praca, ani stanowisko rządowe. Nie wiąże się z nią żadne wynagrodzenie ani spisana lista obowiązków. To dziwny wagonik doczepiony do prezydentury, w którym dotąd jechały już czterdzieści trzy inne kobiety, a każda we własnym stylu kryteriów" – zauważa w wydanej właśnie po polsku autobiografii „Becoming. Mojej historii" czterdziesta czwarta gospodyni Białego Domu. „Tradycyjnie oczekiwano, że będę niczym łagodne światło przewodnie, że moje oddanie przyda blasku postaci prezydenta i że przede wszystkim uświetnię cały naród, nie podważając jego zasad. Zaczynałam się jednak przekonywać, że to łagodne światło może mieć znacznie większą moc, jeśli umiejętnie się z nim obchodzić" – dodaje Obama.

Dlatego tej autobiografii ani książek poprzednich pierwszych dam Ameryki nie można zakatalogować jako rodzinnych sag albo memuarów utkanych ze scenek rodzajowych i anegdot z życia wyższych sfer. Są to bowiem opowieści po części motywacyjne, po części terapeutyczne, pisane ku pokrzepieniu kobiecych serc. Do obowiązkowego pozytywnego zakończenia zawsze prowadzi tor przeszkód. Wspomnienia prezydentowych zawierają – wyrażony nie wprost – instruktaż wychodzenia z klatki, która w ostatnich dwóch dekadach jest nie tyle złota, co pancerna i strzeżona przez wszechobecnych agentów Secret Service. Z nimi pierwsze damy Ameryki widują się znacznie częściej niż z mężami. Jednak ich życie nie kręci się wokół mężczyzn, lecz wokół rodziny. Bo w życiorysie niemal każdej pierwszej damy, dziś czy sto lat temu, rodzina jest spoiną nie do ruszenia. Zdrada ją wzmacnia, samotność hartuje, a mało partnerskie rodzicielstwo usamodzielnia. Trawestując Tołstoja, rzecz by można, że choć wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, to każda para prezydencka jest szczęśliwa na swój sposób.

Z pierwszej ręki

Michelle Obama próbowała czytać autobiografie poprzedniczek, ale żadnej nie przeczytała do końca: „Stwierdziłam, że właściwie nie zależy mi na tym, by się dowiedzieć, w czym byłyśmy podobne, a co nas różniło". Szkoda, bo tych podobieństw – przynajmniej w komponowaniu opowieści o własnym życiu – jest więcej, niż można by przypuszczać. Prekursorką życiowych spowiedzi „pierwszych żon" jest Eleanor Roosevelt, która ukończyła wspomnienia w 1960 r. Dekadę później dzienniki z okresu waszyngtońskiego wydała Lady Bird Johnson, w kolejnej Betty Ford rozliczyła się na papierze z alkoholizmu i lekomanii, a rok 1994 przyniósł aż dwie autobiografie byłych pierwszych dam: Rosalynn Carter i Barbary Bush. Pięć lat →

Na spotkaniu „Intymna rozmowa z Michelle Obamą", Austin, USA, 28 lutego 2019 r.

SUZANNE CORDEIRO / REX / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

↦ wcześniej Nancy Reagan wydała „Moją kolej" – i była to pierwsza przetłumaczona na język polski reprezentantka tego gatunku.

Nancy Reagan była żoną najpopularniejszego w Polsce amerykańskiego przywódcy i wydźwięk jej książki musiał tu budzić zaskoczenie. Z jednej strony czyniła ze swojej opowieści odtrutkę na złą prasę, jaką miała u dziennikarzy zarzucających jej próżność, rozrzutność, brak intelektualnych zainteresowań i słabość do astrologii. Z drugiej strony, książka była jej strategią dowartościowania się jako aktorki politycznej (przypisuje sobie niemałą rolę w ocieplaniu stosunków ze Związkiem Radzieckim). Dziś ta pachnąca „Dynastią" baśń o dziewczynie, która z Hollywood trafiła do Białego Domu, razi sztucznością i zadufaniem. Roztrząsając aferę porcelanową (zakupu nowej zastawy dla Białego Domu), z detalami opisując swoje kreacje (cóż z tego, że wypożyczone od projektantów), wspominając platoniczny (chyba) romans z Clarkiem Gable'em albo pisząc z protekcjonalną sympatią o Raisie Gorbaczow, niezamierzenie utwierdza krytyków w tym, że etykietka „luksusowej Nancy" jej się należy.

Od czasów Reagan zmieniły się oczekiwania wobec stylu, w jakim gospodynie Białego Domu mają zaznaczać swoją niepisaną władzę. Mimo to ich spisane historie składają się z podobnych rozdziałów. Jest tu miejsce dla poświęcających się rodziców, dla ciotek i babć ćwiczących małe dziewczynki w wytrwałym dążeniu do celu, i dla pierwszych niewinnych miłości.

Matka Michelle Robinson (później Obamy) przez wiele lat zajmowała się domem, ojciec ciężko pracował w wodociągach i zmagał się ze stwardnieniem rozsianym, cioteczna babka uczyła gry na fortepianie, a z pierwszym chłopakiem Michelle umawiała się przez telefon na całowanie. Również Hillary Rodham Clinton w „Tworząc historię" (2003) kreśli kobiecą wersję amerykańskiego snu, przypominając, że urodziła się w rodzinie drobnego przedsiębiorcy, który zaczynał jako akwizytor tkanin dekoracyjnych, i gospodyni domowej wychowywanej przez babkę żywcem wyjętą z powieści Charlesa Dickensa.

Clinton jest jedną z najczęściej piszących pierwszych dam. W „Trudnych wyborach" (2014) spisała doświadczenia jako sekretarz stanu, a po porażce w wyborach prezydenckich do księgarń trafiła spowiedź pt. „Co się stało" (2017). „Ubiegałam się o urząd prezydenta, bo uważałam, że idealnie się na to stanowisko nadaję" – to nie słowa pokory, lecz zapowiedź słonego rachunku wystawionego mężczyznom. Lakonicznie, ale ciepło wspominana jest za to wspierająca ją w kampanii Michelle Obama, która „przez poprzednich osiem lat reprezentowała sobą wszystko to, co w nas najlepsze". Jednocześnie Clinton zazdrości następczyni historii życiowej, przy której jej własna wypada niczym zapiski pensjonarki.

W biografii idealnej pary prezydenckiej nie ma opcji rozwodowej, ale czytając rzeczone życiorysy, coraz bardziej wątpi się w to, czy za przetrwaniem związku stoi miłość, czy zimna polityczna kalkulacja.

Najczulszą struną w „Becoming" jest wątek rasowy, który była prezydentowa podejmuje w bardziej otwarty sposób niż jej mąż, zabiegający o tytuł prezydenta wszystkich Amerykanów. Michelle Obama kilkakrotnie wspomina swojego prapradziadka niewolnika. Odnotowuje, że na jej roku w Princeton Afroamerykanie stanowili mniej niż jedną dziesiątą studentów. Kiedy w kancelarii prawniczej Sidley & Austin przydzielono ją do opieki nad nowym stażystą, Barackiem Obamą, nie dowierzała peanom na jego cześć: „Wiedziałam z doświadczenia, że wystarczy ubrać dowolnego czarnego półinteligenta w garnitur, żeby biali wpadali w zachwyt".

Podobnie gorzko komentuje decyzję męża o starcie w wyborach prezydenckich w 2008 r.: „Barack był czarnym człowiekiem w Ameryce. Uważałam, że nie wygra". Przez pryzmat uprzedzeń rasowych czyta też niechęć, z którą spotkała się w kampanii i w pierwszych miesiącach w Białym Domu: „Jako jedyna afroamerykańska pierwsza dama w Białym Domu niemal automatycznie byłam »inna«. O ile moje poprzedniczki z definicji uważano za osoby pełne gracji, o tyle mnie samej z pewnością nie miało to dotyczyć". Tu autorka „Becoming" ma tylko częściową rację – nie była jedyną pierwszą damą, która czuła się ofiarą stereotypów.

Wszystko dla dziewczynek

Opowieści pierwszych dam są podporządkowane pytaniu o to, jakiego społeczeństwa chcą Amerykanie dla swoich dzieci. W ostatnich dwóch dekadach to pytanie zmienia kształt: jakiej Ameryki chcecie dla waszych córek i wnuczek? Michelle Obama z przyszłości dziewczynek uczyniła *leitmotiv* płomiennych przemówień w ostatniej kampanii prezydenckiej, kiedy wsparła Hillary Clinton, a wcześniej podczas akcji społecznej Let Girls Learn (Dziewczyny do Nauki).

Także Clinton otwiera wspomnienia rytualną dla prezydentowych frazą, że choć żyła w lepszych czasach dla kobiet niż jej poprzedniczki, to wciąż wiele jest na tym froncie do zrobienia. „Tworząc historię" to puszczany w przyspieszonym tempie film o mentalnej ewolucji, jaką przechodzi córeczka konserwatywnego ojca. Skuszona zapewnieniami prezydenta Kennedy'ego, że wyśle człowieka na Księżyc, zgłasza się do programu NASA dla astronautów i otrzymuje automatyczną odmowę, bo jest kobietą.

Wiele lat później niechętnie i tylko ze względów kampanijnych dołącza do panieńskiego nazwiska kolejne – po mężu poznanym podczas studiów na Uniwersytecie Yale. Nie krępuje się nadmienić, że zanim Bill został prezydentem, zarabiała jako prawniczka więcej niż on. Już jako pierwsza dama przewodniczy Prezydenckiemu Zespołowi ds. Reformy Krajowego Systemu Ochrony Zdrowia. Mierzi ją to, że jej wykształcenie i aktywność traktuje się jako balast w karierze męża. Gwoli uczciwości trzeba jednak zaznaczyć, że jej książka jest też kwintesencją dobrego samopoczucia pierwszej damy, której największym grzechem zdaje się źle dobrana fryzura i zbyt wielkie zaufanie do ludzi. Skrupulatnie wylicza swoje inicjatywy ustawodawcze i zasługi dyplomatyczne, a wspomina tylko skandale zbyt głośne, by je przemilczeć, jak afera finansowa Whitewater czy oskarżenia Pauli Jones i Moniki Lewinsky wobec jej męża. Do tego ostatniego ma żal o zdradę i kłamstwo, ale też o to, że jego potknięcia obciążają jej polityczne konto.

Widmo egocentryzmu wisi też nad autobiografią Obamy, która w dużej mierze jest jej sfabularyzowanym *curriculum vitae*, prześlizgującym się po niewygod-

nych tematach, takich jak fascynacja pastorem Jeremiahem Wrightem, usprawiedliwiającym zamachy z 11 września. Przed narcyzmem typowym dla rzeczników i rzeczniczek słusznych spraw chroni byłą pierwszą damę ciekawie rozegrana w jej książce konfrontacja z własnym mężem, który okazał się osobą zagrażającą jej pozycji wiecznej prymuski.

Tytuł „Becoming" (Stając się) należy czytać jako opis żmudnego wydeptywania swojego miejsca trochę u boku, a trochę z boku przebojowego małżonka, którego kariera nabrała turboprzyspieszenia, odkąd w 2004 r. został wybrany do Senatu. „Potencjał Baracka siedział z nami przy stole obiadowym. Potencjał Baracka jeździł do szkoły z dziewczynkami i ze mną do pracy. Był przy nas, nawet gdy go nie chcieliśmy, napełniając wszystko dziwną energią" – ironizuje Michelle Obama i na wielu stronach odmalowuje zmagania z samotnym wychowywaniem dzieci i tłumieniem własnych ambicji.

Zanim odhaczymy tę opowieść jako w gruncie rzeczy uniwersalną historię partnerek czołowych polityków, powiedzmy: „sprawdzam". Wszak krótka historia pierwszych dam III RP też doczekała się swojej biografistyki, choć na razie bardzo skromnej. O życiu Barbary Jaruzelskiej opowiedziała w licznych książkach jej córka Monika, Jolanta Kwaśniewska wybrała udzielanie lekcji stylu zamiast spisywania przeszłości, Maria Kaczyńska nie zdążyła tego uczynić, Anna Komorowska została opisana przez seryjną biografkę elit politycznych, Ludwikę Preger, ale na własną wersję zdarzeń jeszcze się nie zdecydowała.

Przełomową książką dla tego raczkującego u nas gatunku są wspomnienia Danuty Wałęsy „Marzenia i tajemnice" (2011), opracowane przez Piotra Adamowicza, brata zamordowanego prezydenta Gdańska. Trudno o większy kontrast z wymuskaną formą i motywacyjnym przekazem autobiografii amerykańskich prezydentowych. Tym, co uderza, kiedy czyta się Wałęsę, Clinton i Obamę razem, nie są oczywiste różnice wynikające z ich statusu klasowego i odmiennej historii politycznej ich krajów, lecz sama pozycja żony. Za każdym razem, kiedy Bill Clinton i Barack Obama chcieli piąć się po szczeblach kariery, prosili o błogosławieństwo żony, rozważając razem za i przeciw. Być może te konsultacje były pozorne, być może klamka zapadała już wcześniej, ale rytuał proszenia o zgodę za każdym razem na nowo był odprawiany. Danuta Wałęsa była stawiana przed faktami dokonanymi, musiała płynąć z nurtem historii.

Tym, co łączy jej historię z publikowanymi za oceanem, jest motyw emancypacji. Choć Wałęsa podkreśla, że nigdy nie chciała stać się osobą publiczną, jest to tylko połowa obrazu. Po latach zdobywa się na wyznanie odnoszące się do pierwszych dekad małżeństwa: „mam do siebie troszeczkę żalu, że mnie jakby wtedy nie było". Wreszcie przyszedł rok 1983 i uroczystość odebrania Pokojowej Nagrody Nobla, gdzie pojechała w imieniu męża: „Jednak z chwilą, gdy on wydał ten rozkaz do wyjazdu, zaczęłam tworzyć swój obraz. Nie pojadę po Nobla jako Danuta, żona Lecha Wałęsy, lecz pojadę tam jako Danuta, kobieta Polka. Kobieta, która będzie reprezentować polskie kobiety". W Oslo koncertowo odegrała rolę skromnej, ale dumnej Polki. „Oni słuchali tego, co mam do powiedzenia!" – ten obraz zachowany w jej pamięci odbija się jakoś we wspomnieniach i Reagan, i Clinton, i Obamy. Na przykład wtedy, kiedy ta ostatnia przemawia na konwencji Demokratów, śpiewa w rozrywkowym programie Jamesa Cordena „Carpool Karaoke", żeby promować edukację dziewczynek, i kiedy przestaje z córkami wypatrywać wieczorem ich taty: „Zamierzałam przecież wychować je na osoby silne, stabilne, a przy tym niepoddające się żadnym formom staroświeckiego patriarchatu: nie chciałam, by kiedykolwiek doszły do przekonania, że życie zaczyna się dopiero wtedy, gdy do domu wraca mężczyzna. Nie czekałyśmy na tatę. To on musiał się starać, by zdążyć na czas".

Rozwodów nie będzie

W tej opowieści o dorastaniu do samodzielności jest też miejsce na miłość, ale niedającą się zamknąć w baśniowej kliszy „żyli długo i szczęśliwie". W „Becoming" otrzymujemy zgrabny kolaż komedii romantycznej i dramatu obyczajowego. Romantyczna miłość przybiera zrazu formę zdemokratyzowaną i sztubacką. Pierwsza randka Obamów to pójście na lody z przydrożnej budki (dla porównania: Hillary Rodham i Bill Clinton poszli do galerii sztuki Uniwersytetu Yale obejrzeć prace Marka Rothko).

Potem na scenę wkracza już konwencja. Jest obowiązkowy pierścionek z diamentem, oświadczyny na kolanach oraz wielkie chicagowskie wesele w 1992 r. Wreszcie są problemy ze staraniem się o dzieci (dopiero w „Becoming" Obama ujawniła, że jej córki narodziły się dzięki zapłodnieniu *in vitro*), pracoholizm partnera, terapia małżeńska i nieustające starania o to, by Malia i Sasha mogły wieść życie możliwie zwyczajnych nastolatek. O mężu Michelle Obama wypowiada się z szacunkiem, ale ton miłosnego uniesienia kończy się w jednej czwartej jej książki.

Niewiele znajdziemy go też u Baracka Obamy, który w opublikowanej przed prezydenturą „Odwadze nadziei" (2006) rozpamiętuje początki rodzicielstwa z perspektywy zapracowanego i próżno oczekującego czułości męża-polityka. Pod adresem żony zamiast gorących wyznań kieruje za to słowa podziwu zmieszane z nutką zazdrości: „Każdy, kto z nią rozmawia, także na tematy zawodowe, bardzo często mówi mi później: »Wiesz, Barack, bardzo cię cenię, ale twoja żona jest po prostu niesamowita!...«. Kiwam głową, zdając sobie równocześnie sprawę z tego, że gdyby kiedykolwiek przyszło mi stanąć z nią do walki o stanowisko publiczne, rozniosłaby mnie w puch".

W biografii idealnej pary prezydenckiej nie ma opcji rozwodowej, ale czytając rzeczone życiorysy, coraz bardziej wątpi się w to, czy za przetrwaniem związku stoi miłość, czy zimna polityczna kalkulacja – a nuż druga połówka będzie robić karierę polityczną, o co w konserwatywnej Ameryce łatwiej z obrączką na palcu.

Fakty są jednak takie, że jeszcze żadnej Amerykance nie udało się zamienić tytułu First Lady na Madam President. Boleśnie przekonała się o tym Hillary Clinton. „Nie mogłam nie podziwiać jej dumy i waleczności w morzu mizoginii. (...) Najwyraźniej próbowała zrobić zbyt wiele i zbyt wcześnie, dlatego napotkała mur" – komentuje Obama. W „Co się stało" Clinton chce jednak zaoferować czytelnikowi jakiś *happy end*, choćby życzeniowy. Zapowiada, że zamierza dożyć momentu, kiedy kobieta zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Czy będzie nią Michelle Obama? Z charyzmą promowała zdrowe odżywanie, sport, edukację dziewcząt i aktywizację weteranów wojennych, ale ogródek warzywny w Białym Domu, którym chwali się jako jednym z największych osiągnięć w czasie prezydentury męża, to trochę za mało, żeby starać się o polityczny mandat. Sama zainteresowana zamykając swoją opowieść, ucina ↦

↦ spekulacje trącącą banałem formułką o politycznych okopach: „Nigdy nie lubiłam polityki i moje doświadczenia z minionej dekady tego nie zmieniły. Wciąż odstręcza mnie plemienny podział na czerwonych i niebieskich oraz przekonanie, że musimy wybrać jedną stronę i się jej trzymać, niezdolni do słuchania się nawzajem, podejmowania kompromisów, a czasem nawet cywilizowanego zachowania”.

Na razie Obamowie podpisali kontrakt na serię owianych tajemnicą programów publicystycznych z platformą Netflix, w której flagowym serialu „House of Cards” była już kobieta-prezydent. Sama Michelle nie przerywa *tournée* po Stanach Zjednoczonych (w tym roku zawita też do Europy), zapełniając na spotkaniach promocyjnych hale sportowe. Wydane w USA w połowie listopada 2018 r. „Becoming” ledwie po miesiącu zostało ogłoszone najlepiej sprzedającą się książką minionego roku w Ameryce Północnej (rozeszły się ponad 3 mln egzemplarzy). Jest to najbardziej rozchwytywana autobiografia w dziejach instytucji pierwszej damy. Przynajmniej do czasu, kiedy Melania Trump napisze swoją historię.

POSTSCRIPTUM Fascynacja mieszkańcami Białego Domu jest przypadłością nieobcą Polakom, więc chciałoby się odnaleźć w książkach heroin zza oceanu choćby marny cień wzajemności. W „Becoming” próżno go szukać, natomiast miłą wzmiankę zawiera autobiografia Hillary Clinton, która w trakcie swojej drugiej wizyty w Polsce w 1996 r. pojechała z Jolantą Kwaśniewską do Krakowa, a tam spotkała Jerzego Turowicza i Czesława Miłosza: „Ci dwaj nadzwyczajni ludzie, których odwaga i przekonania przez długie lata podtrzymywały na duchu podobnie myślących dysydentów na całym świecie, wydawali się niemal stęsknieni za moralną jasnością czasów walki z komunizmem”. Amerykanie, czytający dziś „Becoming” Obamy, tęsknią chyba za czymś całkiem podobnym.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Michelle Obama **BECOMING. MOJA HISTORIA,** *przeł. Dariusz Żukowski, Agora, Warszawa 2019*

Pomniki chłopa

PIOTR KOSIEWSKI

Daniel Rycharski podważa przekonania o wiejskim konserwatyzmie, nietolerancji, ksenofobii. I zwraca uwagę na odrębność tego świata.

Jest postawny. Głowę ma uniesioną, zakończoną długimi, spiczastymi uszami, a grzbiet wygięty w efektowny łuk. Do tego dochodzą proste, silne nogi. I jeszcze ogon: długi, puszysty. Ów stwór – królikolis, znalazł się na ścianie gospodarstwa Jana Żmijewskiego.

To jedna z hybrydycznych postaci malowanych od 2009 r. przez Daniela Rycharskiego na murach domów, budynków gospodarczych i przystanków autobusowych w Kurówku i okolicach. Artysta kojarzony przede wszystkim ze street artem trafił na mazowiecką wieś. I wpisał się świetnie w tutejszy pejzaż. Murale powstawały zazwyczaj na prośbę mieszkańców – zapraszali artystę, by przyozdobił ich podwórka. Znają go dobrze, bo Kurówko to rodzinna wieś Rycharskiego. Wrócił tu po studiach na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie (2005-09).

„Chciałem, żeby im się to podobało. Szukałem odbiorcy – tłumaczył w rozmowie z Magdą Grabowską dla portalu SztukaPubliczna.pl. – Kiedy malowałem te zwierzęce hybrydy, mieszkańcy byli zaintrygowani, zaciekawieni tym, co robię. Kurówko jest w momencie kryzysowym. Jeszcze niedawno były tu miejsca, w których ludzie się spotykali, jak przystanek autobusowy. Wcześniej działał teatr wiejski, który był od początku do końca tworzony tylko przez ludzi z Kurówka. Była w nich tęsknota za czymś. Teraz myślę, że chodziło w ogóle o spotkanie”.

Wieś jako miejsce

Wieś jest wielkim nieobecnym we współczesnej polskiej kulturze, zwłaszcza w sztukach wizualnych. Artyści, zwłaszcza ci związani z awangardową tradycją, wieś omijali, a wieloletnie akcje społeczno-artystyczne prowadzone od 1977 r. we wsi Lucim przez Grupę Działania, a potem przez Grupę 111, były wyjątkiem od reguły (i długo pozostającym na margi-

Daniel Rycharski, Kurówko, 2018 r.

DANIEL CHROBAK / MSN

DANIEL CHROBAK / MSN

Ekspozycja dzieł Daniela Rycharskiego w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa

nesie świata sztuki). Rycharski nie tylko mówi o wsi, ale na niej tworzy, pozostając częścią tamtejszej społeczności i włączając ją w swe działania. Odwołuje się do znaków, symboli, obyczajów jej bliskich i zrozumiałych (np. stawiając kapliczki). Nawet sama praktyka tworzenia – wykorzystywanie gotowych rzeczy, zużytych, które straciły już swą pierwotną funkcję – bliska jest codziennemu doświadczeniu wsi, ze stałym przez dekady gospodarowaniem niedoborem.

Rodzime tereny Rycharskiego nie przystosowały się do wymogów nowoczesnego rolnictwa. Większość mieszkańców to drobni rolnicy uprawiający małe poletka i produkujący przede wszystkim na własne potrzeby. Wierni swojej tradycji i stylowi życia. A jednocześnie Daniel Rycharski – artysta mówiący wprost o swojej seksualnej odmienności – samą swą obecnością podważa przekonania o chłopskim konserwatyzmie, nietolerancji, ksenofobii. Wreszcie, zwraca uwagę na odrębność sytuacji na wsi. Mieszkańcy miast, zwłaszcza inteligencja, traktują ją kolonialnie.

Upamiętnianie

W 2014 r. Rycharski postawił na posesji Adama Pesty, sołtysa Kurówka, efektowną metalową bramę, przypominającą formą rzymski łuk triumfalny. Właśnie mijało 150 lat od zniesienia pańszczyzny na obszarze Kongresówki, kluczowego wydarzenia w historii polskiej wsi. Jednak jego rocznica – w społeczeństwie przede wszystkim o chłopskich korzeniach – została niemalże niedostrzeżona. Minął rok od rocznicy, kiedy rolnicy rozbili „zielone miasteczko" pod kancelarią premiera w Al. Ujazdowskich w Warszawie. Jedzie tam też Rycharski. A potem powstaje „Pomnik chłopa". Zaskakujący. Na długim, blisko czterometrowym wysięgniku, niczym na kolumnie, artysta ustawił werystycznie oddaną postać tradycyjnie ubranego chłopa – ma na sobie spodnie od garnituru, sweter i kaszkiet. Siedzi na kance mleka w pozie przypominającej Chrystusa Frasobliwego. Podstawę zaś stanowi stary rozrzutnik do gnoju. Całość zdobią rolnicze narzędzia – widły czy krowi łańcuch.

Od chwili odsłonięcia w 2015 r. mobilny – wystarczy doczepić ciągnik – pomnik odbył podróż po Małopolsce, Mazowszu i Lubelszczyźnie. Był też w Warszawie – stanął przed Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Jednak, jak podkreśla sam Rycharski, najlepiej sprawdza się na wsi i jest jej dedykowany: „Wieś go bardziej potrzebuje niż miasto".

Daniel Rycharski w swym pomniku odwołuje się do innego upamiętnienia: tajemniczej ryciny Albrechta Dürera w traktacie „Pouczenie o mierzeniu cyrklem i linią", wydanym w Norymberdze w 1525 r. Wśród wielu grafik pokazujących przykłady rzutów perspektywicznych znalazła się kolumna zwieńczona figurą chłopa. Sądzi się, że wśród praktycznych przykładów prawidłowego posługiwania się geometrią w praktyce malarskiej został tu ukryty kształt pomnika poświęconego wojnom chłopskim, których artysta był świadkiem.

Monument Rycharskiego odwołuje się do obecnej sytuacji. Nawet za model do figury posłużył sołtys Kurówka. To on uosabia tę wieś, która nie chce się modernizować. „Miałem osiem krów na sześciu hektarach – opowiadał Adam Pesta w reportażu Grzegorza Szymanika opublikowanym w „Dużym Formacie" – a potem to już szkoda gadać – macha ręką – prywatyzacja, zamykanie zlewni po wsiach, normy unijne, ceny niepewne. I tak po kolei, krówka po krówce, się pozbywałem. Została jedna, krowa żywicielka, ale jak żona zakwalifikowała się na wcześniejszą emeryturę, zlikwidowałem wszystko".

Siłą „Pomnika chłopa", podobnie jak innych upamiętnień Rycharskiego, jest ↦

↦ połączenie uniwersalnej symboliki z odwołaniem do konkretnego doświadczenia, ale też włączenie w prace nad nimi lokalnej społeczności. W ubiegłym roku w samym centrum Sierpca na niewielkiej wyspie pośrodku stawu artysta ustawił fragment scenografii z „Pokłosia" – powstałe na potrzeby filmu sztuczne macewy. Dodatkowo wyspę udekorowano kwiatami ułożonymi w kolory tęczy. Ich liczba była zbliżona do liczby żydowskich mieszkańców miasta w 1939 r.

Instalacja przypominająca o wymordowanej żydowskiej ludności Sierpca, ale też o innych ofiarach przemocy, o czym wprost mówił artysta, stała się ważnym lokalnym wydarzeniem. W weekendy Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe zabierało nawet chętnych w krótki rejs łódką po stawie, by można było wyspę obejrzeć z bliska.

Odmienność

W 2017 r. na wystawie „Późna polskość" znalazła się praca Rycharskiego „Krzyż". Prosty krucyfiks ozdobiony jedynie motywem ruty – symbolem czystości i niewinności. Rzeźba powstała z drzewa, pod którym znaleziono ciała dwojga młodych samobójców. Podejrzewano, że przyczyną ich decyzji był brak akceptacji dla ich związku.

Pewnego dnia Rycharski zabrał „Krzyż" z wystawy i przeszedł z nim ulicami Warszawy. Ostatnim punktem był Pałac Prezydencki na Krakowskim Przedmieściu. Stanął tam w miejscu innego krzyża – poświęconego ofiarom katastrofy smoleńskiej. Chciał przypomnieć o innych ofiarach: homofobii. Nie chciał przy tym przeciwstawiać ofiar, lecz przypomnieć o znaczeniu samego znaku krzyża: znaku pojednania.

Na najnowszą wystawę Daniela Rycharskiego „Strachy" w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej można spojrzeć jako na opowieść o inności. Tym innym jest mieszkaniec tradycyjnej wsi, osoba nieheteronormatywna. Jednak jest to też opowieść o wierze, bardzo poważnie traktowanej. O sytuacji osoby, dla której jest ona istotnym, może nawet fundamentalnym doświadczeniem. Która próbuje odnaleźć się w polskim katolicyzmie, gdzie dla części wiernych – zwłaszcza tej medialnie widocznej – homofobia jest dziś podstawowym wyznacznikiem chrześcijańskości. I jednocześnie w świecie sztuki, w istotnej części wobec wiary indyferentnym, a bywa, że lekceważąco-pogardliwym, czy nawet wrogim.

W 2016 r. artysta wykonał „Tablicę". Wzorował się na płytach i upamiętnieniach często umieszczanych w przestrzeni publicznej i w budynkach sakralnych. Ta jest szczególna – odlano ją z elementów usuwanych podczas remontów nagrobków: niewielkich krzyży i wizerunków świętych, zazwyczaj wyrzuconych na cmentarny śmietnik. Znalazł się na niej cytat z Katechizmu Kościoła katolickiego o osobach homoseksualnych: „Powinno się traktować je z szacunkiem, z współczuciem i delikatnością. Powinno się unikać wobec nich jakichkolwiek oznak niesłusznej dyskryminacji" (KKK 23, 58). Żadna ze świątyń nie zgodziła się na umieszczenie takiej tablicy na swoim terenie. Od tego czasu narasta dystans artysty do Kościoła instytucjonalnego.

Zanim cię zbawią

„Chrześcijaństwo nasze będzie teraz polegać na dwu rzeczach tylko: na modlitwie i na czynieniu sprawiedliwości wobec ludzi. Z tej modlitwy i tego czynu dopiero musi się narodzić na nowo całe myślenie, mówienie i organizowanie chrześcijańskie" – pisał w jednym z listów więzień nazistów Dietrich Bonhoeffer. Daniel Rycharski – nawiązując do jego idei „bezreligijnego chrześcijaństwa" – przekonuje, że sztuka pozwala na znalezienie odpowiedniego dlań języka. Bo czy można być wierzącym i jednocześnie zaprzeczać sobie?

Wśród nowych prac pokazanych na warszawskiej wystawie jest „Piła". Artysta wykorzystał starą tarczę, która przez kilkanaście lat cięła bloki kamienia w zakładzie kamieniarskim Teodora Zasadowskiego we wsi Dobaczewo. To przy jej pomocy wykonano liczne pomniki i nagrobki na okolicznych cmentarzach. Potem przez lata stała nieużywana, po zmianie technologii jej wykorzystanie stało się nieopłacalne. Dziś została odczyszczona, przywrócona do życia. Dodatkowo opatrzono ją cytatem z ks. Józefa Tischnera: „Zanim cię zbawią, trzeba wiedzieć, kogo zbawić. Musisz być sobą, bo jeśli będziesz kimś innym, to akurat zbawią tego innego, a nie ciebie". © PIOTR KOSIEWSKI

Daniel Rycharski **STRACHY,** *Warszawa, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, wystawa czynna do 22 kwietnia br., kurator Szymon Maliborski.*

Zniknąć, całkowicie

JAN BŁASZCZAK

W wieku 64 lat zmarł Mark Hollis. Lider brytyjskiego zespołu Talk Talk, popowy idol, wybitny kompozytor i chorobliwy perfekcjonista. Kochał ciszę, więc pewnego dnia doskonale zamilkł.

Kiedy Mark Hollis zdobywał listy przebojów jako lider zespołu Talk Talk, nie można było przewidzieć, że mamy do czynienia z artystą, którego kariera potoczy się w tak niezwykły sposób. Owszem, już wtedy, w latach 80., miał rękę do świetnych, wpadających w ucho piosenek („It's My Life", „Such A Shame", „Dum Dum Girl"), ale nie wyróżniały się one specjalnie na tle popularnych wówczas nowofalowych utworów Duran Duran czy Spandau Ballet. Sytuacja zmieniła się podczas prac nad trzecim albumem, kiedy Talk Talk – korzystając z większego budżetu zaoferowanego przez zakochaną w nich wytwórnię EMI – zamienili syntezatory na szeroką paletę żywych instrumentów, rozciągnęli kompozycje i nadali im ciepłe, organiczne brzmienie.

Jak twierdzi menadżer zespołu Keith Aspden, tylko pod wpływem jego próśb Hollis przekomponował ostatecznie utwór „Living In Another World" oraz napisał „Life's What You Make It", dostarczając tym samym wytwórni dwa single. W ich bezpośrednim towarzystwie znajdowały się jednak utwory takie jak „April 5th" – osnuta wokół pojedynczych dźwięków organów i saksofonu kompozycja zwiastująca wypełnienie się tytułu ich debiutanckiej płyty z 1982 r. – „The Party's Over" („Koniec imprezy").

Jeśli szefowie wytwórni EMI mieli nadzieję, że minimalistyczne kompozycje z „The Colour of Spring" są tylko

ROB VERHORST / GETTY IMAGES

Mark Hollis, Amsterdam, sierpień 1984 r.

chwilową fanaberią popularnego artysty, to słuchając „The Rainbow" musieli złapać się za głowę. „Spirit of Eden" otwiera się przytłumionymi smykami i grającą gdzieś daleko w tle trąbką, która zapowiada, że od tej pory jednym z idoli Hollisa będzie Miles Davis. Dopiero w 135. sekundzie wyłania się gitara, do której po chwili dołączają perkusja oraz harmonijka nagłośniona w ten sposób, że odbiorcy wydaje się, że gra zaraz przy jego uchu. Hollis zaczyna śpiewać w czwartej minucie, kiedy utwór nabiera blues-rockowego charakteru.

Mogłoby się wydawać, że taki szeroki stylistyczny wachlarz musi owocować przytłaczającą ilością bodźców. Nic bardziej mylnego. Na „Spirit of Eden" rzeczywiście słychać bluesa i jazz, art-rock i ambient, kameralistykę i pop, a mimo wszystko najwięcej jest ciszy. W studiu pojawia się skrzypek Nigel Kennedy i asystent Karlheinza Stockhausena – Hugh Davis, ale kluczowe wydają się momenty, gdy wszystko staje i słyszymy tylko wybrzmiewający pogłos organów. Mamy tu wreszcie utwór łudząco przypominający Velvetowski hymn do heroiny i nagrany z chórem lament nad uzależnionym bratem Hollisa, ale mocniej przemawia pustka. Cisza, która odgrywa coraz większą rolę w kompozytorskim stylu Brytyjczyka: „Lubię dźwięk. Lubię także ciszę. I, w jakiś sposób, ciszę lubię bardziej niż dźwięk".

Choć album zbierał świetne recenzje, daleko mu było do wyników sprzedażowych swoich poprzedników. EMI kończy współpracę z Talk Talk, a zespół trafia do jazzowej wytwórni Verve. Tutaj Hollis może cieszyć się większą swobodą. Być może licząc na to, artysta wprowadza w życie swoje najśmielsze i najbardziej awangardowe pomysły. Jego perfekcjonizm sięga szczytów, niespotykanych w muzyce rozrywkowej przynajmniej od czasów Briana Wilsona.

O sesji, której rezultatem stał się album „Laughing Stock", krążą legendy. Płyta powstawała przez rok w studiu, z którego usunięto wszelkie zegary i zaciemniono wszystkie okna. W tych ciemnościach zjawiali się kolejni muzycy. Hollis podawał im temat, a następnie kazał improwizować. Tak zarejestrowane ścieżki wielokrotnie odsłuchiwał i zazwyczaj usuwał. Ostatecznie z około 50 zaproszonych do studia muzyków, na „Laughing Stock" słyszymy 18. Współpracownicy Hollisa twierdzą, że usunął około 80 proc. zarejestrowanej podczas sesji muzyki. W ten sposób realizował kolejną ze swoich myśli: „Zanim zagrasz dwie nuty, naucz się, jak grać jedną. I nie graj jej tak długo, jak nie będziesz miał ku temu dobrego powodu".

Po rozwiązaniu Talk Talk i nagraniu jeszcze bardziej ascetycznej płyty solowej Mark Hollis nie widział już powodów, by dłużej zakłócać ciszę. 20 lat temu postanowił zakończyć karierę. W ostatnich, udzielonych jeszcze w latach 90. wywiadach przyznawał z godną podziwu szczerością, że nie widzi możliwości, by godzić życie artystyczne z rodzinnym. Wybrał żonę i dzieci, i zniknął. Rozpłynął się w ciszy niczym jego piosenki.

Przez te 20 lat nie tylko nie nagrywał, ale nie pojawiały się też żadne wiadomości na jego temat. Dlatego pamiętam, jak bardzo zelektryzowała mnie rozmowa z Nigelem Kennedym, kiedy skrzypek napomknął, że podczas rejsu promem spotkał lidera Talk Talk. Jego zdaniem Hollis wydawał się zadowolony. Mówił, że dużo grywa na klarnecie. Być może ćwiczył dla przyjemności, ale konsekwentnie nic nie nagrywał. Może dostrzegał, że im bardziej go nie było, tym bardziej obecna była jego muzyka.

„Laughing Stock" położyło podwaliny pod rozwój post-rocka, powoływali się na nią również twórcy shoegaze'u, kompozytorzy muzyki współczesnej i producenci muzyki elektronicznej. Echa Talk Talk słychać w nagraniach Radiohead, Fleet Foxes, Sigur Rós czy Grizzly Bear. Można je znaleźć także w mniej oczywistych miejscach: w kompozycji Sławomira Wojciechowskiego czy w samplu na płycie Wojciecha Bąkowskiego. A także w pokoju, w którym piszę to pożegnanie, gdzie od lat wisi grafika przedstawiająca wspaniałą okładkę „Laughing Stock". Płyty, którą byłem do bólu zafascynowany. Wybiegłem kiedyś z koncertu muzyki współczesnej. Byłem przekonany, że w jednym z widzów rozpoznałem Marka Hollisa. Kiedy rozgorączkowany zadałem to pytanie zatrzymanemu mężczyźnie, ten odwrócił się na pięcie i uciekł przed siebie. I tyle. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że koncert odbywał się w Anglii, a klarnet odgrywał w nim ważną rolę.

25 lutego zmieniło się niewiele. Marka Hollisa jak nie było, tak nie ma. Talk Talk nie nagrywają od niemal 30 lat, a słuchacze i tak z nabożnością wracają do ich dokonań. Jednak coś się zmieniło. Od poniedziałku bez przerwy słucham Marka Hollisa. Raz za razem wracam do jego utworów i – nie bez zdziwienia – odkrywam, że odkąd całkowicie zniknął, wydaje się większy niż kiedykolwiek przedtem. ©

MATERIAŁY DYSTRYBUTORA

Stephen Dorff i Mahershala Ali w trzecim sezonie serialu „Detektyw”

Detektyw pyta o zło

JAKUB MAJMUREK

Widzom trzeciego już sezonu przebojowego „Detektywa” pozostawiona zostaje nadzieja, że dobro jest możliwe. Bardzo niewielka i majacząca na granicy zapomnienia – ale tym ciekawsza.

Podstawowa struktura opowieści detektywistycznej jest prosta. Zostaje popełniona zbrodnia naruszająca porządek społeczny. Detektyw, posługując się rozumem, sztuką dedukcji itd., wskazuje sprawcę. Ten zostaje ukarany, a porządek społeczny przywrócony i potwierdzony. Ta struktura niesie za sobą ciekawe założenia poznawcze i etyczne. Zbrodnia to zjawisko, które można poznać za pomocą odpowiednich procedur intelektualnych, jest więc mierzalne i zrozumiałe. Porządek społeczny i fundujące go poczucie sprawiedliwości – nawet jeśli ciągle zagrożone przez zło – można zatem i należy przed nim ochronić.

Trzy sezony serialu „Detektyw” (2014-19) konsekwentnie podważają tę klasyczną formułę opowieści detektywistycznej i wiążące się z nią filozoficzne założenia. Każdy sezon to nowi bohaterowie i odrębna historia, skonstruowana wokół jednej kryminalnej zagadki. Wszystkie łączy mroczny klimat, gorzka, pełna rezygnacji wizja świata, czyli odczarowany obraz głęboko zepsutej moralnie Ameryki. Stawiane tu są zaskakująco serio jak na telewizyjne standardy pytania o zło – jego źródła, utrzymujące go struktury (społeczne i nie tylko), możliwości przeciwstawienia się jego sile.

Pisarz i reżyser

Pierwszy sezon serialu (2014) stał się poważnym wydarzeniem, kolejnym dowodem na siłę serialowej rewolucji. W głównych rolach obsadzono hollywoodzkich aktorów, którzy od wejścia na pewien poziom kariery filmowej rzadko pojawiali się na małym ekranie – Woody’ego Harrelsona, Matthew McConaugheya i Michelle Monaghan. McConaughey jako ciężko doświadczony przez życie detektyw Rust Cohle stworzył teraz najlepszą rolę w karierze.

Za kamerą wszystkich ośmiu odcinków stanął Cary Joji Fukunaga – obiecujący reżyser mający wtedy za sobą „Ucieczkę z piekła” niezależny film o emigrantach z Ameryki Środkowej uciekających od biedy i przemocy do Stanów, oraz nastrojową, gotycką adaptację „Jane Eyre” z gwiazdorską obsadą.

Rzadko zdarza się, by jeden reżyser odpowiadał za cały sezon serialu. Ten ruch w przypadku pierwszego sezonu „Detektywa” okazał się strzałem w dziesiątkę. Fukunadze udało się zbudować nastrój narastającego z odcinka na odcinek poczucia absurdu, rozpadu świata, koszmaru bez wyjścia. Serial kręcił z produkcyjnym rozmachem godnym wielkiego ekranu. Sfilmowana w jednym ujęciu, trwająca sześć minut scena, w której Cohle, działając pod przykryciem w gangu motocyklowym, atakuje wspólnie z jego członkami siedzibę konkurencyjnego gangu, wpadając przy tym w zasadzkę policji, robiłaby wrażenie w każdej hollywoodzkiej superprodukcji.

Ważniejszy od reżysera dla sukcesu serii był jednak ktoś inny – scenarzysta i showrunner Nic Pizzolatto. Trafił do telewizji ze świata literackiego i akademii. Zanim zaczął karierę pisarza i scenarzysty, przez lata pracował jako wykładowca literatury na różnych amerykańskich uczelniach. Przekwalifikowując się na scenarzystę nie porzucił ambicji ze świata akademickiego.

W wywiadach po premierze pierwszego sezonu „Detektywa" chętnie mówił o literackich i filozoficznych inspiracjach, którymi kierował się pisząc serial. Wskazywał na takich myślicieli jak Eugene Thacker, Ray Brassier czy David Benatar.

Ten ostatni to jeden z najbardziej prominentnych i konsekwentnych przedstawicieli antynatalizmu, nurtu zniechęcającego z przyczyn etycznych do posiadania dzieci. Benatar stoi na stanowisku, iż powoływanie nowego życia ludzkiego jest etycznie niewskazane. Towarzyszącego ludzkiej egzystencji cierpienia nie da się bowiem ani wyeliminować, ani nadać mu żadnego sensu. Nawet jeśli człowiek ocenia swoją egzystencję jako szczęśliwą, to za sprawą poznawczych błędów. Brassier z kolei prowadzi refleksję nad nihilizmem jako powszechnym horyzontem doświadczenia, będącego naszym udziałem co najmniej od czasów oświecenia. Wzywa przy tym filozofię, by w pełni przemyślała i wyciągnęła konsekwencję z doświadczenia nihilistycznego, zamiast uciekać przed nim w różne konstrukcje – religijne i nie – próbujące nadać sens ludzkiej egzystencji.

Mroczna podszewka

Wystarczy kilka odcinków, by przekonać się, że inspiracje, na które powołuje się Pizzolatto, faktycznie pracują w kreacji świata przedstawionego „Detektywa". Zwłaszcza w pierwszym sezonie. Grany przez McConaugheya Rust Cohle zachowuje się jak apostoł nihilistycznej złej nowiny. W złośliwych bon motach mówi o bezsensie ludzkiej egzystencji, absurdzie cierpienia, iluzjach, którymi karmi się człowiek – „świadome mięso". Bezsens i cierpienia zna z pierwszej ręki. Stracił dwuletnią córkę w wypadku samochodowym, co zniszczyło jego małżeństwo. Przeszedł przez uzależnienie od narkotyków i otarł się o śmierć. Gdy poznajemy go w serialu, żyje sam, bez żadnej rodziny i przyjaciół. Stara się nie pić i nie sięgać po narkotyki – zamiast tego odurza się pracą, którą zabiera do domu, poświęcając jej każdą wolną minutę.

Przeciwieństwem Rusta jest jego policyjny partner, Marty Hart (Harrelson). Wydaje się okazem zdrowia i zadowolenia z życia. Wierzy w konwencjonalną mądrość i nie kwestionuje otaczającej go rzeczywistości, panujących w niej reguł i hierarchii. Jest zadowolony z miejsca, które zajmuje jako biały policjant na amerykańskim Południu na przełomie XX i XXI w. Jego codzienna etyka opiera się przede wszystkim na towarzyskości, konwencjonalnych więziach budowanych z rodziną, kolegami z pracy, sąsiadami. Nie jest ona z pewnością spójna – Marty nie ma problemu, by łączyć przywiązanie do rodziny z licznymi romansami – ale wydaje się znacznie zdrowsza dla Marty'ego niż samoudręczenie Cohle'a.

Jednak to Cohle okazuje się mieć w serialu rację. Śledztwo, które dwójka detektywów prowadzi w sprawie seryjnego mordercy popełniającego okrutne, groteskowe zbrodnie na tle seksualnym, odsłania przed nimi mroczną, postawioną na głowie rzeczywistość. W opowiadaniu „Młody Goodman Brown" Nathaniel Hawthorne przedstawia alegoryczną historię tytułowego bohatera, mieszkańca XVII-wiecznego, purytańskiego Salem. U progu dorosłości Brown razem z żoną zostają wezwani na tajemniczą, rozgrywającą się nocą ceremonię w środku lasu, gdzie cała chrześcijańska społeczność ich miasteczka oddaje cześć diabłu w świetle księżyca. Dzienny, purytański porządek Salem może istnieć o tyle, o ile ma swoje dopełnienie w mrocznym, diabelskim, gdzie wszystkie instytucje utrzymujące za dnia ład zostają postawione na głowie i działają jako swoje przeciwieństwo. Śledztwo w pierwszym sezonie „Detektywa" okazuje się dla Marty'ego i widzów podobnie inicjacyjnym doświadczeniem, co noc z opowiadania Hawthorne'a dla Goodmana Browna. Detektywi odsłaniają mroczną podszewkę rzeczywistości, przerażający cień, który w nocy rzuca świat za dnia mogący uchodzić za zasadniczo dobry i mniej lub bardziej racjonalnie urządzony.

„Świat staje się coraz bardziej nie do pomyślenia – pełen planetarnych katastrof, wzbierających pandemii, pogodowych anomalii (...) i ukrytego, ciągle wiszącego nad nami lęku przed masowym wymieraniem" – tak zaczyna swoją książkę „In the Dust of This Planet" Eugene Thacker, jeden z filozofów wymienianych przez Pizzolatta jako inspiracja. W pierwszym sezonie „Detektywa" nie trzeba nawet katastrofy ekologicznej, by świat stał się miejscem nie do pomyślenia. Zło czai się w nim w samym sercu porządku społecznego Luizjany. W system jego społecznej reprodukcji uwikłane są kluczowe dla amerykańskiego Południa instytucje: rodzina, zorganizowana religia, własność i wyznaczana przez nią hierarchia społeczna, prawo i organy stojące na jego straży.

Jeśli dwójce detektywów w końcu udaje się uderzyć w jedno z centrów zła, to tylko dlatego, że zaczynają działać obok prawa. W finale pozostajemy pełni wątpliwości, czy po tym, co zobaczyliśmy, można mówić, że sprawiedliwość i porządek społeczny zostały przywrócone. Otchłań, która za sprawą śledztwa odsłania się pod światem codziennych relacji społecznych, ani trochę się nie oddala za sprawą końcowego zwycięstwa Rusta i Marty'ego.

Niepamięć

Krytycy często wysuwali zarzut, że Pizzolatto nie potrafił przekonująco pokazać, dlaczego przegrany, odrzucający wszelką pociechę, jaką mogłyby nieść rodzina, przyjaźń czy religia, Rust pozostaje wierny bardzo surowej, pozbawionej nadziei na ostateczny sens własnych działań etyce, nakazującej działanie w obliczu zła. W drugim sezonie, tworzonym przez Pizzolatta już bez Fukunagi, twórcy próbują silniej ugruntować straceńcze działanie bohaterów w miłości. Mimo zaangażowania gwiazd jeszcze większych niż w pierwszym sezonie (Colin Farrell, Rachel McAdams), drugi powszechnie uznano za rozczarowanie. Zabrakło spójnej wizji narastającego koszmaru, sprawności w opowiadaniu historii.

Zakończony właśnie sezon trzeci „Detektywa" wraca do znakomitej formy z pierwszego. Figurą organizującą narrację jest śledztwo toczące się na trzech planach czasowych, przeplatających się w każdym odcinku: w 1980 roku, gdy w małym miasteczku na północy stanu Arkansas zamordowany zostaje chłopiec, a jego siostra znika bez śladu; na początku lat 90., gdy w świetle nowych faktów sprawa zostaje ponownie otwarta; oraz współcześnie, gdy jeden z detektywów – Wayne Hays – ciągle próbuje wyjaśnić, co się właściwie stało prawie cztery dekady temu.

Hays (świetna rola tegorocznego zdobywcy Oscara, Mahershali Alego) cierpi na demencję. Często orientuje się na środku ulicy, że nie wie, gdzie się znajduje, dokąd i po co idzie. Demencja wypacza także jego obraz przeszłości i zbrodni, która się w niej dokonała. A ponieważ to on jest wprowadzającym w nią widzów narratorem, nigdy nie wiemy, na ile możemy ufać temu, co widzimy. Czy starszy, schorowany człowiek wie, co mówi. ↦

↦ Taki narracyjny chwyt problematyzuje czołowe założenie narracji detektywistycznej o możliwości rozumowego poznania zbrodni. Tu rozum okazuje się bezradny wobec samego siebie, jego wysiłki zrozumienia przeszłości okazują się daremne. Myśli pożera choroba i niesiona przez nią niepamięć. Gdy dochodzi na końcu do rozwiązania zagadki, nie wiemy, czy tak naprawdę nie jest to złudzenie chorego człowieka. A nawet jeśli przyjmiemy, że umysł Haysa wbrew wszystkim swoim ograniczeniom odkrył prawdę, to możemy się obawiać, że najpewniej zaraz o niej zapomni.

Bezsiła i siła dobra

Trzeci sezon serii można też czytać jako autopolemikę z pierwszym. Tam zło miało epicki, apokaliptyczny, absolutny wymiar. Tu jest przede wszystkim banalne. Bardziej niż z przenikającego wszystko zepsucia wynika z ułomności, głupoty, niewiedzy. Czasem nawet z nieprzewidzianych konsekwencji prób czynienia dobra. W tej diagnozie Pizzolatto zbliża się do klimatów „Fargo" (1996) – filmu braci Coen oraz zainspirowanego nim serialu Noah Hawleya (2014).

W przeciwieństwie do „Fargo", w trzecim „Detektywie" trudno szukać wiary w paradoksalną, mimowolną siłę moralnej poczciwości i niespektakularnego, cichego dobra. Ale dobro tym niemniej – inaczej niż w dwóch pierwszych sezonach – po raz pierwszy tak wyraźnie pojawia się w telewizyjnym świecie Pizzollatta. Twórca pozostawia otwartym pytanie o jego siłę w starciu ze światem. Ale już samo przyznanie, że ono istnieje, to dużo.

Goodman Brown z opowiadania Hawthorne'a w trakcie pamiętnej nocy w lesie odmawia przyłączenia się do mrocznego, diabelskiego rewersu społeczności Salem. To, co widział, na zawsze pogrąża go w głębokiej nieufności do swojego miasta i sąsiadów, wytwarza w nim przekonanie o upadku i zepsuciu ludzkiej natury. Gdy umiera, na jego grobie nikt nie potrafi wypisać choćby jednego zdania dającego nadzieję – nic niż nadzieja nie było bowiem Brownowi bardziej obce.

© JAKUB MAJMUREK

Zapach człowieka

ANITA PIOTROWSKA

Film Alice Rohrwacher przerabia społeczny gniew na magiczną i wielce nieortodoksyjną przypowieść o świętości.

Wszyscy pamiętamy ten fragment „Ferdydurke": bohaterowie trafiają do wsi, której mieszkańcy witają przybyszów wściekłym ujadaniem. Odczłowieczani przez wieki folwarcznej niedoli, takim sposobem zaczęli uwewnętrzniać swoją degradację. Włoska reżyserka Alice Rohrwacher zapewne Gombrowicza w swych lekturach przeoczyła, ale jej fantazja o włoskich wieśniakach, którzy u progu XXI wieku nie zauważyli, że dawno temu zniesiono pańszczyznę i traktowani są przez dziedziczkę niczym zwierzęta robocze, wychodzi na spotkanie tamtej wizji.

Tytułowy bohater „Szczęśliwego Lazzara" wyje do księżyca – wilcza kondycja staje się tu namiastką wewnętrznej wolności. Bo ta zmysłowo-surrealistyczna baśń, swobodnie dryfująca w czasie i bardzo luźno oparta na faktach, które miały miejsce w środkowych Włoszech, traktuje o różnych formach współczesnego niewolnictwa. To jednak tylko punkt wyjścia.

Cudowna jest przede wszystkim sama aura tej historii: mroczna i zarazem słoneczna – przynajmniej do momentu, kiedy mieszkańcy wioski Inviolata, nietkniętej (*nomen omen*) przez cywilizacyjne zmiany, dowiadują się, że bycie własnością markizy Alfonsiny, zwanej królową papierosów, oraz ich wiernopoddańczy strach wcale nie muszą być przyrodzonym stanem. Filmowa rodzina i jej sąsiedzi, harujący od pokoleń na plantacji tytoniu, by odpracować rzekomy dług, wydają się szczęśliwi mimo swojej podłej kondycji, jako że innej po prostu nie znają. Feudalny łańcuch zależności odtwarza się zresztą w obrębie samej wspólnoty: wszyscy bez skrupułów wykorzystują Lazzara – łatwowiernego sierotę i bożego prostaczka, który na przekór wszelkim perypetiom potrafi ocalić w sobie niewinność (w tej roli świetny naturszczyk Adriano Tardiolo).

Czy film Rohrwacher jest rzeczywiście aż tak naiwny jak jego bohater? Wchodząc w baśniową konwencję, reżyserka wykonuje niespodziewany skok do współczesności. Lazzaro ze swojskiej i bezpiecznej niewoli trafia do dużego miasta, gdzie uchodźcy licytują się z miejscowymi nędzarzami o najniższą stawkę za godzinę pracy. W trakcie wielkich migracji ze wsi do miast czy z południa na północ feudalne relacje zostały zastąpione bardziej cywilizowanymi formami ekonomicznej przemocy. Bogaci nadal wyzyskują biednych, ale ci ostatni zaczynają wreszcie brać odwet, okradając i oszukując bogatych. I choć folwarczny karbowy musiał odnaleźć się w nowej roli, a dawni państwo nawet w obliczu własnej materialnej degradacji będą pielęgnować wyższość i pogardę, to słynne zdanie „niech jedzą ciastka" nabiera we włoskim filmie wielce przewrotnej wymowy.

Na to wszystko patrzymy oczami „świętego idioty", który tęskni za swoim dawnym paniczem, wierząc przy tym, że znudzony Tancredi (gra go gwiazda włoskiego popu Luca Chikovani) jest jego przyrod-

AURORA FILMS

Kadr z filmu „Szczęśliwy Lazzaro”

nim bratem. Cuda, jakich doświadcza i czyni Lazzaro, bo przecież nie tylko o biblijne wskrzeszenie Łazarza w filmie chodzi, podszyte są marzeniami o świecie lepiej urządzonym. „Zapach dobrego człowieka”, który pozwala głównemu bohaterowi zmartwychwstać i godnie kroczyć dalej, okazuje się nader ekscentrycznym bukietem.

Niby więc słodko, choć jednak ironicznie brzmi powracający motyw z arii „Casta Diva” Belliniego, będącej modlitwą błagalną do pogańskiej bogini księżyca – filmowa markiza nosi wszak nazwisko De Luna. Ósme preludium Bacha upiększa pospolite twarze, biedę i codzienny znój niczym w filmach Pasoliniego czy braci Tavianich, ale najbardziej uszlachetniony spośród plebejskich bohaterów jest jednocześnie przybyszem z zupełnie innego porządku. U Rohrwacher cała rzeczywistość, z Kościołem włącznie, ma bowiem charakter przyziemny i postfeudalny – w Inviolacie ksiądz święci młockarnię, przy której uwijają się pańszczyźniani chłopi, a markiza naucza katechizmu niepiśmienne parobczańskie dzieci, by konserwować dotychczasowy *status quo*. Dlatego tak silne akordy uruchamia scena z miejskiej świątyni, gdzie Lazzaro i jego bezdomni towarzysze chcieliby wysłuchać muzyki organowej, lecz zostają przepędzeni – puentę, a właściwie jej wspaniałe rozwinięcie dźwiękowe, pozostawię przyszłym widzom.

Ludyczny, wypełniony regionalnym folklorem klimat wioski i majestatyczna natura górzystego Lacjum stanowią dla bohaterów jedyne prawdziwe, ogólnie dostępne *sacrum*. Reszta zdaje się sztucznym i nietrwałym barachłem. Włoska reżyserka, odrobiwszy lekcje u neorealistów, nakręciła miękki film zaangażowany, który nie wstydzi się swojej tęsknoty za cudem, a jednocześnie trzyma się mocno ziemi. Przepełniony witalnym humorem, wykluczenie traktuje w kategoriach podwójnego lęku: wykluczonych przed wykluczającymi i *vice versa*. Szczęśliwy Lazzaro nie prowadzi nas na barykady, lecz przynosi ze sobą rześki powiew anarchii. Podobnie działa „Lazzaro” pisany w cudzysłowie, albowiem obraz Rohrwacher konsekwentnie lekceważy nasze oczekiwania i fabularne konwencje. Uruchamiając zwariowany wehikuł, krąży nie tylko po różnych płaszczyznach czasowych, ale także między tym, co wyobrażone, i tym, co do bólu realne. ©

SZCZĘŚLIWY LAZZARO *(Lazzaro felice) – reż. Alice Rohrwacher. Prod. Włochy/ /Szwajcaria/Francja/Niemcy 2018. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 8 marca.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [7 – 15 III]

1. Ajka

Dramat, reż. Siergiej Dworcewoj, reż. Rosja/ /Polska i inne 2018, Ale kino+, 7 III, 20.10, 10 III, 17.50

Współczesna Moskwa to miasto walczących o przetrwanie imigrantów z byłego ZSRR. Ajka jest jedną z nich – aby przeżyć, porzuca w szpitalu swoje nowo narodzone dziecko. Grająca tytułową rolę Samal Jesljamowa otrzymała Złotą Palmę w Cannes. Na szczególną uwagę zasługują również zdjęcia Jolanty Dylewskiej.

2. Leaving Neverland

Dokumentalny, reż. Dan Reed, USA/ /Wielka Brytania 2019, HBO GO, od 8 III

Dwuczęściowa koprodukcja BBC to jeden z najbardziej dyskutowanych filmów tego roku. Przed kamerami stają James Safechuck i Wade Robson, którzy w dzieciństwie mieli być molestowani przez Michaela Jacksona. Po latach psychoterapii po raz pierwszy zdecydowali się wypowiedzieć publicznie na ten temat. Co tak naprawdę wydarzyło się w posiadłości Neverland Ranch?

3. Goscinny

Dokumentalny, reż. Guillaume Podrovnik, Francja 2017, Planete, 9 III, 22.00

Bywa nazywany „ojcem francuskiej popkultury”. Pochodzący z polsko-żydowskiej rodziny René Goscinny to przede wszystkim autor ponadczasowej serii książek o Mikołajku i komiksów o Asteriksie. Dokument przybliża postać zmarłego w 1977 r. pisarza na tle przemian kulturowych zachodzących w powojennej Francji.

4. Król wyjęty spod prawa

Biograficzny, reż. David Mackenzie, USA/Wielka Brytania 2018, Netflix

Niepokazywany w naszych kinach film twórcy „Aż do piekła” opowiada historię średniowiecznego szkockiego hrabiego Roberta Bruce'a, który zostaje królem i musi stawić czoło angielskiej potędze. W przeciwieństwie do hollywoodzkich filmów typu „Braveheart”, ten mierzy się nie z legendą, ale przede wszystkim z faktami.

JAN

Klata: *Science fiction*

W Pradze dużo ludzi czyta dużo książek. W związku z tym w Pradze jest dużo księgarni. Żeby się prażanie nie pogubili w gąszczu liter, w księgarniach są różne działy tematyczne. Biblia i Koran umieszczone zostały w kategorii „sci-fi & fantasy", obok m.in. Ursuli Le Guinovej („Levá ruka tmy"). Hańba! Skandal! Bluźnierstwo! Przejaw ewidentnego zezwierzęcenia pogańskich braci Czechów, który wszak nas ochrzcili przez Wojciecha, nasz kostel nazwali kościołem, a katedralę katedrą. Tak było ongiś, drzewiej, a teraz co? Żarty niesmaczne się ich trzymają, dowcipnisiów pogańskich, Pepiczków niebacznych, o życie wieczne niedbających, przedstawicieli Kościoła nienasłuchujących. Pobłądziły życiowo czarne czeskie owieczki, chrześcijan w Pradze 15 procent, Praga stolicą światowego ateizmu, kostely i katedrale puste od wyznawców, co to ich nie ma, za to pełne turystów *made in China*, co to tylko focą (czyli robią zdjęcia).

Po gościnnych występach „Wroga ludu" na festiwalu w Pradze widzowie pytali, dlaczego Doktor Stockmann i jego brat burmistrz konsumują LSD – a oni dzielili się opłatkiem. Ech, różnice kulturowe między braćmi Słowianami...

Tak sobie myślę, że dzięki postawie wielu rodzimych pożal się Boże hierarchów dożyję jeszcze czasów, kiedy w warszawskiej (a może nawet i krakowskiej!) księgarni Biblia Tysiąclecia umieszczona zostanie w dziale *science fiction*. Nie, nie wydaje mi się to śmieszne, wydaje mi się to nieuniknione, scenariusz zupełnie nie z gatunku *fantasy*, niestety. Polscy duszpasterze na urzędach *ex cathedra* ręka w rękę z obozem rządzącym masowo realizują czeski, hiszpański, francuski scenariusz – nie muszą wchodzić do Europy, przecież oni zawsze w niej byli. Syndrom oblężonej twierdzy w okopach nieświętej trójcy.

Owieczki mają dość. Zaraz będzie za późno. ©

Lektor: *Kwiatkowska, czyli tajemnica*

▪ *Marcin Wilk*
KWIATKOWSKA. ŻARTY SIĘ SKOŃCZYŁY
Wydawnictwo Znak, Kraków 2019, ss. 394

Zawsze jest tak samo: oglądając Wieczór XII niedoścignionego kabaretu niecierpliwie czekam, kiedy rozlegnie się złowroga introdukcja muzyczna i nieznani sprawcy podrzucą Starszym Panom hrabinę Tyłbaczewską. Do „Wojny domowej", w której hrabina – przepraszam, Irena Kwiatkowska – gra matkę Pawła, też mógłbym wracać w kółko. Kim była w realnym życiu Hermenegilda Kociubińska, doktorowa Praszczadkowa, Kobieta Pracująca? Marcin Wilk przekonał się, że odpowiedź nie jest łatwa, bo jego bohaterka na swój temat chętniej milczała niż mówiła, zachowywała dystans wobec ludzi i nie należała do kręgów teatralnej bohemy. Jeśli więc ktoś spodziewa się po tej książce feerii dowcipów i zabawnych anegdot – będzie rozczarowany. Gdyby natomiast chciał po prostu zbliżyć się do tajemnicy, jaką w istocie okazuje się osobowość wielkiej aktorki – to jest lektura dla niego.

„Muszę mieć w swej świadomości to poczucie, że moje warunki zewnętrzne na scenie wrażeń estetycznych nie zaspokoją – notuje w latach 30. XX w. w pamiętniku. – Począwszy od niełądnej twarzy, acz może miłej, do nóg nieszczególnie zbudowanych. Głos mały, nieco za wysoki". Przyznaje sobie „stuprocentowy nerw sceniczny", temperament, szczerość odczucia i „zupełny brak maniery", ale autokrytycyzm skłania ją do szczególnie wytężonej pracy – choć do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej dostaje się ze znakomitym wynikiem. Pracoholizm i perfekcjonizm odnoszący się zarówno do tekstu (który często zmieniała), jak i np. do kostiumu, zostanie jej na zawsze.

A wspomniany pamiętnik, do którego dotarł Marcin Wilk, prowadzony od 1925 r. przez ponad dziesięć lat, jest nieocenionym świadectwem kształtowania się artystki, w tym także jej religijności. Później takiego źródła zabrakło – zostaną niezbyt liczne wywiady, relacje najbliższych, zwłaszcza bratanicy Krystyny, i współpracowników. Żadnych głośnych skandali, w 1948 r. małżeństwo z Bolesławem Kielskim, świetnym spikerem radiowym, w latach 60. gwiazdą telewizyjną (teleturniej „Kółko i krzyżyk"!), a nieco wcześniej – współpracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych podróżującym w tajemniczych misjach. Małżeństwo z woli obojga bezdzietne i chyba szczęśliwe. Gdy Kielski ciężko zachoruje, Kwiatkowska będzie się nim opiekować aż do śmierci. Sama dożyje niemal stu lat w Domu Aktora w Skolimowie. Uwielbiana, fetowana – i zawsze osobna. ©℗

PAWEŁ

Bravo: *Walka postu z postowaniem*

Siedemnaście milionów. Tyle wisi na Instagramie zdjęć z hasztagiem #pasta. Po raz kolejny próbowałem oswajać się z tym narzędziem, wstukałem więc pierwsze lepsze hasło, jakie kojarzy mi się z jedzeniem. Nie powiem, byłem dzielny, dopiero po pierwszym tysiącu zaczęło mnie ssać w żołądku. Ale nie z głodu bynajmniej – to była raczej organiczna reakcja na świadomość, że jestem tak bardzo i zupełnie nie u siebie. Nasze mózgi są przystosowane do utrzymywania 150 relacji społecznych, powiadają antropologowie. Analogicznie, jak sądzę, są przystosowane do oglądania ze smakiem i ślinką kilku potraw dziennie. Przebicie tej bariery o kilka rzędów wielkości daje taki efekt, jakbyśmy zostali wrzuceni w sam środek tysięcznego tłumu z rozkazem, żeby zamienić kilka słów z każdym obecnym.

Prawdę pisali w pewnej angielskiej gazecie, że makaron raczej kiepsko wypada na instagramowych zdjęciach. A pisali to w kontekście zdumiewającego w dzisiejszych warunkach trendu – młodzi ludzie, z pokolenia millenialsów, na potęgę wcinają kluchy. Pomimo że to przecież pszenica, i to taka pełna glutenu. Pomimo że to węglowodany, a więc kalorie, z pewnością puste. Ale głównym powodem zdziwienia autorów raportu o trendach w gastronomii było co innego: młodzi jedzą coraz więcej makaronu i stoją w ogonkach do włoskich knajp serwujących kluski na obiad bez względu na fakt, że to nie wychodzi zbyt ładnie na Instagramie. Co takiego jest – próbują dociec znawcy obyczaju – w białoszarej, glutowatej masie makaronu *cacio e pepe* z restauracji Padella, że wedle „Observera" był w zeszłym roku najczęściej fotografowanym daniem w Londynie?

Jedzą więc i postują... a może tylko postują, kto ich tam wie, czy tknęli widelcem to niepoprawne dietetycznie dobro? Oto post zamienia się w postowanie – w gruncie rzeczy to dość podobne doświadczenie, bo ciało się przy tym nie nasyci. Tyle że postując zamiast pościć, podkręcamy ego i wywyższamy się przed bliźnim, a to jednak nie po drodze z pokorą. W każdym razie bez postowania nie ma posiłku, zdają się zakładać jako coś oczywistego znawcy obyczajów millenialsów. Jedzenie już całkiem dołącza do seksu na liście węzłowych zagadnień życia mających jedynie postać zaoczną. Ta „prawdziwa" rzecz stwarza za dużo problemów, jest brudna, uwikłana w emocje potencjalnie nieprzyjemne, pachnie potem i czosnkiem, grozi ciążą/zgagą/otyłością, niepotrzebne skreślić.

Niepotrzebni zostaną skreśleni. Termin „Zachód" należałoby zamienić na pokrewny „Zmierzch". Ale zdaje się, że w końcowej fazie instagramozy nikt jeszcze nie dostrzegł innego aspektu – warto go wspomnieć przed 8 marca. Mimo wszystkich emancypacji i programów antydyskryminacyjnych, mamy nadal całkowicie męski świat. Jedzenie jako popis – jakie to męskie. Statusowa feeria wizualnych majstersztyków, danie traktowane jak dzieło sztuki, eksperyment i zaskoczenie jako cel sam w sobie. Pod rządami zasady nadzwyczajności próżność, nadmiar, marnotrawstwo wyznaczają sukces. To nurt kuchni niegdyś ściśle związany z ostentacją bogactwa i afirmacją statusu w najwyższych warstwach społecznych, niezmiennie rozwijany i kultywowany przez kucharzy, znawców i smakoszy. Im bardziej oderwany od cielesności, od głodu, trawienia i wydalania, tym lepiej. Jakież to niesmaczne: jeść, żeby się najeść! – tak mogą robić tylko dzieci lub ludzie z gminu, którzy mentalnie wciąż tkwią w nieoświeconym dziecięctwie. Tak robią ci, którzy wracając z pola do domu wołają do swojej baby: żryć!

A baba stała pół dnia przy garach, mieszając pracowicie polentę albo skrobiąc ziemniaki. Kto by się tam zajmował tym, co też ona umie gotować. Nawet gdyby umiała, to z trójką zasmarkanych bachorów przy fartuchu wiele nie zdziała. Nie posieka raczej marchewki w *julienne*, nie posypie pieczeni jadalnymi bratkami, nie pomyśli, jak ułożyć truskawki, by przypominały czubek pewnej części męskiego ciała (to nie ja to wymyślam, to Magda Gessler, wielka sojuszniczka paleolitycznego maczyzmu w kuchni). Troska jako danie podawane codziennie na obiad nie da się sfotografować. Tam, gdzie ikonosferą rządzą męskie wartości, przejawy kobiecej siły tworzenia i ciepła będą zawsze mdłe, nieefektowne, właściwie wtopione w tło.

Kobieca energia, wtopiona w tło coraz bardziej męskiego świata, czeka, czy ją jednak wydobędziemy i wpuścimy w obieg społeczny. Czy znajdzie się dla niej dla równowagi miejsce przy naszych stołach. Oczywiście przerysowuję i przesadzam, ale tylko trochę. Talerz klusek, miska zupy, cierpki kisiel ze śmietaną... ostatni moment, żeby odłożyć telefony. ©℗

ADOBE STOCK

W epoce płynnych tożsamości nie będzie to przekroczenie tabu, gdy wyznam, że w kuchni częściej czuję się jak matka niż ojciec. Już dawno żaden zasmarkany bachor przy mnie nie biega, jednak pamiętam, jak np. robiłem dość efektowny makaron w 10 minut, oszukując pośpiech i domowe nieogarnięcie. Wrzucamy do gotowania 400 g długiego makaronu (najlepiej linguine, czyli rozpłaszczone spaghetti). W tym czasie mieszamy ze sobą łyżeczkę majeranku, posiekane 5 listków szałwii i kilka igieł rozmarynu (oczywiście najlepszy efekt, kiedy świeże – w naszych sklepach coraz częściej widuję np. hiszpański rozmaryn cięty w gałązkach, świetny!). Do miski wrzucamy 250 g serka śmietankowego typu np. „Ostrowia" czy „Twój smak" z Piątnicy, dodajemy zioła i garść tartego parmezanu, rozrabiamy z 50 ml mleka, przekładamy na patelnię, dolewamy chochelkę wody z makaronu, delikatnie mieszamy i chwilę podgrzewamy. Przerzucamy na patelnię ugotowany makaron, intensywnie mieszamy. Możemy zaostrzyć na wydaniu pieprzem lub papryczką.

ZMYSŁY

ZIEMIA JEST PLANETĄ

NICOLE STOTT, ASTRONAUTKA I MALARKA:

Ten widok, gdy go już raz ujrzysz, staje się częścią ciebie. Widać stamtąd, że nie ma czegoś takiego jak druga strona globu.

NASA

Wschód Ziemi widziany z Księżyca, 24 grudnia 1968 r.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Woda w stanie nieważkości sprawia sporo kłopotów: unosi się w formie kulek, astronauci muszą pić przez słomkę. Jak to możliwe, że w ogóle zdołałaś malować akwarelami na orbicie?

NICOLE STOTT: Było z tym mnóstwo zabawy. Nie zanurza się pędzelka w kubku z wodą, bo nie można mieć kubka z wodą. Trzeba wycisnąć maleńką kulkę wody z woreczka do picia i dotknąć jej pędzlem. Wyglądało to naprawdę zgrabnie: myślałam, że woda połączy się z włosiem pędzla, jak na Ziemi, ale nie – mogłam zaobserwować, jak tuż przed dotknięciem wodna kulka sama chce wskoczyć na pędzel, jakby coś – pewnie napięcie powierzchniowe – ją przyciągało. Po zetknięciu kulka wody unosiła się wokół pędzla. Podczas mieszania z farbą woda zdawała się rwać ku niej, a rozwodniona farba – wskakiwać z powrotem na pędzel. A malować trzeba było ostrożnie, bo gdyby się dotknęło papieru pędzlem, cała ta kolorowa woda rozprysnęłaby się na nim naraz. Trzeba było przeciągać po papierze kulką barwnej wody, a nie samym pędzlem.

ARCHIWUM PRYWATNE

Przed sobą ma się nieopisanie piękny widok Ziemi z kosmosu, ale za plecami – nieskończoną pustkę. To napięcie inspiruje?

Patrzysz w dół i dociera do ciebie: o kurczę, żyjemy na planecie! Nie myślałam o tym zbyt wiele, zanim nie poleciałam w kosmos. W przedszkolu uczyłam się, że Ziemia jest planetą, ale w codziennym, pośpiesznym życiu nie liczymy się z tym, że naszym sąsiedztwem jest reszta planety w kosmosie. A nie da się temu zaprzeczyć, gdy patrzy się przez okno stacji. Nie da się też wtedy nie odwrócić i nie spojrzeć za siebie, w najczarniejszą, najczystszą czerń, jaką widziałam w życiu, a w której ta nasza planeta jest zawieszona. Z każdym pytaniem, które sobie kiedykolwiek zadawałeś o nieskończoność, siebie samego i swój cel, tam nagle stajesz oko w oko. To wszechogarniające wrażenie. Zdajesz sobie sprawę, że nie ma na tej planecie niczego, co nie łączyłoby się jakoś z wszystkim innym. Widzisz planetę na tle nieskończoności.

Odczuć i emocji, które wyraża się przez sztukę, doświadczamy też przez ciało, a ono na orbicie wystawiane jest na ciężkie próby: mdłości, dezorientacja, stres...

Miałam szczęście, że nie doświadczyłam tego kilkudniowego etapu złego samopoczucia, który dotyka wielu astronautów. Ale obserwowałam członków mojej załogi, którzy przez to przechodzili, i wiesz co? Nawet przy całym tym bólu, dezorientacji, mdłościach – wciąż pragnęli się ciągle gapić przez okno. Bo ten widok, gdy go raz ujrzysz, staje się częścią ciebie. I zaczynasz szukać sposobu, żeby o nim opowiedzieć.

Ale nie trzeba lecieć aż w kosmos, żeby tego napięcia i tego wrażenia doświadczyć. Wystarczy spojrzeć w niebo: w dzień nasza atmosfera wydaje się rozciągać bez końca, a tymczasem w bezchmurną noc widać ten bezmiar kosmosu, przed którym chroni cię jej cienka warstwa.

Na orbicie astronautę otacza coś znacznie ulotniejszego i bardziej zawodnego niż nasza atmosfera – technologia.

Często pytają mnie, czy się bałam. To nie był strach. To był respekt. Świadomość środowiska, w którym się znajduję, i odpo-

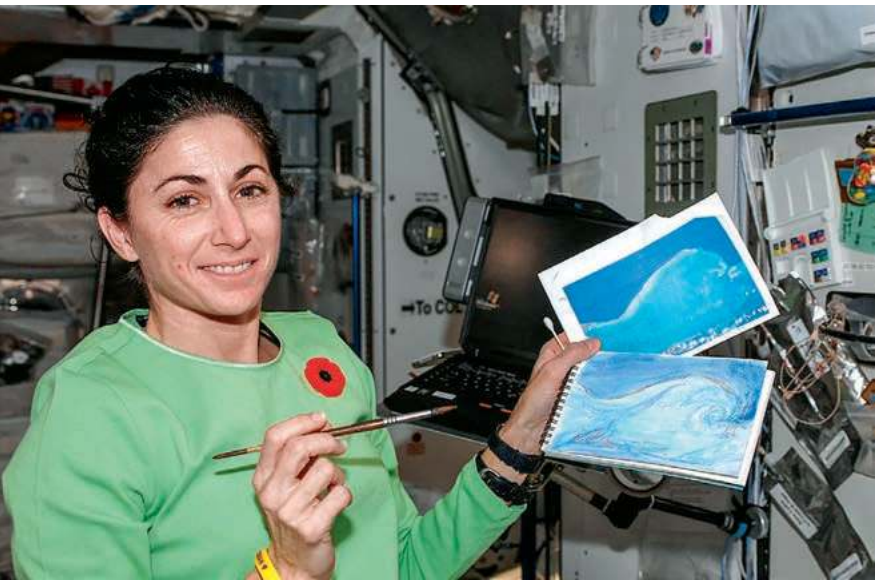

NICOLE STOTT (ur. 1962) jest astronautką, inżynierem, aquanautką, pilotką, malarką i edukatorką.
W NASA pracowała 27 lat. W kosmos latała dwukrotnie (w 2009 i 2011 r.), na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) spędziła 91 dni. Latała na pokładach wahadłowców Atlantis i Discovery (brała udział w ostatnim locie tego promu 24 lutego – 9 marca 2011 r.). Odbyła również przeszło sześciogodzinny spacer kosmiczny. W 2006 r. członkini podwodnej misji NEEMO 9, w ramach której spędziła 18 dni w podwodnym habitacie NASA Aquarius. Brała także udział w pracach nad wyborem komercyjnego partnera do budowy nowego amerykańskiego statku załogowego. Od 2015 r. na emeryturze, zajmuje się popularyzacją astronautyki i tworzy.
Na zdjęciu – na pokładzie stacji ISS z namalowanymi przez siebie pierwszymi w historii orbitalnymi akwarelami.

wiedzialność: że zapnę hak mocujący, gdy się zatrzymam, że nie oddalę się od stacji. Że skafander do spacerów kosmicznych to tak naprawdę mój własny, mały pojazd kosmiczny i muszę rozumieć komunikaty jego komputera: czy muszę natychmiast wracać do stacji, czy mogę kontynuować pracę na zewnątrz. Respekt i odpowiedzialność – to na pewno, choć podczas spaceru kosmicznego ma się też wypisane na twarzy onieśmielenie i zachwyt. Przed sobą masz stację kosmiczną, a 300 mil pod tobą – o rany, patrz, to Ziemia! Pomiędzy tobą a nią jest malutki wizjer, a dalej przemożna pustka kosmosu.

Gdyby w grę wchodził strach, nie dałoby się w ogóle wybrać w kosmos. Nie pozwoliłbyś się wsadzić do rakiety, gdybyś się bał. Ale to nie oznacza, że nie rozumiesz i nie odczuwasz respektu wobec milionów funtów siły ciągu, które powstaną pod tobą, żeby cię zabrać z planety. Niezdawanie sobie z tego sprawy byłoby naiwnością i ignorancją.

Byłaś świadkiem zmierzchu ery promów kosmicznych, jednej z najpiękniejszych konstrukcji ludzkości. W technologii jest piękno?

Gdy patrzyłam na prom przed startem, gdy obserwowałam stację kosmiczną podczas zbliżania się do niej, gdy unosiłam się wokół niej podczas spaceru kosmicznego – widziałam światło, kolory i to, jak się zmieniają. Już z czysto estetycznego punktu widzenia statki kosmiczne są olśniewające. A potem zdajesz sobie sprawę, jaka technologia się w nich kryje, i pytasz sam siebie, jak to w ogóle było możliwe, żeby choćby pomyśleć o ich zbudowaniu. Jest takie zdjęcie promu Discovery na platformie mobilnej, gdy po raz ostatni wyjeżdża z hangaru na wyrzutnię. To jego najpiękniejsze zdjęcie. Błękity, czerwienie, światło – są niezwykłe. Ale chociaż można by uznać to zdjęcie po prostu za piękne w swojej prostocie, to warto zdać sobie też sprawę, że nie ma na nim ani jednego miejsca, w którym złożoność technologii nie przekraczałaby naszych wyobrażeń.

Popatrz na Międzynarodową Stację Kosmiczną. To zawieszone w kosmosie dzieło sztuki. Coś, co nie ma prawa tam istnieć, a okrąża naszą planetę 16 razy dziennie.

Aczkolwiek nie wygląda, jakby ktoś przykładał się do jej designu...

Mylisz się!

Co jest pięknego w stacji kosmicznej?

O rany. Spójrz na to zdjęcie. Na jej symetrię, z tymi wielkimi skrzydłami paneli słonecznych. Srebrny, wybijający się na pierwszy plan moduł. Zależnie od kąta padania światła panele słoneczne stają się miedziane, złote, niebieskie. A cienie i światła na samej stacji, a Ziemia w tle... To dzieło sztuki. Sam powiedz.

Tak, przepraszam, cofam to, co powiedziałem.

Wybaczam ci. A tu, w tle, nad krzywizną Ziemi, widać cienką błękitną kreskę atmosfery. Tutaj żyjemy. W tym miejscu. To niezwykłe.

Czy projektanci statków kosmicznych przyszłości myślą o ich wyglądzie?

Coraz bardziej. Bardzo duży wpływ ma *science fiction* – wiemy przecież, jak te pojazdy powinny wyglądać. Fikcja naukowa w miarę upływu czasu staje się naukowym faktem. Niektóre młode firmy kosmiczne bardzo poważnie biorą pod uwagę estetykę. Ale naprawdę fajne jest to, że jeśli nawet się jej nie uwzględnia, to rozwiązania, które pojawiają się za sprawą czystej fizyki – kształt, który pojazd musi mieć, metal, z którego musi zostać zrobiony – są piękne same w sobie.

Jesteś zarówno inżynierem, jak i artystką, co chyba rzadko się zbiega?

Raz za razem odkrywam, że to częstsze, niżby się zdawało. W większości z nas jest mieszanka jednego i drugiego. Nie chce mi się wierzyć, że jest inaczej, bo oznaczałoby to, że mnóstwo ludzi nie używa w pełni własnego mózgu.

Gdy ponad trzy lata temu odeszłam z NASA na emeryturę, przed opuszczeniem Houston byłam kuratorką wystawy w ośrodku dla zwiedzających w Centrum Kosmicznym Johnsona. W centralnym punkcie był artystyczny skafander ↦

↦ kosmiczny, który zrobiliśmy z dziećmi w szpitalach, dookoła zaś znajdowały się prace moich kolegów z Centrum. Samych umysłów ścisłych: inżynierów, naukowców, fizjologów, lekarzy, kontrolerów lotów. Było tam wszystko, od rzeźb w drewnie, przez rysunki i witraże, po wyszywanki i artystyczne ciasta. Każda praca była opatrzona kilkoma zdaniami twórców na temat tego, jak nauka i sztuka przecinają się w ich życiu.

I jak to wyjaśniali?

Że nie da się oddzielić jednego od drugiego, powiedzieć, że nauka jest tu, a sztuka tam. Przez całe ich życie obie dziedziny się spotykały: gdy myśleli o technicznym aspekcie swojej pracy, korzystali z artystycznej kreatywności, a gdy myśleli, jak coś zagrać albo namalować, brali też pod uwagę aspekt techniczny.

Szczególnie ekscytujące było to, że choć niektórzy z uczestników wystawy współpracowali ze sobą przez 20 lat, to gdy wpadali na siebie w centrum, w dzień instalacji wystawy, reagowali często: „O kurde, Ginger, co ty tu robisz? Nie wiedziałem, że malujesz czy rzeźbisz". Było tak, jakby zostali sobie ponownie przedstawieni. I teraz lepiej się im ze sobą pracuje. Znają się lepiej, bo w pełni.

Przechadzając się po wystawie wiele razy słyszałam, jak dzieci wyrzucają rodzicom: „nie mówiliście mi, że można zajmować się i nauką, i sztuką!". Bo przecież tak to działa: masz talent matematyczny, więc idź do mat-fizu, nie musisz się zajmować humanistyką. I na odwrót.

Odkąd uprawiamy naukę, sztuka jest sposobem na opowiadanie o niej. Ludzie, którzy nie mają pojęcia o nauce, mogą ją pojąć za sprawą artystycznej wyobraźni. Pomyśl o obrazach z teleskopu kosmicznego Hubble'a. Nam wszystkim, którzy nie mamy pojęcia o astrofizyce, piękno tych obrazów odbiera mowę. Ale wyglądają one tak, a nie inaczej, za sprawą naukowców, którzy przy pomocy kolorów i ich odcieni oddają rodzaje gazów w mgławicach czy temperatury. Umowne kolory pomagają nam zrozumieć matematyczne dane z teleskopu, bo nasze mózgi przetwarzają obrazy znacznie sprawniej niż ciągi zer i jedynek.

Wychowałem się na tych obrazach. To też dzieła sztuki?

Tak, to dzieła sztuki. Ogromnie mi się podoba, że NASA i inne agencje coraz większą wagę przywiązują do udostępniania obrazów z misji. Dzięki sondzie kosmicznej Juno zobaczyliśmy Jowisza jak nigdy przedtem – a obrazy te pochodzą z kamery szerokokątnej, która została tam zainstalowana jako dodatek. To nie jest superskomplikowane narzędzie badawcze, nie robi zdjęć wysokiej rozdzielczości, ale NASA dodała ją na pokład sondy, bo wie, że istoty ludzkie pragną zobaczyć. Tak samo było z sondą New Horizons i Plutonem czy Cassini i Saturnem.

Patrząc na wszystkie te miejsca, patrzymy też na siebie samych. Jeden z najpiękniejszych obrazów z sondy Cassini przedstawiał pierścienie Saturna, a pod nimi małą, niebieską kropkę: Ziemię.

Które z klasycznych zdjęć Ziemi z kosmosu jest dla Ciebie najważniejsze?

„Wschód Ziemi".

Zrobił je William Anders podczas lotu Apolla 8, 24 grudnia 1968 r.

Nicole Stott w laboratorium Kibo, japońskim module Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, listopad 2009 r. Obok: widok Stacji, w tle cienka błękitna kreska atmosfery, 2011 r.

Dokładnie 50 lat temu ludzie po raz pierwszy byli świadkami tej niesamowitej sceny, gdy nasza planeta wschodzi ponad innym ciałem niebieskim. Zobaczyliśmy, że jesteśmy Ziemianami, żyjemy na planecie, chroni nas cienka, błękitna kreska atmosfery. Pytanie brzmi: gdzie chcemy być za kolejne 50 lat? Jak chcemy żyć w stulecie „Wschodu Ziemi"?

Niedawny szczyt klimatyczny COP24 posłużył polskiemu prezydentowi do trollowania świata: oświadczył, że węgla starczy nam na następne 200 lat. Czy gdy patrzyłaś z kosmosu na Ziemię, było Ci czasem smutno?

Tak. Bo widać stamtąd, jak wszystko na Ziemi jest ze sobą powiązane. Nie ma czegoś takiego, jak druga strona planety. Planeta jest jedna, i czy to z perspektywy pływu oceanów, ruchu chmur czy obserwacji burz, Ziemia wygląda jak organizm sam w sobie. Jakby żyła.

Zdałam sobie z tego sprawę nocą, przyglądając się błyskawicom. Wychowywałam się na Florydzie, gdzie burz było mnóstwo. Myślałam sobie wtedy, że burza zaraz przejdzie. Ale nie, ona nie przechodzi. Gdy z kosmosu przyglądasz się wzorom błyskawic, widzisz, że burza znad Florydy przemieszcza się poprzez ocean nad Afrykę. Wygląda jak odpalające neurony, jak system nerwowy.

A smutek brał się stąd, że większość ludzi wciąż sądzi, iż istnieje jakaś druga strona planety, o której nie muszą myśleć. Że katastrofa, która dotyka dziesiątków tysięcy istnień ludzkich po drugiej stronie Ziemi, nie ma z nimi nic wspólnego. Patrzysz na to osłupiające, delikatne i żywe miejsce, które wszyscy ze sobą

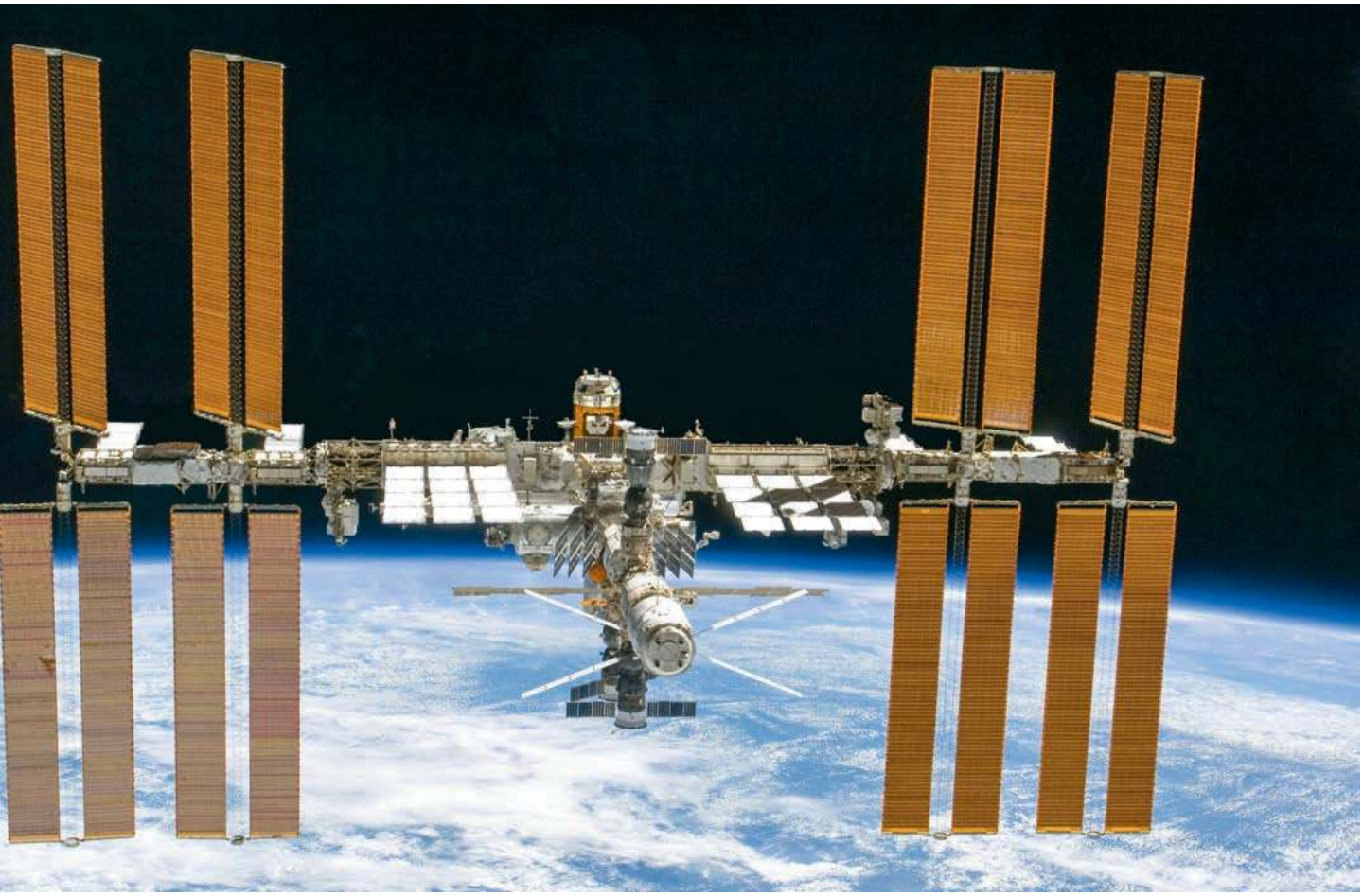

NASA X2

dzielimy, i uświadamiasz sobie, że większość tam na dole tego nie dostrzega. I że są tam rządy sądzące, iż węgiel jest odpowiedzią, podczas gdy wiemy, co robi z systemem podtrzymywania życia, od którego wszyscy zależymy – naszą planetą.

Ależ wystarczy temu po prostu zaprzeczyć.

I to się właśnie dzieje. Nigdy nie byliśmy ze sobą tak bardzo połączeni. W dłoniach mamy urządzenia łączące nas z wiedzą całego świata. A równocześnie nie przyjmujemy do wiadomości, że wszystko, co nas otacza, jest ze sobą połączone. To forma wyparcia.

Sądzę, że dochodzimy do punktu zwrotnego. To dlatego „Wschód Ziemi" jest tak znamiennym symbolem. 50 lat temu zdaliśmy sobie sprawę, że żyjemy na planecie w kosmosie, która jest naszym systemem podtrzymywania życia. Chciałabym, żebyśmy po 50 latach przestali to wypierać. Musimy mówić o tym, jak Ziemia nas chroni. A dzieje się to dokładnie tak, jak na stacji kosmicznej, która naśladuje to, co Ziemia robi dla nas. Cienka metalowa powłoka wokół stacji jest jak błękitna linia atmosfery, która chroni naszą planetę i wszystko, co dobre: wodę, powietrze, energię, utrzymuje w jej obrębie.

W zamkniętym obiegu, gdzie są oczyszczane i odzyskiwane. Międzynarodowa Stacja Kosmiczna to dziś wzorowe miejsce do życia?

Otóż to: w kosmosie nie tylko pracujemy – my tam żyjemy. Z ludźmi z całego świata, w kulturowym tyglu i wśród relacji międzynarodowych. Cele wszystkich krajów biorących udział w misji składają się w jeden, w ramach wspólnej, pokojowej i efektywnej współpracy.

Dla mnie największym darem otrzymanym podczas pobytu na ISS były relacje, które tam się zawiera. Na każdym etapie misji było tam sześcioro ludzi, łącznie reprezentujących 15 krajów. Stanowiących jedną załogę. Moim dowódcą był Giennadij Padałka – nie był dowódcą rosyjskiej części stacji, nie było osobnego dowódcy amerykańskiego czy europejskiego. Załoga jest jedna, tak jak stacja.

Tak więc sześcioro ludzi w kosmosie i dziesiątki tysięcy specjalistów w agencjach z całego świata współpracują pokojowo nad czymś, co jest prawdopodobnie najbardziej skomplikowanym przedsięwzięciem, na jakie poważyła się ludzkość. To absolutnie najlepszy model tego, jak powinniśmy ze sobą żyć i współpracować jako załoga statku kosmicznego „Ziemia". Tyle że na to, jak na razie, nie wymyśliliśmy zasad ani procedur.

Brzmi to skrajnie idealistycznie. A zdarzają się tam konflikty? O zasoby, o przestrzeń albo dlatego, że dużo ludzi stłoczonych jest w jednym, ciasnym miejscu?

Z naszą załogą ćwiczyliśmy na Ziemi na tyle długo, żeby się zorientować, kto np. budzi się w złym humorze, więc przez 10 minut wystarczy nie zwracać na niego uwagi. Tak samo postępuje się w rodzinie. Trzeba się zawczasu zorientować w tej międzyludzkiej dynamice i zdecydować, jak sobie z tym poradzić. Na stacji kosmicznej są różnice polityczne dotyczące priorytetów misji, różnice między agencjami czy nawet członkami załogi, ale wszyscy ustanawiamy tam tzw. zasady

↦ zaangażowania – jak sobie będziemy z tym radzić – które każdy akceptuje. I to działa.

„Idealistyczne” to dobre słowo. To utopijna wizja funkcjonowania ludzkości. Ale musimy skorzystać z takich przykładów jak ISS i zasady funkcjonowania na orbicie, żeby rozwiązać największe wyzwania czekające nas tu, na Ziemi. Tymczasem mnóstwo ludzi nawet nie wie, że stacja kosmiczna istnieje. A powinni – bo wszystko, co jej dotyczy, dotyczy też życia tu, na dole.

Dla mnie sztuka jest sposobem budzenia zaangażowania tym tematem u ludzi, którzy w przeciwnym razie nawet nie pomyśleliby o kosmosie. „Hej, ten obraz namalowałam na podstawie zdjęcia, które zrobiłam w kosmosie, gdy byłam w tym dziwnym miejscu zwanym ISS. Wiesz, że wraz z 14 innymi krajami żyjemy tam od 20 lat i wspólnie pracujemy? Wow, czy to nie super wzór dla tego, co powinniśmy robić tutaj, na Ziemi?”.

Ekscytują nas perspektywy lotu na Marsa czy księżyce Jowisza i Saturna. Ale czy mamy moralne prawo eksplorować inne światy, skoro tak traktujemy nasz?

Gdy chodzi o lot na Marsa, są dwa podejścia. Pierwsze reprezentują eskapiści, którzy twierdzą, że do tego stopnia spapraliśmy sprawę na Ziemi, że trzeba się ewakuować na Marsa.

Drugi obóz, którego czuję się członkinią, to ci przekonani, że jesteśmy właśnie w miejscu, w którym musimy wymyślić, jak ocalić Ziemię.

Ale wiemy równocześnie, że przeżycie rodzaju ludzkiego opiera się na jego obecności nie tylko w tym jednym miejscu we wszechświecie. Musimy się rozprzestrzenić, żeby przetrwać. Wrócimy więc na Księżyc. Skorzystamy z Księżyca, żeby polecieć na Marsa. Wymyślimy, jak ruszyć w podróż międzygwiezdną. Ale robiąc to wszystko, musimy zadbać o system podtrzymywania naszego życia na Ziemi, dopóki za miliardy lat nie wchłonie jej Słońce. Nie chodzi o opuszczenie Ziemi, którą zmarnowaliśmy. Chodzi o to, że dysponujemy już wszelkimi technologiami, by sprostać wyzwaniom na tej planecie, a następnie zabrać ze sobą tę wiedzę, zamieszkać w innych światach i zbudować tam swoje systemy podtrzymywania życia. I nie musieć odrabiać tam tych samych lekcji, które mamy zadane tutaj.

Czy te technologie są dla wszystkich? Nie tylko dla miłego, czystego Zachodu eksportującego cały brud do Trzeciego Świata?

To naprawdę coś dla wszystkich. Pracowałam przy programach na rzecz czystej wody, dostarczania energii i łączności w regionach Afryki, które uznałbyś za najdalszy możliwy Trzeci Świat, i które długo walczyły choćby o dostęp do wody. Dziś działa tam infrastruktura, której byśmy wszyscy na Zachodzie pozazdrościli. Systemy oczyszczania wody dostępne na skinienie, energia słoneczna i wiatrowa, reaktory biogazowe, generujące elektryczność z metanu ze ścieków. Chciałabym takich technologii u siebie.

Od 1972 r. misje załogowe nie poleciały nigdzie dalej niż na niską orbitę Ziemi. Na razie nie pali nam się w kosmos – trzeba by wytłumaczyć podatnikom, po co nam to.

Jeszcze polecimy, obiecuję. Jest wola, żeby założyć stałą bazę na Księżycu, i to w ramach współpracy międzynarodowej – nie będzie tak, żeby tylko Chiny samotnie siedziały po jego niewidocznej stronie. Dokona się to za sprawą współpracy międzynarodowej w rozwoju technologii ponad dzisiejszy poziom, a następnie za sprawą współdzielenia jej i stworzenia takiego modelu biznesowego po stronie prywatnej, żeby coraz więcej ludzi widziało w podróżach kosmicznych wartość. Bo, powtórzę raz jeszcze, loty w kosmos związane są z jakością życia na Ziemi. Czeka nas skok, na który wszyscy od dawna czekamy.

Inaczej utkniemy?

Jest taki cytat: ktoś powiedział, że dinozaury nie miały programu kosmicznego.

Jest też inny cytat: astronauta Apolla 14 Edgar Mitchell opisał wrażenie, jakie zrobił na nim widok Ziemi z kosmosu, następująco: „Chciałoby się złapać jakiegoś polityka za kołnierz, zawlec go tam, te ćwierć miliona mil, i powiedzieć: popatrz na to, sukinsynu”.

I chyba każdy z nas to powtarza.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Dziękujemy Uniwersytetowi Śląskiemu za pomoc w zorganizowaniu wywiadu.

podkast TP powszechny: weź, słuchaj!
powszech.net/podkast

GRAŻYNA MAKARA

Wojciech Jagielski *o jednym z najniebezpieczniejszych miejsc*

W indyjskim Kaszmirze i irańskim Beludżystanie doszło do zamachów terrorystycznych, o których organizację oba państwa oskarżają pakistański wywiad. Nastąpił indyjski odwet. Co to znaczy, co ma wspólnego z konfliktem bliskowschodnim – i z Polską? O przyczynach i możliwych skutkach eskalacji napięcia w regionie – oraz o tym, jak uwikłała się w to Polska – opowiada Wojciech Jagielski, jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów, pisarz i były korespondent wojenny.

Słuchaj w RSS | iTunes | Google Podcasts | Spotify

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

#przemocwpracy

Kiedy ruszaliśmy z akcją #przemocwpracy, pisaliśmy, że mobbing, poniżanie, łamanie prawa pracy to w Polsce codzienność. Listy, jakie od tamtego czasu odbieramy, tylko to potwierdziły. Te głosy – zamieszczane na facebookowym profilu „TP" – utwierdzają nas w postanowieniu, by tej sprawy nie odpuszczać. Powtarzamy więc: **POKAŻMY OFIAROM, ŻE NIE SĄ SAME.**

A sprawcom, że kończy się ich bezkarność. Więcej informacji (m.in. raport „Tygodnika" o mobbingu oraz wybrane listy) znajdą Państwo pod adresem **powszech.net/przemocwpracy**, a listy mogą Państwo wysyłać pod adres: **przemocwpracy@tygodnik.com.pl**.

Oto fragmenty wybranych listów:

WSZYSTKO ROBIĘ ŹLE. Od trzech miesięcy pracuję kilkanaście godzin na dobę, w weekendy ograniczam się do ośmiu godzin dziennie. Przychodzę z pracy o 21.00, zrzucam ubrania, orientuję się, że nie mam co jeść. Pracuję. Zasypiam o północy. Budzę się o 3.00 i sprawdzam skrzynkę pocztową (...) Pracuję z łóżka do 8.00. Wrzucam się pod szybki prysznic. Może dzisiaj nie będzie tak źle. Może wyjdę z pracy o 20.00? Wybiegam z zaciśniętymi zębami. Przy biurku mam być o 8.30. Spóźnienia nie są mile widziane (...) Zorientowałam się po trzech miesiącach, ośmiu straconych kilogramach, kilkudziesięciu wypitych dla odprężenia w samotności winach, że życie mi przecieka przez palce, a ja jestem ofiarą mobbingu. Wyrachowanej manipulacji i bezwzględnej przemocy psychicznej. Zorientowałam się, że ktoś wykorzystał to, że kocham mój zawód, i zamienił mnie w znerwicowaną maszynkę (...) Powrót do normalności zajął mi pół roku. Nowa praca. Nie jestem zainteresowana nadgodzinami. Nie pracuję w weekendy. Nie sprawdzam skrzynki pocztowej i nie odbieram telefonów poza godzinami pracy. Żyję. Dziękuję za #przemocwpracy – kawał dobrej roboty.

I JA, I MOI ZNAJOMI czuliśmy tylko bezwarunkowe, ślepe oddanie idei. Wiarę w zmienianie świata. Poczucie misji. Przywiązanie do szefa, bo chwile normalności na morzu furii powodowały pytania: „Może to ja przesadzam? Może nie jest taki zły? W końcu to geniusz". Odejście z fundacji było drogą przez mękę – szef każdą rezygnację odbierał jako zdradę i ujmę na honorze, więc czasem tygodniami wydzwaniał do odchodzącego pracownika, deprecjonował go w oczach pozostałych, podważał zasługi, wyciągał prywatne problemy (...) Jednocześnie przywiązywał nas do siebie – każdemu w prywatnych rozmowach obiecywał unikalne wspólne projekty, mówił o wyjątkowości na tle innych, o tym, że „już niedługo zrobimy coś wielkiego razem". Więc trwaliśmy i czekaliśmy. A po latach zdawaliśmy sobie sprawę z logiki tej zagrywki. (...) Proszę pisać dalej. Wiele jest jeszcze osób – w trzecim sektorze, w biznesie, kościelnych i świeckich – które potrzebują otrzeźwienia i zdrowego wkur*****a. To nie ofiary powinny się wstydzić.

DOŚWIADCZYŁAM czterech lat pracy za półdarmo, wyłącznie na umowę-zlecenie, przy pensjach szefów wynoszących nawet kilkunastokrotność moich zarobków; na własnym sprzęcie, z telefonami w środku nocy i w (dosłownie) każdy weekend, z praniem mózgu mającym spowodować wiarę w nieomylność szefa (...) Musiałam podpisać oświadczenia, że pracowałam trzy razy mniej niż w rzeczywistości, bo fundacja broniła się w ten sposób przed nielegalną, absurdalnie niską stawką godzinową mojej pracy (...) Moją wypłatę obniżono o 1/3, gdy znalazłam sobie równoległy projekt – argumentowano to zdaniem: „Nie masz rodziny na utrzymaniu, po co ci tyle pieniędzy? Setki ludzi chętnie dopłaciłoby do pracy ze mną, to prestiż".

CZYTAM LISTY związane z przemocą w pracy, które publikuje redakcja „TP". Po kilku miesiącach postanowiłam sama napisać. Robię to dla siebie. Mam nadzieję, że pomoże mi to uporać się z tym, co mnie spotkało (...) Dobrym tygodniem był dla mnie ten, kiedy mój czas pracy wynosił tylko 1,5 etatu. Taki tydzień oznaczał, że zaszalałam, czyli jestem „nieodpowiedzialna" i „odpuściłam" wykonanie kilku czynności. Gdy z czymś nie zdążyłam, słyszałam: „Wszystko to jest wynikiem złej organizacji pracy"; „Ma czas zjeść zamiast pracować" (...) Zdarzyło mi się być na urlopie 4 dni. Jak to wyglądało? Zostałam wezwana do firmy w sprawie nie cierpiącej zwłoki, a w pozostałe dni średnio pół dnia zajmowałam się tematami, które „nie mogły poczekać"... (...) Napisanie tego listu wystarczająco dużo mnie kosztowało. Wystarczy, że odebrano mi poczucie własnej wartości, a właściwie to sama pozwoliłam sobie je odebrać.

JESTEM PRACOWNIKIEM – a w zasadzie współpracownikiem, z powodu realizowanej przez nas umowy na zlecenie – jednej z instytucji popularyzacji nauki w Polsce. Jakiś czas temu mieliśmy spotkanie w sprawie zmiany warunków zatrudnienia, czyli podpisania (po latach zleceń) umów o pracę – niestety nowe warunki nie podobały się sporej części osób, które zaczęły drążyć temat oraz omawiać to w swoim gronie w trakcie owego zebrania. Usłyszała to jedna z osób z tzw. ciała kierowniczego i skomentowała to słowami: „Zawsze możecie zatrudnić się w klubie nocnym".

Administratorem Pani/Pana danych osobowych jest Tygodnik Powszechny sp. z o.o., z siedzibą w Krakowie, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków.
Podany adres e-mail przetwarzamy wyłącznie w celu pozyskania informacji o przypadkach mobbingu, które do celów akcji mogą zostać wykorzystane w sposób całkowicie anonimowy. Podstawą przetwarzania jest art. 6 ust. 1 lit a RODO, czyli Pani/Pana zgoda, która jest wyrażona poprzez przesłanie maila na podany adres.
Pani/Pana adres e-mail będzie przetwarzany nie dłużej, niż jest to konieczne do odebrania zawartych w nim informacji.
Przesyłanie wiadomości e-mail na adres przemocwpracy@tygodnik.com.pl jest dobrowolne.

STANISŁAW

Mancewicz: *Ćwiczenia wojskowe*

Dziś motywem naszych rozważań będą sprawy wojskowe. Ale nie tylko. Na początek niezbędne będzie wspomnienie sprzed kilku lat, którym zresztą chwaliliśmy się tu i ówdzie. Oto po szokującej lekturze jakiegoś raportu z badania opinii publicznej na temat gotowości obrony ojczyzny, z którego wynikało, że wbrew utwardzonym mniemaniom mało jest obywateli gotowych stanąć z bronią u nogi, bez wahania podjęliśmy tzw. czynności. Natychmiast, telefonicznie, oddaliśmy się do dyspozycji dowództwa najbliższego garnizonu. Bez nadmiernego koloryzowania, po wojskowemu, oświadczyliśmy – to prawda – nieco zaskoczonej pani dyżurującej w komisji uzupełnień, że w ciągu najbliższej doby możemy stawić się w pełnym rynsztunku, w dowolnej jednostce bojowej. Szybko podaliśmy nasze preferencje, poczynając oczywiście od oddziałów desantowych, snajperskich, poprzez lotnictwo myśliwskie, na służbie kwatermistrzowskiej kończąc. Poproszono nas grzecznie o PESEL, którego wartość została oceniona sceptycznie, niemniej sprawdzono w bazie danych nasze kwalifikacje frontowe. Kategoria wojskowa, zapisana jeszcze za koszmarnych lat komunizmu, musiała zostać przewalutowana na dzisiejsze, natowskie oznakowania poborowego, co chwilę potrwało.

Operacjom tym towarzyszyły słyszane przez nas w słuchawce podśmiechujki pań to czyniących, co generalnie nam nie wadzi, zważywszy, że stosunkowo często spotykamy się z podobnymi reakcjami kobiet, gdy opowiadamy im o naszych niesłychanych sukcesach, jeśli idzie o celność, gibkość i szeroko pojętą skoczność. Dość rzec, że nasza oferta została odrzucona, mimo że ostatecznie zadeklarowaliśmy ofiarną służbę bądź to w charakterze syna pułku, w kuchni polowej, taborach lub w bibliotece wojskowej. Akurat to ostatnie wywołało u słuchaczki pomieszanie politowania i szyderstwa. „W bibliotece? Proszę pana, żołnierz ma strzelać, a nie czytać” – po czym owa wyniosła niewiasta rozłączyła się, zostawiając nas w stanie niezużytego pobudzenia i naprężeń o różnej etiologii.

Było to – jako się rzekło – dawno, ale nasza gotowość odbycia manewrów na poligonie, choćby atomowym, jest wciąż aktualna. Wciąż znajdujemy motywację dla naszych pragnień, weźmy choćby niedawne przygody funkcjonariuszy Służby Ochrony Państwa. Jeden z nich, rzekomo, zamiast coś wyłączyć, włączył i zderzył się ze złośliwością rzeczy martwych wziętą żywcem z filmów Lesliego Nielsena. Inni zaś ponoć pożarli się z amerykańskimi kolegami z pracy. Nic z tego nie jest pewne, prócz jednego: generał dowodzący tą jednostką zrezygnował z posady. Zapewne nie dlatego, że dostał waporów bądź zaniemógł na tzw. globus. Rzeczy są oczywiście tym złośliwsze, im większa ofiara losu zabiera się do ich dotykania, dlatego też uważamy, że dziś zwłaszcza, bardziej niż kiedyś, nadajemy się na dowolne stanowisko w armii polskiej, ale też w dyplomacji, w kulturze bądź edukacji. Jesteśmy do usług. Zwłaszcza że pensje są, jak czytamy, niczego sobie za niewiele mozołu. W ogóle – to na marginesie – PiS znakomicie płaci, wystarczy się zapisać, choć warunkiem jest, zdaje się, staż w PZPR czy też w bezpiece.

Brnijmy dalej, szabelka nam bowiem rdzewieje. Akcja wspomnianego oficera, który rzekomo miast wyłączyć włączył, skłoniła nas do pionierskich (by nie rzec: habilitacyjnych) przemyśleń na tematy lingwistyczne, semantyczne i kulturowe, które wydają się nam kluczowe przy ocenianiu polskiej rzeczywistości. Otóż zważmy, że słowo „włączyć” różni się od słowa „wyłączyć” jedną literką. Zaledwie jeden znak zmienia ich znaczenie i być może ów wojak nie został przeszkolony z polszczyzny na tym poziomie szczegółowości. Przejrzeliśmy wokabularz naszego posępnego plemienia i zdrętwieliśmy. Popatrzmy: „kot” – „koń”, „wjazd” – „wyjazd”, „wpłata” – „wypłata”, „kino” – „wino”, „kaczka” – „paczka” (na przykład szmalu), itd. Jednak najgorsza ze wszystkiego jest „przeszłość”, nieróżniąca się niemal od „przyszłości”. To musi być i jest, jak widzimy, brzemienne w skutkach. Gdy do kompletu dodamy jedno z najdziwniejszych polskich słów, czyli „teraźniejszość”, stworzone na pewno przez szalonego lingwistę i sadystę, wypada uznać, że użytkownicy takiego języka muszą być precyzyjnie dobraną zbiorowością masochistów. Łatwo w tej sytuacji o powszechnego bzika na skalę masową, a kulejąca pamięć i rozdęty aparat wyparcia wydają się jedyną ulgą. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

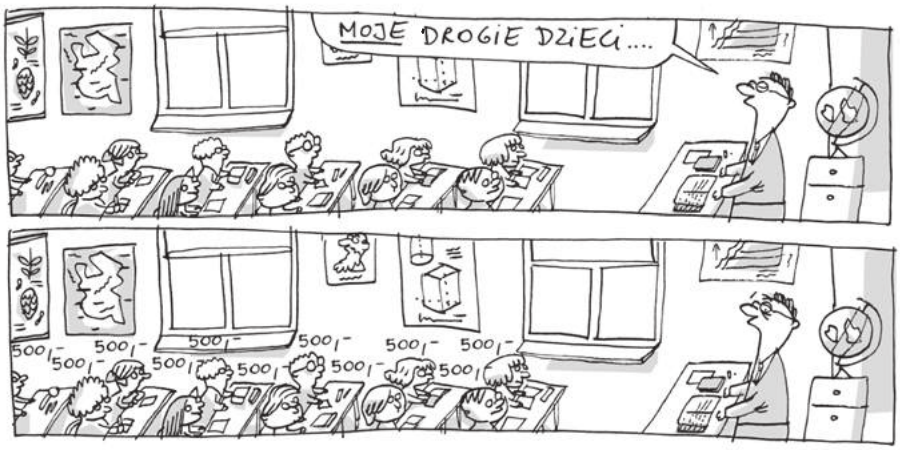

weźcie, czytajcie!

„Tygodnik Powszechny” dołączył do grona partnerów Karty Dużej Rodziny, preferencyjnego programu dla rodzin 3+. Posiadacze KDR mogą skorzystać z niższej ceny zakupu ekonomicznej prenumeraty krajowej – 300 złotych za rok. Aby skorzystać z oferty, wystarczy w trakcie zamawiania prenumeraty podać numer swojej Karty:

- podczas zamówienia przez internet – w polu uwagi,
- przy przelewie tradycyjnym w tytule przelewu.

Więcej o programie na: **rodzina.gov.pl**
Szczegółowy regulamin prenumeraty na **powszech.net/regulamin**

TYGODNIK POWSZECHNY

+

KARTA DUŻEJ RODZINY
rodzina.gov.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę powszech.net/prenumeruj, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nie było oczywiście żadnej zmowy, żadnego pilnie strzeżonego sekretu. Po prostu nikomu spośród tysięcy wiedzących nie zależało, żeby swoją wiedzę prywatną do kanonów wiedzy publicznej wprowadzić. Niełatwo żyć z pamięcią o Jedwabnem. Lepiej zapomnieć.

Jerzy Jedlicki

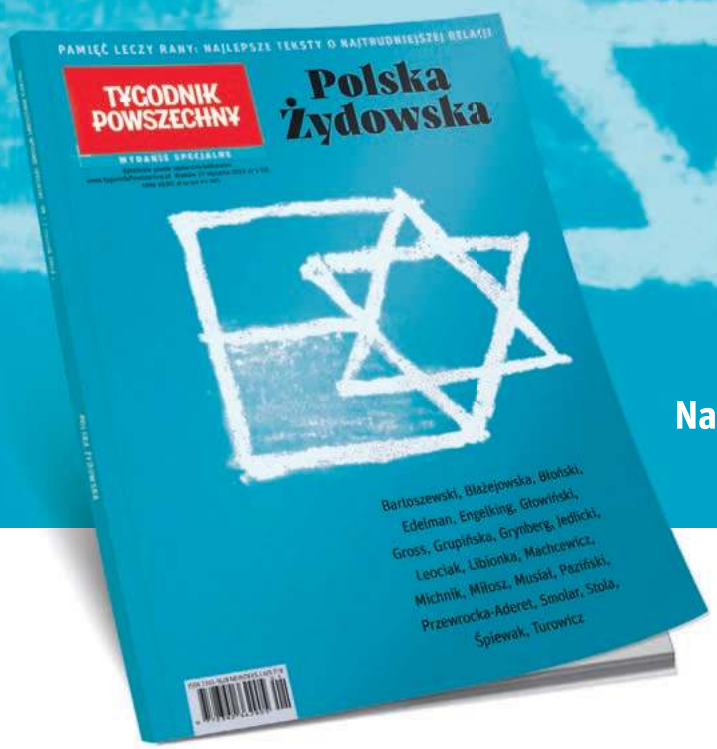

pamięć leczy rany

Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji

Wydanie specjalne „Polska Żydowska” **do kupienia** w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

Kraków

CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi

ייִדישער היסטאָרישער אינסטיטוט ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

znak

GALICJA ŻYDOWSKIE MUZEUM

AUSTERIA